



EDGAR RICE BURROUGHS



Szachiści Marsa  
BARSOOM V



**GALAKTYKA  
GUTENBERGA**

Edgara Rice'a Burroughsa w serii Galaktyka Gutenberg:

**cykl Barsoom**

Księżniczka Marsa  
Bogowie Marsa  
Władca Marsa  
Thuvia, wojowniczką Marsa

**cykl Pellucidar**

We wnętrzu Ziemi  
Pellucidar  
Tanar z Pellucidaru  
Powrót do epoki kamienia  
Land of Terror

**cykl Wenusjański**

Piraci Wenus

**Edgar Rice Burroughs**

**Szachiści Marsa**

Przełożył  
Tomasz Walenciak

**SOLARIS**  
Stawiguda 2016

### WSTĘP

## Z WIZYTĄ NA ZIEMI

Shea pokonał mnie właśnie, jak zwykle, w szachy, a ja – tak samo zwyczajnie – miałem wątpliwą satysfakcję wskazania mu po raz kolejny, że świadczyło to tylko o zawodzącym go umyśle, zgodnie z wysuwaną przez pewnych naukowców teorią, opartą na założeniu, że fenomenalni gracze rekrutują się zawsze spośród dzieci poniżej dwunastego i dorosłych po siedemdziesiątym drugim roku życia, jak i spośród umysłowo upośledzonych, o której to teorii zapominam zaraz przy tych rzadkich okazjach, kiedy uda mi się wygrać. Shea udał się na spoczynek i miałem iść w jego ślady, ponieważ przed wschodem słońca zawsze jesteśmy już w siodle. Zamiast tego, siedziałem jednak w bibliotece przed stolikiem do szachów, wypuszczając od niechcenia kłęby dymu na zhańbioną głowę mojego pokonanego króla.

Zaabsorbowany tym pożytecznym zajęciem, usłyszałem, że wschodnie drzwi pokoju dziennego otworzyły się i ktoś wszedł do środka. Uznałem, że to Shea zawrócił, aby omówić ze mną jakieś kwestie związane z jutrzejszymi zadaniami, ale podniósłszy wzrok na przejście między pokojami, ujrzałem w nim opalonego olbrzyma, odzianego jedynie w wysadzaną szlachetnymi kamieniami uprząż, z której przy jednym boku zwisał zdobny krótki miecz, na drugim zaś pistolet niezwyklej konstrukcji. Rozpoznałem od razu te czarne włosy, śmiałe i wesołe spojrzenie stalowoszarych oczu, i szlachetne rysy. Poderwałem się od stołu i ruszyłem przed siebie z wyciągniętą ręką.

– John Carter! – zawołałem. – To naprawdę ty?

– We własnej osobie, synu – odpowiedział, ujmując moją dłoń i kładąc mi drugą rękę na ramieniu.

– Co tu robisz? – zapytałem. – Minęły lata, od kiedy odwiedziłeś Ziemię, a nigdy nie widziałem cię w marsjańskim stroju. Dobry Boże! Dobrze cię widzieć! Z wyglądu nie postarzałeś się ani trochę, od kiedy trzymałeś mnie na kolanach w dzieciństwie. Jak to możliwe? Postarasz się to jakoś wytłumaczyć?

– Po co wyjaśniać to, co niewytłumaczalne? – odparł. – Mówiłem ci już kiedyś, że jestem bardzo stary. Nie wiem, ile mam lat. Nie pamiętam dzieciństwa, pamiętam tylko, że zawsze byłem taki, jakim widzisz mnie teraz i jakim ujrzałeś mnie po raz pierwszy, kiedy miałeś pięć lat. Ty sam posunąłeś się w latach, choć nie tak mocno, jak ludzie w twoim wieku, co można wytłumaczyć faktem, że w naszych żyłach płynie ta sama krew. Ja za to nie postarzałem się wcale. Rozmawiałem o tym z pewnym przyjacielem, wybitnym naukowcem z Barsoom, ale jego teoria to wciąż tylko teoria. Mimo wszystko, to wielka radość nie starzeć się wcale, kiedy kocha się życie i wigor młodości.

– Co do twojego oczywistego pytania, co sprowadza mnie na Ziemię w tym niezwykłym dla ziemskich oczu odzieniu: zawdzięczamy to Kar Komakowi, łucznikowi z Lothar. To on podsunął mi pomysł, który poddawałem próbom tak długo, aż odniosłem sukces. Wiesz, że od dawna potrafię przemierzać pustkę kosmosu duchem, ale nie potrafiłem przenieść w ten sam sposób nieożywionej materii. Teraz jednak widzisz mnie po raz pierwszy dokładnie takim, jakim jestem dla przyjaciół z Marsa. Oglądasz na własne oczy miecz, który zakosztował krwi wielu dzikich nieprzyjaciół, widzisz uprząż z godłem Helium i insygniami mojej rangi, oraz pistolet подарowany mi przez jeddaka Tharku, Tars Tarkasa.

– Moja wizyta nie ma żadnego celu, poza najważniejszym – spotkaniem z tobą, oraz przekonaniem się, czy potrafię przenieść z Marsa na Ziemię przedmioty nieożywione, a co za

## Szachiści Marsa

---

tym idzie, o ile zechcę, również inne żywe istoty. Ziemia przestała być moim światem. Wszystko, co dla mnie ważne, jest na Barsoom: żona, dzieci, dzieło mojego życia. Spędzimy razem spokojny wieczór, a potem wrócę na świat, który pokochałem ponad życie.

Mówiąc, opadł w fotel po drugiej stronie stolika do szachów.

– Wspomniałeś o dzieciach – zauważyłem. – Masz jakieś poza Carthorisem?

– Córkę – odpowiedział. – Niewiele młodszą od Carthorisa. To najpiękniejsza istota, jaka oddychała rzadkim powietrzem Marsa. Poza jedną. Tylko jej matka, Dejah Thoris, przewyższa moją Tarę urodą.

Przez chwilę obracał od niechcenia w palcach figurę szachową.

– Na Marsie mamy podobną do szachów grę – powiedział. – Wręcz bardzo podobną. Istnieje też lud, który podchodzi do niej bardzo poważnie, rozgrywając partie za pomocą mieczy żywych graczy. Nazywa się jetan. Plansza przypomina szachownicę, tyle że ma sto pól i używa się dwudziestu figur. Za każdym razem, kiedy widzę, jak w nią grają, myślę o mojej Tarze i o tym, co przydarzyło się jej wśród tych szachistów z Barsoom. Chcesz o tym posłuchać?

Przytaknąłem, więc zaczął opowiadać. Spróbuję oddać tę historię, trzymając się jego słów jak najwierniej potrafię, choć w trzeciej osobie, a jeśli wystąpią w niej jakieś błędy i nieścisłości, to trzeba przypisać je nie tyle Johnowi Carterowi, co mojej ułomnej pamięci. A oto owa niezwykła, marsjańska opowieść.

## ROZDZIAŁ 1

### FURIA TARY

Tara z Helium podniosła się ze stosu futer i jedwabi, na których spoczywała, przeciągnęła się leniwie i podeszła do środka komnaty, gdzie z niskiego sufitu zwisał nad wielkim stołem dysk z brązu. Harmonijne ruchy gibkiego ciała, pełne nieskażonego instynktownego wdzięku, zdradzały zdrowie i doskonałą kondycję. Owinięta była przerzuconym przez ramię szalem ze zwiewnego jedwabiu, czarne włosy były wysoko upięte. Uderzyła lekko w dysk drewnianą pałeczką. Na wezwanie odpowiedziała zaraz niewolnica, która weszła z uśmiechem do komnaty, przywitana w ten sam sposób przez swoją panią.

– Czy goście mojego ojca zaczęli już zjeżdżać? – zapytała księżniczka.

– Tak, księżniczko – odpowiedziała dziewczyna. – Widziałam dowódcę floty, Kantos Kana, księcia Sorana z Ptarthu, i Djor Kantosa, syna Kantos Kana – wymieniając to imię, posłała swojej pani łobuzerskie spojrzenie. – I... och, przyjechało już wielu, wielu innych.

– Wobec tego szykuj kąpiel, Uthio – powiedziała Tara. – Dlaczego, wspominając imię Djor Kantosa – dodała zaraz – uśmiechasz się i patrzysz w ten sposób?

Dziewczyna roześmiała się wesoło.

– Wszyscy widzą, że czci cię jak boginię – odpowiedziała.

– Nie zauważyłam – odpowiedziała Tara. – To przyjaciel mojego brata, Carthorisa, więc spędza tu wiele czasu, ale nie ze mną. To przyjaźń z moim bratem sprowadza go tak często do pałacu ojca.

– Ale Carthoris przebywa na łowach na północy z Talu, jeddakiem Okar – przypomniała służka.

– Kąpiel, Uthio! – zawołała księżniczka. – Zobaczysz, ten twój język narobi ci jeszcze kłopotów.

– Kąpiel jest gotowa, księżniczko – odpowiedziała dziewczyna ze wzrokiem wciąż roziskrzonym wesołością, ponieważ wiedziała dobrze, że jej pani nie nosiła w sercu gniewu, który mógłby wyprzeć miłość do ulubionej służącej. Idąc przed Tarą, otworzyła drzwi do sąsiedniej komnaty, w której czekała kąpiel: lśniaca tafla nasyconej wonnościami wody w marmurowym basenie, otoczonym złotym łańcuchem spoczywającym na słupkach z tego samego kruszcu, schodzących do wody po obu stronach marmurowych stopni. Światło słońca, wpadające do środka przez szklaną kopułę, odbijało się w bieli ścian z polerowanego marmuru oraz procesji wizerunków zażywających kąpeli i ryb, które, zgodnie z konwencją, osadzono w opasującym pomieszczenie szerokim pasie złota.

Tara zdjęła szal i podała go służce. Zeszła powoli po stopniach, sprawdzając temperaturę wody zgrabną stopą, niezdeformowaną przez ciasne buty i wysokie obcasy, piękną tak, jak zamierzył Stwórca, i jak rzadko w rzeczywistości się zdarza. Uznawszy, że woda jest w sam raz, dziewczyna zaczęła płynąć nieśpiesznie w basenie, poruszając się z jedwabistą zwinnością foki, to na powierzchni, to pod nią. Pod czystą skórą gładkie mięśnie grały łagodnie pozbawioną słów pieśń zdrowia, radości i wdzięku. Po niedługim czasie wynurzyła się i powierzyła dłoniom dziewczyny, która czerpała ze złotego pojemnika, nacierając ciało pani półpłynną substancją o słodkim zapachu, aż lśniącą skórę pokryła gęsta piana. Następnie księżniczka zanurkowała szybko w basenie, pozwoliła wytrzeć się miękkimi ręcznikami i kąpiel dobiegła końca. Ta prosta elegancja była typowa dla Tary, która obywatela się bez świąty niepotrzebnych niewolników, przepychu czy bezcelowego marnowania cennych chwil. Po

pół godzinie włosy miała suche i upięte w niezwykle, choć dodające uroku uczesanie odpowiadające jej randze. Dopasowała jeszcze wysadzany złotem i szlachetnymi kamieniami skórzany strój i mogła wmieszać się w tłum gości zaproszonych na uroczysty bal w pałacu Wodza.

W drodze z komnat do ogrodów, gdzie zbierali się goście, towarzyszyli jej o kilka kroków z tyłu dwaj żołnierze w barwach rodu księcia Helium: ponure przypomnienie, że na Barsoom nie można zapomnieć o skrytobójcach, którzy w pewnej mierze równoważą długowieczność mieszkańców planety, dożywających nie mniej niż tysiąca lat.

Kiedy zbliżyli się do wejścia do ogrodu, z bocznej części pałacu podeszła do nich inna kobieta w podobnej asyście strażników. Kiedy była blisko, Tara odwróciła się w jej stronę z uśmiechem i radosnym pozdrowieniem, podczas gdy strażnicy księżniczki uklękli, pochylając głowy w adoracji ukochanej przez wszystkich mieszkańców Helium istoty. Żołnierze bliźniaczych miast, kierując się wyłącznie nakazem własnych serc, zawsze witali w ten sposób Dejah Thoris, której nieprzemijająca uroda już niejedną raz pchnęła ich do krwawej walki z innymi ludami Barsoom. Lud Helium darzył żonę Johna Cartera tak wielką miłością, że równała się ona adoracji godnej bogini, którą przypominała.

Matka i córka wymieniły uprzejme, marsjańskie „Kaor” i pocałowały się, po czym weszły do ogrodów, gdzie czekali goście. Potężny wojownik wyciągnął miecz i uderzył płazem o metal tarczy, przebijając się donośnym dźwiękiem przez śmiechy i rozmowy.

– Księżniczka Dejah Thoris! – zawołał, zapowiadając zgodnie ze zwyczajem, członków rodziny królewskiej. – Księżniczka Tara z Helium! – Goście wstali. Obie kobiety pochyliły głowy. Strażnicy ustawili się po obu stronach wejścia. Kilku dostojników ruszyło do przodu, aby złożyć im wyrazy szacunku, po czym śmiech i rozmowy rozbrzmiały na nowo. Dejah Thoris wędrowała bezpretensjonalnie z córką wśród gości, nie dając w żaden sposób do zrozumienia różnic stanu, choć był tam niejedną jeddak i wielu pospolitych wojowników, których jedynym tytułem do sławy były odważne dokonania lub szlachetna miłość do ojczyzny. Na Marsie sędzi się ludzi właśnie na podstawie zasług, nie w oparciu o czyny przodków, choćby dawały potomkom powód do dumy.

Tara wędrowała powoli wzrokiem po tłumie gości, aż zatrzymała wzrok na człowieku, którego szukała. Czy zmarszczyła lekko brwi z niezadowoleniem na widok, który ujrzała, czy może oślepiło ją jaskrawe światło południowego słońca? Kto to wie! Wychowano ją w przekonaniu, że pewnego dnia poślubi Djour Kantosa, syna najlepszego przyjaciela jej ojca. Takie było szczere pragnienie Kantosa Kana i Wodza Barsoom, a Tara pogodziła się z nim niemal jak z faktem dokonany. Zdawało się, że Djour Kantos podchodził do sprawy w ten sam sposób. Rozmawiali o tym swobodnie, jak o czymś, co zgodnie z naturalną kolejną rzeczy miało nastąpić w nieokreślonej przyszłości, jak na przykład jego awans we flocie, w której dosłużył się stopnia padwara, dworskie uroczystości w pałacu jej dziadka, Tardos Morsa, jeddaka Helium, lub śmierć. Nigdy nie rozmawiali o miłości, co w tych nielicznych chwilach, kiedy zastanawiała się nad tym, zaskakiwało Tarę, ponieważ wiedziała, że ludzi, którzy zamierzali się pobrać, zaprzętały zwykle mocno kwestie związane z miłością, a ona, obdarzona zwykłą kobiecą ciekawością, zastanawiała się, jakie to było uczucie. Darzyła Djour Kantosa dużą sympatią i wiedziała, że odwzajemniał ją. Lubili spędzać ze sobą czas, ponieważ podobały im się te same rzeczy, ci sami ludzie i te same książki, a tańcząc sprawiali radość nie tylko sobie samym, ale wszystkim, którzy ich oglądali. Nie potrafiła wyobrazić sobie nawet, że mogłaby chcieć wyjść za kogokolwiek innego.

Zatem może to tylko słońce sprawiło, że ściągnęła odrobinę brwi, ujrawszy Djour Kantosa pogrążonego w rozmowie z Olwią Marthis, córką jeda Hastora. Młodzieniec powinien od razu złożyć wyrazy szacunku Dejah Thoris i jej córce; nie zrobił tego jednak i wkrótce

Tara rzeczywiście zmarszczyła czoło w niezadowoleniu. Obrzuciła Olwię Marthis powłóczytym spojrzeniem, i choć znała ją dobrze i często spotykała, dziś po raz pierwszy spojrzała na nią innym wzrokiem, najwyraźniej po raz pierwszy dostrzegając, że dziewczyna wyróżniała się urodą nawet wśród pięknych dam z Helium. Tara poczuła niepokój. Próbowała analizować swoje uczucia, ale nie było to łatwe. Olwia była jej przyjaciółką; darzyła ją sympatią i nie gniewała się na nią. A może gniewała się na Djor Kantosa? Nie, ostatecznie stwierdziła, że tak nie było. Czuła się tylko zdziwiona: zdziwiona, że Djor Kantos mógł okazać komukolwiek większe zainteresowanie niż jej. Miała już podejść do nich, kiedy usłyszała za sobą głos ojca.

– Taro! – zawołał. Obróciwszy się, ujrzała, że idzie w jej stronę w towarzystwie obcego wojownika, na którego uprząży i broni zauważyła nieznaną godło. Nawet wśród olśniewających strojów mieszkańców Helium i gości z odległych królestw, ubiór przybysza wyróżniał się barbarzyńskim przepychem. Skórę uprząży, podobnie jak pochwy mieczy i dekoracyjną kaburę długiego, marsjańskiego pistoletu, pokrywały całkowicie ozdoby z platyny, wysadzanej gęsto lśniącoymi diamentami. Idąc przez zalany światłem słońca ogród u boku Johna Cartera, rozsiewał wokół blask niezliczonych klejnotów, spowijający go świetlną aureolą, która przydawała mu odrobiny boskiej aury.

– Taro, przedstawiam ci Gahana, jedza Gathol – powiedział John Carter, zgodnie z prostym marsjańskim zwyczajem.

– Kaor, Gahanie, jedzie Gathol – odparła księżniczka.

– Składam mój miecz u twoich stóp, Taro z Helium – odpowiedział młodzieniec.

Wódz opuścił ich. Usiedli razem na ławce z ersytu pod rozłożystym drzewem sorapusa.

– Odległe Gathol – dumiała dziewczyna. – Zawsze kojarzyło mi się z przygodą, tajemnicą, i na wpół zapomnianymi sekretami starożytnych. Nie potrafię wyobrazić sobie go w teraźniejszości, może dlatego, że nigdy wcześniej nie poznałam kogoś stamtąd.

– A może i przez wielką odległość, dzielącą Helium od Gathol, oraz stosunkowo niewielkie znaczenie mojego miasta, które z łatwością zgubiłoby się w zakątku potężnego Helium – dodał Gahan. – Za to dumą nadrabiamy brak siły – dodał ze śmiechem. – Uważamy, że nasza ojczyzna to najstarsze zamieszkane miasto na Barsoom, które jako jedno z nielicznych zachowało wolność, mimo faktu, że nasze prastare kopalnie diamentów to najbogatsze znane złoża tych kamieni, które w przeciwieństwie do właściwie wszystkich pozostałych, zdają się nadal niewyczerpane.

– Opowiedz mi o Gathol – zachęcała dziewczyna. – Na samą myśl o nim czuję ciekawość. – Niewykluczone, że przystojna twarz młodego jedza również dodawała w jej oczach blasku tej dalekiej krainie.

Gahan nie sprawiał wcale wrażenia niezadowolonego z okazji, aby zatrzymać dla siebie niepodzielną uwagę uroczej rozmówczyni. Pochłaniał wzrokiem jej zachwycającą twarz, odrywając go od niej tylko po to, aby rzucić okiem na kształtną pierś, zasłoniętą częściowo przez wysadzaną klejnotami uprząż, odsłonięte ramię czy doskonały kształt ręki, iskrzącej się od pełnych przepychu naramienników.

– Z lekcji historii starożytnej pamiętasz na pewno, że Gathol zbudowano na wyspie na Throxus, największym z pięciu oceanów dawnego Barsoom. Kiedy ocean zniknął, miasto schodziło po zboczach góry, którą stała się wyspa. Obecnie zajmuje zbocza od szczytu do podnóża góry, pokrytej wewnątrz siecią kopalnianych tuneli. Ze wszystkich stron otaczają je słone bagna, chroniące nas przed najazdem od strony lądu, zaś nierówne, a często wręcz pionowe stoki góry sprawiają, że lądowanie wrogiej floty byłoby bardzo ryzykownym przedsięwzięciem.

– Oraz wasi dzielni wojownicy? – podsunęła dziewczyna.



Gahan uśmiechnął się.

– O tym dowiadują się tylko nasi nieprzyjaciele – powiedział. – I to raczej dzięki językom ze stali niż z ciała i krwi.

– Ale jakie doświadczenie w walce może mieć naród, który sama natura chroni w ten sposób przed napaścią? – zapytała Tara, której przypadła do gustu odpowiedź młodzieńca na poprzednie pytanie, choć nie potrafiła pozbyć się z myśli uporczywego, niejasnego przekonania o zniewieścieniu rozmówcy, wzbudzonego niewątpliwie przez przepych ozdób jego broni i stroju, sugerujących, że służyły raczej popisywaniu się bogactwem niż praktycznym celom.

– Choć nasza naturalna ochrona ocaliła nas niewątpliwie przy niezliczonych okazjach od klęski, nie sprawia bynajmniej, że jesteśmy całkowicie odporni na ataki – wyjaśnił. – Skarbiec Gathol jest tak wielki, że zdarzają się ludzie gotowi zaryzykować niemal nieuchronną klęskę, aby podjąć próbę splądrowania naszego niepokonanego miasta. Dzięki temu od czasu do czasu mamy okazję do ćwiczeń w walce. Ale Gathol to nie tylko miasto: mój kraj rozciąga się na dziesięć karadów na północ od Polodony<sup>[1]</sup>, od dziesiątego do dwudziestego karada na zachód od Horz, obejmując tym samym milion haadów kwadratowych, których większą część stanowią wspaniałe pastwiska, na których wypasamy wielkie stada thoatów i zitidarów.

– Ponieważ otaczają nas agresywni nieprzyjaciele, nasi pasterze muszą być prawdziwymi wojownikami, w przeciwnym razie szybko stracilibyśmy nasze stada. Możesz być pewna, że nie brak im okazji do walki. Potrzebujemy też stale robotników do pracy w kopalniach. Gatholanie uważają się za rasę wojowników i nie zniżają się do pracy pod ziemią. Prawo stanowi jednak, że każdy mieszkaniec miasta płci męskiej musi odpracować godzinę dziennie dla władcy, co jest praktycznie jedynym istniejącym podatkiem. Mimo to, wolą posłużyć się człowiekiem, który odpracuje za nich tę należność, a ponieważ mieszkańcy miasta nie zechcą wynająć się do pracy w kopalniach, musimy zdobywać niewolników, a nie muszę chyba tłumaczyć, że nie obywa się przy tym bez walki. Niewolnicy sprzedawani są na publicznym targu, a zyskiem dzielą się po połowie władca i wojownicy, którzy ich sprowadzili. Kupującym przypisuje się wartość pracy wykonanej przez ich niewolników. Po upływie roku jest to zwykle równowartość sześciu lat podatków, a o ile nie brakuje siły roboczej, niewolnik może wtedy odejść i wrócić do własnego kraju.

– Walczycie ubrani w platynę i diamenty? – zapytała z figlarnym uśmiechem Tara, wskazując wspaniały strój rozmówcy.

Gahan roześmiał się.

– Bywamy próżni – przyznał uprzejmie. – I możliwe, że przywiązujemy zbyt wielką wagę do wyglądu. W mniej ważnych dziedzinach życia rywalizujemy pod względem przepychu strojów, ale kiedy ruszamy do walki, zakładamy najprostszą uprząż, jaką widziałem też wśród wojowników Barsoom. Szczycimy się też naszą urodą, a zwłaszcza pięknem kobiet z naszego miasta. Ośmielę się wyrazić nadzieję, że pewnego dnia zaszczycisz Gathol swoją wizytą, Taro, aby mój lud ujrzał, czym jest prawdziwe piękno.

– Kobiety Helium uczą się ganić pochlebny język – odparła dziewczyna, choć jed Gathol zauważył, że uśmiechnęła się przy tym.

Przez rozmowy i śmiech przebił się słodki, czysty dźwięk trąbki.

– Taniec Barsoom! – zawołał młodzieniec. – Zechcesz mi towarzyszyć, księżniczko?

Dziewczyna zerknęła w stronę ławki, gdzie ostatnio widziała Djor Kantosa. Nie było go tam. Pochyliła głowę, przyjmując zaproszenie Gahana. Służba krążyła wśród gości, rozdając niewielkie instrumenty o jednej strunie sporządzonej z jelit, oznaczone literami wskazującymi długość i wysokość ich tonu. Kształt instrumentów wykonanych z twardego

drewna skeel umożliwił umocowanie ich paskami do lewego ramienia tańczącego. Tancerze zakładali też między pierwszą a drugą kostkę palca wskazującego prawej dłoni owinięty nicią pierścień, którym tręcali strunę instrumentu, wydobywając z niego potrzebną nutę.

Goście wstali już i szli powoli w stronę szkarłatnego trawnika na południowym krańcu ogrodu, gdzie miał odbyć się taniec, kiedy do Tary podbiegł pospiesznie Djor Kantos. – Zechcesz... – zawołał, zbliżając się do niej, ale przerwała mu gestem.

– Spóźniłeś się, Djor Kantosie – zawołała w udawanym gniewie. – Księżniczka Helium nie tańczy z guzdrałami. A teraz biegnij, żeby nikt nie odbił ci Olvii Marthis! Ona nigdy nie czeka długo na zaproszenie do tego czy innego tańca!

– Już jest zajęta – przyznał smętnie Djor Kantos.

– I chcesz powiedzieć, że przyszedłeś do mnie dopiero, kiedy ominął cię taniec z Olwią? – zapytała księżniczka, nadal udając niezadowolenie.

– Och, Taro, przecież mnie znasz – upierał się młodzieniec. – Mogłem chyba założyć, że zaczekasz na swojego jedyne go partnera w Tańcu Barsoom podczas co najmniej tuzina ostatnich przyjęć?

– I będę siedzieć, kręcąc młynka palcami, aż raczysz po mnie przyjść? – rzuciła. – O nie, Djor Kantosie, księżniczka Helium nie tańczy z guzdrałami. – Posłała mu słodki uśmiech i w asyście Gahana ruszyła w stronę zbierających się na murawie tancerzy.

Taniec Barsoom pełni podczas oficjalnych marsjańskich balów tę samą funkcję, co nasz polonez, choć jest nieskończenie bardziej złożony i piękniejszy. Zanim młody Marsjanin zostanie dopuszczony do udziału w ważnych spotkaniach towarzyskich, którym towarzyszą tańce, musi nabrać wprawy w co najmniej trzech ich rodzajach: Tańcu Barsoom, tańcu narodowym i tańcu rodzinnego miasta. W każdym z nich muzykę zapewniają sami tancerze i pozostaje ona od wieków niezmienna, podobnie jak kroki i figury, przekazywane od niepamiętnych czasów z pokolenia na pokolenie. Wszystkie tańce Marsjan są piękne i majestatyczne, ale Taniec Barsoom jest wręcz oszałamiającą epopcją ruchu i harmonii: brak w nim groteskowych póz, czy też wulgarnych lub sugestywnych ruchów. Widzi się w nim interpretację najwyższych ideałów świata, w którym celem kobiet od zawsze było piękno, gracia i czystość, mężczyzn zaś – siła, godność i wierność.

Tego dnia taniec prowadził sam Wódz Marsa, John Carter, z małżonką Dejah Thoris, a jeśli ktokolwiek mógł rywalizować z nimi o cichy podziw gości, był to olśniewający jed Gathol ze swoją uroczą partnerką. W następujących po sobie figurach tańca mężczyzna to ujmował jej dłoń, to znów obejmował ramieniem gibkie ciało, niedostatecznie zakryte wysadzaną klejnotami uprzężą. Dziewczyna z kolei, choć nie był to jej pierwszy taniec, po raz pierwszy zdała sobie sprawę z dotyku męskiego ramienia na odsłoniętym ciele. Zaniepokoiło to ją i podniosła wzrok na partnera niemal z wyrzutem, jakby to on był temu winien. Ich spojrzenia spotkały się i ujrzała w jego oczach coś, czego nigdy nie zauważyła u Djor Kantosa. Taniec właśnie się kończył i obydwójce zatrzymali się wraz z muzyką, patrząc sobie prosto w oczy. Pierwszy odezwał się Gahan z Gathol.

– Kocham cię, Taro! – oznajmił.

Dziewczyna wyprostowała się.

– Zapominasz się, jedzie Gathol! – zawołała wyniosłym tonem.

– Przy tobie zapominam o wszystkim poza tobą, księżniczko – odparł. Ścisnął żarliwie delikatną dłoń, której nie wypuścił z ręki od końca tańca. – Kocham cię, Taro z Helium – powtórzył. – Dlaczego nie chcesz słuchać tego, co miałaś odwagę przed chwilą zobaczyć... i odpowiedzieć na to?

– Co masz na myśli? – krzyknęła. – Czy wszyscy mężczyźni z Gathol są skończonymi gburami?

## Szachiści Marsa

---

– Nie są gburami ani głupcami – odparł cicho. – Potrafią rozpoznać, kiedy kochają kobietę, i kiedy ona kocha ich.

Zdjęta gniewem, Tara uderzyła stopą o ziemię.

– Precz! – powiedziała. – Precz, zanim będę musiała poinformować mojego ojca o zniewadze, wyrządzonej mu przez gościa.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– Zaczekaj! – zawołał mężczyzna. – Pozwól, że coś powiem.

– Chcesz mnie przeprosić? – zapytała.

– Nie, chcę coś przepowiedzieć – odparł.

– Nie chcę tego słuchać – ucięła i opuściła go. Czuła się dziwnie rozchwiana i wróciła zaraz do swoich pokojów, gdzie stała długo w oknie, spoglądając na północny zachód, poza szkarłatną wieżę Wielkiego Helium.

W końcu odwróciła się z gniewną miną.

– Nienawidzę go! – krzyknęła głośno.

– Kogo? – zapytała dopuszczona do poufałości pani Uthia.

Tara tupnęła nogą.

– Tego niewychowanego gburą, jeda Gathol! – krzyknęła.

Uthia uniosła wąskie brwi.

Na odgłos tupnięcia nogą z kąta pokoju podniosło się wielkie zwierzę, które podeszło do Tary, spoglądając w jej twarz. Położyła dłoń na szpetnym łbie.

– Stary, kochany Woola – powiedziała. – Nikt nie kocha tak, jak ty, a mimo to nigdy nie narzucasz się ze swoim uczuciem. Gdyby tak mężczyźni zechcieli cię naśladować!

### ROZDZIAŁ 2

## NA ŁASCE ŻYWIOŁU

Tara nie wróciła już do gości ojca, czekając zamiast tego w pokoju na spodziewaną wiadomość od Djor Kantosa, prosząc ją o powrót do ogrodu. Mogłaby wtedy odmówić dumnie. Ale prośba nie nadeszła. Początkowo Tara czuła się rozgniewana, potem urażona, a wreszcie zbита z tropu. Nie rozumiała tego. Od czasu do czasu przypominała sobie jeda Gathol, a wtedy biła nogą o ziemię, ponieważ była na niego naprawdę wściekła. Co za tupet! Dawał do zrozumienia, że zauważył w jej spojrzeniu wyraz miłości do siebie. Nigdy w życiu nie została jeszcze tak obrażona i upokorzona. Nigdy nie darzyła kogoś tak mocną nienawiścią. Odwróciła się znienacka do Uthii.

– Strój do latania! – poleciła.

– Ale goście! – zawołała niewolnica. – Wódz na pewno oczekuje twojego powrotu.

– Cóż, sprawię mu zawód – ucięła Tara.

Uthia zawahała się.

– Nie lubi, kiedy latasz sama – przypomniała.

Księżniczka poderwała się i chwyciła biedną dziewczynę za ramiona, potrząsając nią.

– Stajesz się nieznośna, Uthio! – zawołała. – Niedługo nie zostanie mi inne wyjście, jak odesłać cię na targ niewolników. Może wtedy znajdziesz właściciela, który ci odpowiada.

W delikatnych oczach służki stanęły łzy.

– To dlatego, że cię kocham, księżniczko – powiedziała miękkiem głosem. Tara poczuła, jak serce jej topnieje. Objęła niewolnicę i ucałowała ją.

– Jestem złośliwa jak thoot – powiedziała. – Wybacz mi, Uthio! Kocham cię i nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobiła, ani nie skrzywdziłabym cię w żaden sposób. Pozwól, że zwrócę ci wolność, jak już często proponowałam.

– Nie chcę wolności, jeśli oddzieli mnie od ciebie, Taro – odpowiedziała Uthia. – Przy tobie jestem szczęśliwa, bez ciebie chyba umarłabym.

Dziewczeta ucałowały się znowu.

– A zatem nie polecisz? – zapytała niewolnica.

Tara roześmiała się i uszczypnęła ją.

– Ty małe uparte stworzenie – zawołała. – Jasne, że polecę! Czy nie robię zawsze tego, na co mam ochotę?

Uthia potrząsnęła ze smutkiem głową.

– Niestety tak – przyznała. – Wódz jest nieugięty wobec wszystkich istot poza dwiema. Przy tobie i Dejah Thoris jest jak glina w dłoniach garncarza.

– W takim razie biegnij zaraz, jak dobra kochana służka, i przynieś moją uprzęż do latania – poleciła księżniczka.

\*

Śmigły statek Tary pędził ponad żółtawym dnem morza, daleko od bliźniaczych miast Helium. Podekscytowana prędkością, wysokością i posłuszeństwem niewielkiego pojazdu dziewczyna mknęła na północny zachód. Nie zastanawiała się, dlaczego obrała akurat ten kierunek. Może dlatego, że tam leżały najsłabiej poznane obszary Barsoom, a co za tym idzie

– przygoda i tajemnica. Leżało tam również Gathol, ale akurat ten fakt nie docierał do jej świadomości.

Za to od czasu do czasu powracało do niej wspomnienie jeda odległego królestwa, choć reakcja na te myśli nie należała do przyjemnych. Nadal wywoływały na jej policzkach rumieniec wstydu, a serce zaczynało bić gniewnie. Gniewała się na Gahana i choćby miała nigdy go już nie spotkać, była pewna, że nienawiść do niego pozostanie zawsze świeża w jej pamięci. Myślami krążyła przede wszystkim wokół innego mężczyzny: Djour Kantosa, a myśląc o nim, myślała o Olvii Marthis z Hastor. Tara czuła się zazdrosna o śliczną Olwię, co napawało ją gniewem. Czuła się wściekła na Djour Kantosa i na siebie samą, ale nie na Olwię. Kochała przyjaciółkę, nie mogła więc być o nią tak naprawdę zazdrosna. Rzecz w tym, że po raz pierwszy w życiu sprawy nie ułożyły się po jej myśli. Djour Kantos nie przybiegł jak gorliwy niewolnik, kiedy się tego spodziewała, a na domiar wszystkiego świadkiem jej upokorzenia był nieznajomy – Gahan, jed Gathol! Widział, że nie poproszono jej do tańca na początku balu i próbując ocalić ją niewątpliwie przed hańbą podpierania ścian, ruszył jej na odsiecz. Przypomniawszy sobie o tym, Tara poczuła, jak całe ciało zapłonęło ze wstydu, po czym ogarnęła ją nagle chłodna furia. Okręciła statek tak gwałtownie, że omal nie wyrwała jej z uprząży przytrzymującej ją do wąskiego, płaskiego pokładu. Wróciła do domu tuż przed zmierzchem. Goście zdążyli się już rozejść. W pałacu panował spokój. Godzinę później dołączyła do ojca i matki przy kolacji.

– Zostawiłaś nas, Taro – powiedział John Carter. – Nie tego oczekują moi goście.

– Nie przybyli tu dla mnie – odparła księżniczka. – Nie zapraszałam ich.

– Niemniej byli twoimi gośćmi – stwierdził jej ojciec.

Dziewczyna wstała, podeszła do niego i objęła ramionami za szyję.

– Mój stary, dobrze wychowany Wirginijczyk – powiedziała, mierzwiąc mu gęstą czuprynę.

– W Wirginii ojciec przełożyłby cię przez kolano i spuścił lanie – odpowiedział ze śmiechem.

Usiadła mu na kolanach i ucałowała.

– Już mnie nie kochasz – oświadczyła. – Nikt mnie nie kocha. – Nie zdołała jednak zrobić nadąsanej miny, ponieważ z jej ust wyrwał się kpiący śmiech.

– Sęk w tym, że kocha cię aż zbyt wielu ludzi – powiedział. – A teraz dołączył do nich kolejny.

– Coś takiego! – zawołała. – Co masz na myśli?

– Gahan z Gathol prosił, abym pozwolił mu ubiegać się o twoją rękę.

Dziewczyna wyprostowała się i zadarła podbródek.

– Nie wyjdę za chodzącą kopalnię diamentów – oświadczyła. – Nie chcę go.

– Dokładnie to samo mu powiedziałem – odpowiedział ojciec. – I dodałem, że praktycznie jesteś już zaręczona z innym. Odpowiedział bardzo uprzejmie, równocześnie dając jednak do zrozumienia, że zwykł dostawać to, czego chce, a na tobie zależy mu bardzo. To pewnie oznacza kolejną wojnę. No cóż, Helium toczyło wiele wojen z powodu urody twojej matki i... pewnie gdybym był młody, sam puściłbym z ogniem cały świat, żeby cię zdobyć, jak zrobiłbym to nadal dla twojej niezrównanej matki. – Posłał uśmiech ponad stołem i zastawą ze złota w stronę nieprzyćmionej urody najpiękniejszej kobiety Marsa.

– Nasza dziewczynka nie powinna jeszcze myśleć o takich sprawach – orzekła Dejah Thoris. – Pamiętaj, że nie mówimy o ziemskim dziecku, które zdążyłoby przeżyć ponad połowę swego czasu, zanim córka Barsoom osiągnie dojrzałość.

– Ale czy dzieci Barsoom nie wychodzą czasem za mąż już w wieku dwudziestu lat? – zapytał.

– Owszem, ale w oczach mężczyzn będą godne požądania nawet, kiedy czterdzieści pokoleń Ziemiaków obróci się w proch. Na Barsoom nie ma pośpiechu. Nie gaśniemy tu i nie starzejemy się, jak dzieje się podobno z mieszkańcami twojego świata, choć ty sam zadajesz kłam własnym słowom. Kiedy nadejdzie stosowna pora, Tara wyjdzie za Djour Kantosa. Do tego czasu nie wnikajmy dalej w tę sprawę.

– Nie – powiedziała dziewczyna. – Ten temat mnie drażni. Nie wyjdę za Djour Kantosa, ani za żadnego innego. W ogóle nie wyjdę za męża.

Rodzice spojrzeli na nią i uśmiechnęli się.

– Kiedy Gahan wróci, może spróbuje cię porwać – stwierdził John Carter.

– Wyjechał? – zapytała dziewczyna.

– Rano jego statek wylatuje do Gathol – odpowiedział ojciec.

– A zatem nigdy go już nie zobaczę – zauważyła Tara z westchnieniem ulgi.

– On jest innego zdania – odparł John Carter.

Dziewczyna zbyła temat wzruszeniem ramion, po czym rozmowa zeszła na inne sprawy. Przyszedł list od Thuvii z Ptarthu, która składała wizytę na dworze ojca, podczas gdy jej małżonek, Carthoris, przebywał na łowach w Okar. Otrzymano wieści, że Tharkowie i Warhoonowie znowu prowadzili ze sobą wojnę, czy też raczej, że znowu doszło do bezpośredniego starcia, ponieważ oba narody pozostawały stale w stanie wojny. Za ludzkiej pamięci między obiema hordami zielonoskórych nie było nigdy pokoju, jedynie jednorazowe, chwilowe zawieszenia broni. W Hastor wypuszczono dwa nowe okręty powietrzne. Niewielka grupa świętych thernów próbowała wskrzesić starą, zdyskredytowaną religię Issus, której duch według ich twierdzeń żył nadal i nawiązał z nimi kontakt. Z Dusar doszły pogłoski o wojnie. Pewien naukowiec twierdził, że odkrył życie na dalszym z księżyców Barsoom. Jakiś szaleniec próbował zniszczyć fabrykę powietrza. Podczas ostatnich dziesięciu zódów<sup>[2]</sup> w Wielkim Helium zginęło siedem osób.

Po posiłku Dejah Thoris i John Carter zasiedli do partii jetana, marsjańskich szachów, rozgrywanych na planszy o stu ułożonych naprzemiennie czarnych i pomarańczowych polach. Obaj gracze mają do dyspozycji dwadzieścia czarnych lub pomarańczowych figur. Krótki opis gry zaciekawi być może ziemskich czytelników, którzy interesują się szachami, a przyda się również śledzącym tę opowieść do samego końca, ponieważ na długo przed nim znajomość jej zasad pogłębi ciekawość czekających na odsłonę wydarzeń.

Figury rozstawione są na planszy jak w szachach, w dwóch rzędach. W skrajnym rzędzie są to od lewej do prawej: Wojownik, Padwar, Dwar, Statek, Wódz, Księżniczka, Statek, Dwar, Padwar, Wojownik. Wszystkie figury kolejnego rzędu to Pantani, z wyjątkiem ustawionych po bokach Thoatów, które przedstawiają jeźdźców.

Pantani, wojownicy z jednym piórem, mogą przesunąć się o jedno pole w dowolnym kierunku, byle nie do tyłu. Thoaty, jeźdźcy o trzech piórach, mogą poruszać się o jedno pole do przodu i jedno na ukos, przeskakując stojące na drodze figury. Wojownicy, piechurzy o dwóch piórach, poruszają się o dwa pola w dowolnym kierunku na wprost lub po przekątnej. Padwar, porucznik o dwóch piórach, może przesunąć się o dwa pola na ukos w dowolnym kierunku lub ruchem łączonym. Dwar, kapitan o trzech piórach, przesuwa się o trzy pola w dowolnym kierunku na wprost lub ruchem łączonym. Statek, przedstawiony przez śmigło o trzech ostrzach, porusza się o trzy pola na ukos w dowolnym kierunku lub ruchem kombinowanym i może przeskakiwać stojące na drodze figury. Wódz, wyróżniający się diademem o dziesięciu klejnotach może poruszać się o trzy pola w dowolnym kierunku, prosto lub na ukos. Księżniczka, z diademem o jednym klejnocie, porusza się tak samo jak Wódz, przy czym może przeskakiwać stojące na drodze figury.

Partia zostaje wygrana, kiedy figura któregoś z graczy ląduje na tym samym polu, co Księżniczka przeciwnika, lub kiedy Wódz zbije Wodza, pozostaje zaś nierozstrzygnięta, kiedy Wódz któregoś z graczy zostaje zbity przez jakąkolwiek inną figurę przeciwnika lub kiedy obu stronom zostało tylko po trzy lub mniej figur równej wagi, zaś gra nie skończy się po dziesięciu ruchach, po pięć na każdą stronę. Tak pokrótce wygląda gra, której oddawali się John Carter i Dejah Thoris, kiedy Tara powiedziała im dobrej nocy, po czym oddała się na spoczynek do swoich pokojów. – Do rana, kochani – zawołała, wychodząc z sali, nie domyślając się nawet, podobnie jak jej rodzice, że widzą się być może po raz ostatni.

Poranek wstał szary i posępny. Złowieszcze chmury kłębiły się niespokojnie tuż nad ziemią. Tuż pod nimi niesione wiatrem szczątki mknęły na północny zachód. Tara przyglądała się z okna temu niezwykłemu widowisku. Gęste chmury rzadko przesłaniają niebo nad Barsoom. O tej porze dnia jeździła zwykle na jednym z niewielkich thoatów, służących czerwonym Marsjanom za wierzchowce, ale widok skłębionych obłoków obudził w niej żądzę przygody. Uthia spała jeszcze i księżniczka nie obudziła jej. Zamiast tego, ubrała się po cichu i wyszła do położonego na dachu pałacu – dokładnie nad jej pokojami – hangaru, w którym trzymała szybki statek powietrzny. Nigdy jeszcze nie leciała w chmurach, a zawsze chciała tego spróbować. Wiatr był silny i z trudem udało jej się wyprowadzić bez szkód pojazd z hangaru, ale kiedy już wystartowała, wystrzeliła w górę ponad bliźniacze miasta. Porywisty wiatr złapał statek i zaczął nim rzucać, a dziewczyna roześmiała się z czystej radości. Kierowała statkiem jak doświadczony pilot, choć niewielu doświadczonych pilotów ośmieliłoby się stawić czoło burzy w tak drobnej lupinie. Wzbiła się zaraz w stronę chmur, ścigając się z niesionymi pędzącym wiatrem smugami. Po chwili pochłonęła ją skłębiona w górze masa. Odkryła nowy świat chaosu, w którym była jedyną żywą istotą; okazał się jednak pusty, wilgotny i zimny, kiedy więc minęło pierwsze uniesienie nowością, przytłaczająco wielkie siły przelewające się wokół niej napełniły ją przygnębieniem. Poczula się nagle bardzo samotna, wyziębiona i mała. Poderwała statek do góry, aż wyskoczyła w jaskrawy blask słońca, który obracał górne warstwy ponurego żywiołu w skłębioną masę lśniącego srebra. Nadal czuła chłód, ale nie było tu już wilgoci chmur, a pod jasnym spojrzeniem słońca wraz ze wznoszeniem się wskazówki wysokościomierza odzyskiwała pogodę ducha. Kiedy spoglądała na chmury, które znalazły się daleko w dole, wydawało się jej, że zawisała bez ruchu na niebie, ale warkot śmigła, uderzenia wiatru i wysokie wskazania wznoszącego się i opadającego prędkościomierza zdradzały, że leciała z ogromną prędkością. Postanowiła zawrócić.

Spróbowała wykonać zwrot nad chmurami, ale bez powodzenia. Z zaskoczeniem odkryła, że wiatr, kołyszący małym statkiem i bijący o jego burty, nie pozwala jej nawet zawrócić. Zeszła prędko w ciemną, smaganą wiatrem strefę między pędzącymi chmurami a posępną powierzchnią spowitej cieniem planety. Ponownie próbowała obrócić dziób statku w stronę Helium, ale burza pochwyliła kruchy pojazd i rzucała nim bezlitośnie, obracając raz po raz, jak kawałek korka w przelomach rzeki. W końcu dziewczynie udało się wyrównać lot niebezpiecznie blisko ziemi. Nigdy jeszcze nie otarła się tak blisko o śmierć, choć nie czuła przerażenia. Ocaliło ją opanowanie oraz wytrzymałość uprząży przytrzymującej ją na pokładzie. Lecąc z burzą, była bezpieczna, ale dokąd znosił ją wiatr? Pomyślała o obawach rodziców, kiedy nie pojawi się na śniadaniu. Odkryją, że statek zniknął i domyślą się, że leży gdzieś na trasie burzy strzaskaną i poskręcaną masą nad jej zwłokami, po czym odważni ludzie będą ryzykować życiem, ruszając na jej poszukiwania, które musiały kosztować życie wielu osób, ponieważ była pewna, że za jej życia nad Barsoom nie szalała nigdy tak silna burza.

Musiała zawrócić! Musiała dotrzeć do Helium, zanim ta szalona gonitwa za dreszczem uniesienia pozbawi życia choćby jednego człowieka! Uznała, że ponad chmurami będzie bezpieczniejsza i będzie miała większe szanse powodzenia, po raz kolejny przebiła się więc przez chłodne, szarpane wiatrem opary. Wiatr zdawał się nie słabnąć, a wręcz przybierał na sile, leciała teraz z ogromną prędkością. Próbowwała stopniowo zwalniać, ale choć udało się jej w końcu odwrócić kierunek obrotów silnika statku, wiatr nadal niósł ją, gdzie chciał. Tara straciła cierpliwość. Czyż świat nie słuchał zawsze wszelkich jej życzeń? Czym były żywioły, które ośmielały się drwić z jej zamiarów? Przekonają się, że córce Wodza Marsa się nie odmawia! Dowiedzą się, że nawet siły natury nie narzucą swej woli księżniczce Helium!

Zaczęła znów lecieć do przodu i zaciskając z ponurą determinacją zdrowe, białe zęby, przesunęła dźwignię steru daleko w lewo, zamierzając skierować dziób statku prosto w paszczę wiatru. Sztorm chwycił zaraz kruchy pojazd, obrócił go do góry dnem, kręcił nim, obracał i rzucał na wszystkie strony. Śmigło pracowało przez chwilę w dziurze powietrznej, po czym wichura złapała je znowu i zerwała z obsady, zostawiając dziewczynę bezradną na pozbawionej napędu łupinie, która wznosiła się i opadała, przewracała i obracała, jak igraszka żywiołów, którym rzuciła wyzwanie. Tara poczuła przede wszystkim zaskoczenie, że sprawy nie ułożyły się po jej myśli. Dopiero potem zaczęła martwić się, nie tyle o własne bezpieczeństwo, co o zaniepokojonych rodziców oraz ryzyko, które musiała podjąć grupa poszukiwawcza. Wyrzucała sobie bezmyślny egoizm, przez który wystawiła na niebezpieczeństwo życie innych ludzi. Oczywiście, zdawała sobie również sprawę z własnego zagrożenia, ale nie czuła lęku, jak przystało na córkę Dejah Thoris i Johna Cartera. Wiedziała, że dzięki zbiornikom wypornościowym statku mogła utrzymywać się w powietrzu bez końca; nie miała jednak jedzenia ani wody, a wiatr znosił ją coraz dalej w stronę słabo zbadanych obszarów Barsoom. Może lepiej byłoby wylądować od razu i czekać na ekipę ratunkową niż pozwolić, aby burza porwała ją jeszcze dalej od Helium, tym samym zmniejszając szanse na szybki ratunek. Zszedłszy jednak w stronę powierzchni, odkryła zaraz, że próba lądowania przy tak silnym wietrze równa się samobójstwu, wobec czego wzbiła się zaraz wyżej.

Niesiona kilkaset stóp nad ziemią mogła lepiej docenić ogrom burzy, niż lecąc w stosunkowo spokojnej strefie nad chmurami. Teraz widziała wyraźnie działanie wiatru na powierzchnię Barsoom. Powietrze wypełniał pył i lecące drobiny roślin, a kiedy znalazła się nad terenami uprawnymi, ujrzała, jak wiatr unosił w powietrze i rozrzucał na wielkiej przestrzeni potężne drzewa, kamienne mury i budynki, po czym pognął ją dalej. W myślach Tary zrodziło się przybierające gwałtownie na sile przekonanie, że była jednak niewielką, mało znaczącą i bezradną osobką. Dopóki trwało, uczucie to było wstrząsem dla jej dumy, a pod wieczór zaczęła mieć wrażenie, że będzie trwało wiecznie. Burza nie straciła wcale na sile, nic też nie wskazywało na to, aby się na to zanosilo. Mogła tylko snuć domysły co do tego, jak daleko zniosła ją wichura, ponieważ nie dowierzała wysokim wskazaniom licznika mil. Wydawały się niewiarygodne, ale mimo jej wątpliwości były prawdziwe: w dwanaście godzin przeleciała i została zniesiona przez sztorm o pełne siedem tysięcy haadów. Tuż przez zmrok trafiła nad jedno z opuszczonych miast starożytnego Marsa, którym – choć nie wiedziała tego – było Torquas. Gdyby zdała sobie z tego sprawę, można by jej wybaczyć utratę resztek nadziei, ponieważ dla mieszkańców Helium jest ono równie odległe jak dla nas wyspy Morza Południowego. Tymczasem burza, nie tracąc na sile, niosła ją coraz dalej.

Całą noc pędziła w mroku pod chmurami, lub wzbijała się w górę, lecąc przez rozświetloną księżycowym blaskiem obu satelitów Barsoom pustkę. Czuła się wyziębiona, głodna i na wskroś nieszczęśliwa, ale wbrew podpowiedziom rozsądku jej nieugięte serce nie chciało uznać jej położenia za beznadziejne. Na podszepty rozumu odpowiadała, od czasu do



czasu wymawiając te słowa na głos w gwałtownym sprzeciwie, wyrazem spartańskiego uporu jej ojca w obliczu nieuniknionej śmierci: „Jeszcze nie zginęłam!”.

Tego rana w pałacu Wodza pojawił się wczesny gość. Był nim Gahan, jed Gathol. Przybył zaraz po tym, jak zauważono zniknięcie Tary, i w zamieszaniu pozostał niezapowiedziany, dopóki sam John Carter nie wpadł na niego w wielkim korytarzu pałacu, biegnąc, aby rozesłać statki na poszukiwania córki.

Gahan dostrzegł troskę na twarzy Wodza.

– Wybacz, jeśli się narzucam – powiedział. – Chciałem tylko prosić, abyś pozwolił mi zostać tu jeszcze jeden dzień, ponieważ próba lotu w tej burzy byłaby szaleństwem.

– Zostań, jak długo chcesz, Gahanie. Będziesz mile widzianym gościem – odparł John Carter. – Ale do powrotu mojej córki wybacz, jeśli wyda ci się, że nie poświęcam ci należytej uwagi.

– Powrotu twojej córki?! Co chcesz przez to powiedzieć? – zawołał Gahan. – Nie rozumiem.

– Zniknęła, razem ze swoim statkiem. To wszystko, co wiemy. Przypuszczam tylko, że chciała polatać przed śniadaniem i została porwana przez burzę. Wybacz, że zostawię cię teraz, właśnie wysyłam statki na poszukiwania... – Ale jed Gathol biegł już w stronę bramy pałacowej. Wskoczył na grzbiet czekającego thoata i w towarzystwie dwóch żołnierzy w strojach z Gathol, popędził ulicami Helium w kierunku pałacu, w którym gościł.

## ROZDZIAŁ 3

### BEZGŁOWI LUDZIE

Krażownik „Vanator” miotał się przytrzymywany jęczącymi w porywistym wietrze mocnymi linami nad dachem pałacu goszczącym świtę jedą Gathol. O powadze sytuacji świadczyły zatroskane twarze członków załogi, których obowiązki wymagały obecności na pokładzie walczącego z żywiołem statku. Wyłącznie wytrzymała uprzęż broniła ich przed zmiecieniem z pokładu, podczas gdy ludzie na dachu pałacu musieli czepiać się kurczowo słupków i balustrad, aby nie porwał ich kolejny podmuch kosmicznej furii. Na dziobie „Vanatora” widniało godło Gathol, ale na górnym pokładzie nie wywieszono żadnych proporców. Burza porwała już kilka, jeden po drugim, a obserwującym zdawało się, że ten sam los czeka i statek. Nie wierzyli, że jakiegokolwiek cumy mogły opierać się długo równie tytanicznej sile. Każdej z dwunastu lin trzymał się mocno muskularny wojownik z obnażonym mieczem. Gdyby choć jedna z nich ustąpiła przed siłą wiatru, musieli przeciąć jednocześnie pozostałe, ponieważ umocowany tylko częściowo statek był skazany na zniszczenie, podczas gdy puszczony luzem w burzy miał choć nikłe szanse na przetrwanie.

– Na krew Issus, chyba wytrzymają! – krzyknął jeden z wojowników do drugiego.

– W przeciwnym razie niech duchy przodków mają w opiece zuchów na pokładzie – odpowiedział inny ze stojących na dachu. – Jeśli liny puszczą, nie minie dużo czasu, zanim załoga wybierze się w ostatnią wędrówkę. Ale wygląda na to, że wytrzymają, Tanusie. Bądźmy wdzięczni, że nie wylecieliśmy przed nadejściem burzy; dzięki temu mamy przynajmniej szansę na przeżycie.

– Owszem – odparł Tanus. – Nie chciałbym lecieć dzisiaj nawet najmocniejszym statkiem, jaki żeglował po niebie Barsoom.

Na dachu pojawił się Gahan w towarzystwie reszty świty i dwunastu wojowników z Helium. Młody wódz odwrócił się do swoich żołnierzy.

– Wyruszę zaraz na pokładzie „Vanatora” na poszukiwanie księżniczki Helium, która została prawdopodobnie porwana przez burzę na pokładzie jednoosobowego statku – oświadczył. – Nie muszę wam mówić, jak niewielkie są szanse, że statek oprze się sile żywiołu, i nie zamierzam zmuszać was, żebyście ruszali ze mną na spotkanie śmierci. Niech ci, którzy nie chcą lecieć, zostaną. Nikt nie odmówi im honoru. Pozostali lecą ze mną – Z tymi słowami skoczył do drabiny sznurowej, miotającej się wściekle w porywach wiatru.

Pierwszy poszedł w jego ślady Tanus, a kiedy ostatni z Gatholian dotarł na pokład statku, na dachu zostało tylko dwunastu żołnierzy Helium, którzy z obnażonymi mieczami zajęli pozycje przy cumach.

Żaden z wojowników na pokładzie „Vanatora” nie chciał go opuścić.

– Niczego innego się nie spodziewałem – oświadczył Gahan i z pomocą obecnych na statku przypiął się do pokładu. W ślad za nim zrobiła to reszta załogi. Kapitan krażownika potrząsnął głową. Kochał swój wymuskany statek, dumę niewielkiej floty Gathol, i myślał nie o sobie, a o nim. Oczami wyobraźni widział już, jak leży poskręcany i rozbity wśród żółtych mchów na dnie jakiegoś dalekiego morza, aby paść łupem dzikiej hordy zielonoskórych. Spojrzał na Gahana.

– Gotowy, San Tothisie? – zapytał jed.

– Wszystko gotowe.

– Ciąć cumy!

## Szachiści Marsa

---

Po pokładzie i w dół, do żołnierzy Helium, podano rozkaz, aby przecięli cumy po trzecim wystrzale. Dwanaście mieczy musiało uderzyć równocześnie z równą siłą, jednocześnie przecinając mocne liny o potrójnym splocie, aby żadna zaplątana w bloczku końcówka nie sprowadziła na „Vanatora” błyskawicznej zagłady.

Bum! Odgłos działka sygnałowego poniósł się w wyjąym wietrze do dwunastu wojowników na dachu. Bum! Dwanaście kling uniosło się w krzepkich ramionach. Bum! Dwanaście ostrzy przecięło jednocześnie dwanaście zawodzących na wietrze cum.

Obracając śmigłami, „Vanator” wystrzelił do przodu w burzę. Żywiol uderzył pancerną pięścią w rufę i podniósł wielki statek, stawiając go na dziobie, po czym pochwycił go i zakręcił nim jak dziecięcym bakiem. Dwunastu wojowników na dachu pałacu przyglądało się w cichej bezradności, modląc się za dusze śmiałków ruszających na spotkanie śmierci. Statek obserwowali też inni z wysokich lądowisk Helium i tysiąca hangarów na niezliczonych dachach miasta, ale przerwa w przygotowaniach do beznadziejnych z pozoru poszukiwań księżniczki w przerażającym powietrznym żywiole trwała tylko chwilę, tak odważni są wojownicy z Barsoom.

„Vanator” nie uderzył jednak o powierzchnię, a przynajmniej nie na oczach śledzących go obserwatorów, choć dopóki pozostawał w polu widzenia, ani razu nie udało mu się wyrównać lotu. Czasami kładł się to na jedną, to na drugą burtę, innymi razy pędził przed siebie z zadartym do góry kilem, to znów obracał się i stawał na dziobie lub na rufie, miotany kapryсами szarpiącego nim żywiołu. Wyglądało na to, że wiatr popychał po prostu wielki statek wraz z innymi, wielkimi i drobnymi, szczątkami wypełniającymi powietrze. Nigdy w ludzkiej pamięci i kronikach historii podobna burza nie szalała nad Barsoom.

Po chwili zapomniano o krążowniku, kiedy strzelista szkarłatna wieża, od wieków stanowiąca główny znak rozpoznawczy Małego Helium, roztrzaskała się o ziemię, szerząc w mieście śmierć i zniszczenie. Zapanowała panika. W ruinach wybuchł pożar. Wszystkim służbom miejskim brakowało ludzi. Wtedy Wódz, który również oglądał start statku z Gathol, zdając sobie sprawę z bezcelowości tracenia ludzi potrzebnych pilnie do ratowania Małego Helium przed całkowitym zniszczeniem, wydał rozkaz, aby ekipy ratunkowe, które miały ruszać na poszukiwania Tary, zajęły się miastem.

Zaraz po południu drugiego dnia burza zaczęła się uspokajać i przed zachodem słońca mały statek, którym Tara dryfowała tak długo zawieszona między życiem a śmiercią, płynął wolno nad łagodnymi wzgórzami, tworzącymi niegdyś wyniosłe góry jakiegoś kontynentu. Dziewczyna była wyczerpana z braku snu, jedzenia i picia, oraz przez reakcję na przerażające doświadczenia. Niedaleko, zaraz za szczytem pobliskiego wzgórza, ujrzała przez chwilę coś, co wyglądało na zwieńczoną kopułą wieżę. Obniżyła szybko lot, aż ukryła się całkiem za wzgórzem przed wzrokiem potencjalnych mieszkańców budowli. Wieża oznaczała siedziby ludzkie, a tym samym obecność wody, a może i jedzenia. Gdyby okazała się opuszczonym reliktem minionych epok, raczej nie było widoków na znalezienie w niej niczego do jedzenia, ale nadal istniała szansa, że będzie tam woda. Gdyby była zamieszkana, musiała zachować ostrożność, ponieważ w tak dalekiej krainie mogła natknąć się wyłącznie na wrogów. Tara wiedziała, że była na pewno bardzo daleko od bliźniaczych miast państwa jej dziadka, ale gdyby jej domysły zbliżyły się choć o tysiąc haadów do rzeczywistości, rozpaczliwe położenie, w jakim się znalazła, sprawiłoby ją w osłupienie.

Utrzymując statek nisko dzięki nienaruszonym zbiornikom wypornościowym, dziewczyna dryfowała tuż nad ziemią, aż delikatny wiatr zaniósł ją na zbocze ostatniego wzgórza dzielącego ją od budowli, którą uznała za wzniesioną przez ludzi wieżę. Tu

posadziła pojazd na ziemi wśród karłowatych drzew i wciągnęła go pod jedno z nich, gdzie był częściowo zasłonięty przed przelatującymi w górze jednostkami, po czym uwiązała go i ruszyła na zwiad. Jak większość kobiet o jej pozycji za całą broń miała wąski sztylet, wobec czego w nagłej potrzebie, w jakiej właśnie się znalazła, była zdana niemal wyłącznie na własny spryt, który pomagał jej uniknąć zauważenia przez nieprzyjaciół. Zachowując najwyższą czujność, podczołgała się na szczyt wzgórza, wykorzystując wszelkie dostępne osłony, aby ukryć się przed potencjalnymi obserwatorami z przodu, a od czasu do czasu oglądając się szybko za siebie, aby uniknąć zaskoczenia z tej strony.

Dotarła wreszcie na szczyt, gdzie zza osłony niskiego krzewu widziała, co leżało za wzgórzem. W dole rozciągała się przed nią otoczona niskimi wzgórzami piękna dolina, usiana licznymi okrągłymi wieżami o kopulastych dachach. Każdą z nich otaczał kamienny mur, ogradzający parę akrów. Dolina wyglądała na intensywnie uprawianą. Po drugiej stronie wzgórza, zaraz pod sobą widziała wieżę, której dach przyciągnął wcześniej jej uwagę. Pod wszystkimi względami wydawała się identyczna z położonymi dalej w dolinie: otoczona wysokim, masywnym murem budowla o szarych ścianach pokrytych jaskrawymi wizerunkami niezwykłego godła. Wieża miała jakieś czterdzieści sofadów<sup>[3]</sup> średnicy i około sześćdziesięciu wysokości od podstawy do kopuły. Mieszkańcom Ziemi skojarzyłyby się zaraz z silosami, w których hodowcy bydła przechowują kiszonkę dla stad, ale dokładniejsze spojrzenie, które pozwoliłoby zauważyć kilka wąskich okien oraz niezwykłą konstrukcję kopuły, zmieniłoby tę opinię. Tara zauważyła, że kopuły wyglądały na wyłożone niezliczoną ilością szklanych pryzmatów, które w świetle zachodzącego słońca iskrzyły się tak oślepiającym blaskiem, że przypomniały jej nagle wspaniałe strój jeda Gathol. Przypomniawszy sobie o nim, potrząsnęła gniewnie głową i przesunęła się ostrożnie o stopę czy dwie do przodu, aby znaleźć lepszy punkt obserwacyjny na pobliską wieżę i dziedziniec.

Spojrząwszy w dół na dziedziniec najbliższej wieży, Tara przez chwilę ściągnęła brwi w zdumieniu, po czym otworzyła szeroko oczy z miną wyrażającą podszyte grozą niedowierzanie. Ujrzała bowiem około dwudziestu ludzkich ciał, nagich i bezgłowych. Przez dłuższą chwilę przyglądała im się, wstrzymując oddech i nie dowierzając świadectwu własnych oczu: te przerażające istoty poruszały się i żyły! Zauważyła, że pełzają po sobie, macając dookoła palcami. Niektóre spoczywały przy korytach, których pozostałe zdawały się szukać. Wyglądało na to, że sięgały do nich, i wyjmowały coś, wkładając to do otworu umieszczonego w miejscu, gdzie powinna znajdować się szyja. Nie były zbyt daleko: widziała je wyraźnie i zauważyła, że ciała należały zarówno do mężczyzn jak i do kobiet, oraz że były pięknie zbudowane, a odcień ich skóry przypominał jej własną miedzianą barwę, choć był nieco jaśniejszy. Początkowo uznała, że patrzy na rzeźnię, a ciała, pozbawione przed chwilą głów, poruszają się jeszcze poruszone reakcją nerwów, zaraz jednak uświadomiła sobie, że to właśnie był ich właściwy stan. Zafascynowana grozą, prawie nie mogła oderwać od nich wzroku. Macające na oślep dłonie wskazywały wyraźnie, że istoty nie miały oczu, a niemrawe ruchy sugerowały szczątkowy układ nerwowy i odpowiednio niewielki mózg. Dziewczyna próbowała dociec, w jaki sposób utrzymywały się przy życiu, ponieważ nawet wyteżając do granic wyobraźni, nie potrafiła dostrzec w tych stworach uprawiających ziemię rozumnych istot. Mimo to, wszystko wskazywało na to, że dolina była uprawiana, a stworom nie brakowało pożywienia. Kto uprawiał ziemię? Kto hodował i karmił te biedne stworzenia, i w jakim celu to robił? Ta zagadka przekraczała jej zdolności dedukcji.

Widok jedzenia sprawił, że znów poczuła doskwierający głód i palące gardło pragnienie. Na dziedzińcu zauważyła wodę i jedzenie, ale nawet gdyby zdołała znaleźć jakieś wejście, czy zdobyłaby się na to, by tam wejść? Szczerze wątpiła, ponieważ sama myśl o kontakcie z makabrycznymi stworami wywoływała w niej dreszcz przerażenia.

Powędrowała wzrokiem przez dolinę, aż dostrzegła coś, co wyglądało na wijący się wśród pól niewielki strumień. Niezwykły widok na Barsoom! Gdyby to była woda! Odzyskałaby nadzieję, ponieważ w nocy mogła szukać pożywienia na polach, a za dnia ukrywać się wśród otaczających wzgórz, dopóki nie pojawi się kiedyś ekipa ratunkowa, ponieważ John Carter z pewnością nie ustałby w poszukiwaniach córki, zanim nie przeczesałby wielokrotnie każdego haada kwadratowego planety. Znała swojego ojca i wojowników Helium, wiedziała więc, że gdyby tylko zdołała unikać niebezpieczeństw do ich przybycia, w końcu na pewno by się zjawili.

Przed zapuszczeniem się w dolinę musiała poczekać do zmroku. Uznała, że najlepiej wykorzysta ten czas, rozglądając się w pobliżu za bezpieczną kryjówką przed dzikimi zwierzętami. Możliwe, że w okolicy nie było drapieżników, ale w obcej krainie nie mogła być tego pewna. Miała już wycofać się za grzbiet wzgórza, kiedy jej uwagę przyciągnął jakiś ruch na dziedzińcu w dole. Z wieży wyłoniły się dwie postaci o pięknych ciałach, na pozór identycznych z ciałami zalegających na ziemi stworów. Nowo przybyli nie byli jednak bezgłowi. Na karkach mieli osadzone głowy, które przypominały ludzkie, choć dziewczyna wyczuła instynktownie, że tak nie było. Znajdowali się nieco za daleko, żeby widziała ich wyraźnie w słabnącym świetle dnia, ale dostrzegła, że były za duże i nieproporcjonalne w stosunku do idealnie ukształtowanych ciał, oraz lekko spłaszczone. Zauważyła, że obaj ludzie mieli na sobie uprząż, w której wisiało zwykłe uzbrojenie wojowników Barsoom: krótki i długi miecz. Obaj nosili też na krótkich szyjach masywne skórzane kołnierze obejmujące ściśle ramiona i dolną część głowy. Ich rysy były prawie niewidoczne, ale było w nich coś groteskowego, co napawało ją odrazą.

Nieśli linę, do której mniej więcej co dwa soffady przymocowano przedmioty, w których domyśliła się później lekkich kajdan, zauważyła bowiem, że wojownicy zaczęli iść między nieszczęsnymi istotami na podwórzu, zaciskając każdemu na prawej ręce okowy. Uwiązawszy w ten sposób wszystkie stworzenia do liny, jeden z wojowników zaczął szarpać i ciągnąć za luźny koniec, jakby próbował zawlec bezgłowe stworzenia w stronę wieży, drugi zaś kroczył wśród nich z długim, lekkim biczem, bijąc je po nieosłoniętej skórze. Stworzenia podniosły się powoli i niezdarne, po czym ciągnięte przez wojownika z przodu i popędzane z tyłu przez trzymającego, pozwoliły zapędzić się do wieży. Tara odwróciła się, dygocząc ze strachu. Czym były te istoty?

Zapadła nagle noc. Skończył się marsjański dzień, a zaraz po nim krótki okres półmroku, który sprawia, że przejście od dnia do nocy jest na tej planecie niemal tak samo nagłe, jak wyłączenie światła elektrycznego. Tara nadal nie znalazła schronienia, ale może nie było tu zwierząt, których powinna się bać, czy raczej unikać – słowo „strach” nie należało do jej ulubionych. Mimo to, cieszyłaby się, gdyby na statku była choć mała kabina. Niestety, całe wnętrze kadłuba zajmowały zbiorniki wypornościowe. Znienacka coś przyszło jej do głowy! Jak mogła nie pomyśleć o tym wcześniej! Mogła uwiązać statek do drzewa, pod którym spoczywał, i wznieść się tak wysoko, jak pozwoli lina. Przymocowana do uprzęży na pokładzie byłaby bezpieczna przed wszelkimi drapieżnikami, które mogły się pojawić, a rano mogła opuścić statek na ziemię, zanim zostanie zauważony.

Kiedy Tara skradała się do doliny przez szczyt wzgórza, ciemność maskowała ją przed wzrokiem wszelkich obserwatorów, mogących czuć przy oknach pobliskiej wieży. Daleki księżyc, Cluros, wschodził właśnie nad widnokrąg, zaczynając niespieszną wędrówkę po niebie. Miał zająć po upływie ośmiu zodów[4]; w tym czasie jego pełna żona, Thuria, miała okrążyć planetę dwa razy i pokonać ponad połowę trzeciego okrążenia. Przed chwilą właśnie zaszła i miało minąć ponad trzy i pół godziny, zanim pojawi się znowu nad horyzontem po przeciwnej stronie, pędząc nisko nad powierzchnią umierającego świata.

Korzystając z chwilowej nieobecności szalonego księżyca, Tara miała nadzieję znaleźć jedzenie i picie, oraz wrócić do kryjówki na pokładzie statku.

Szła na oślep w ciemności, omijając z daleka wieżę i otaczający ją mur. Od czasu do czasu potykała się, ponieważ długie cienie rzucane przez wschodzącego Clurosa deformowały groteskowo kształty przedmiotów, choć sam księżyc nie świecił dość mocno, aby pomóc jej w drodze. Właściwie wcale nie zależało jej na świetle. Strumień mogła znaleźć po ciemku, idąc w dół wzgórza, dopóki do niego nie wejdzie, a ponieważ zdążyła zauważyć wcześniej sporo upraw i drzew owocowych, była pewna, że znajdzie mnóstwo jedzenia, zanim dojdzie do wody. Księżyc, który oświetlałby jej drogę i pomagał uniknąć zdarzających się co jakiś czas potknięć, mógł również odsłonić jej obecność przed niezwykłymi mieszkańcami wieży, a tego oczywiście nie chciała. Gdyby mogła poczekać do kolejnej nocy, warunki byłyby jeszcze lepsze, ponieważ Cluros wcale nie pojawiłby się na niebie, dzięki czemu po zniknięciu Thurii zapadłaby nieprzenikniona ciemność. Widząc jednak wodę i jedzenie w dolinie, nie mogła znieść dalej dojmującego głodu i pragnienia, uznała więc, że woli zaryzykować wykrycie niż znieść dalsze męki.

Minąwszy bezpiecznie najbliższą wieżę, ruszyła przed siebie najszybciej jak mogła, zachowując ostrożność. Przy każdej okazji starała się korzystać z cienia rosnących w pewnych odstępach drzew, sprawdzając przy okazji, na których rosły owoce. Niemal natychmiast jej wysiłki zostały nagrodzone sukcesem, ponieważ już trzecie drzewo, pod którym przystanąła, okazało się obwieszone owocami. Tara pomyślała, że nigdy nie miała w ustach czegoś równie pysznego, choć znalazła tylko niemal pozbawione smaku owoce usa, uznawane za zdatne do spożycia dopiero po ugotowaniu i sowym przyprawieniu. Ich drzewa nie wymagają wiele wody i dają obfite zbiory. Sam owoc, o sporej wartości odżywczej, stanowi podstawę wyżywienia uboższych warstw Marsjan, a dzięki niewielkiej cenie i pożywności wchodzi w skład żelaznych porcji armii i flot Barsoom, co zdobyło mu przydomek, który po swobodnym przetłumaczeniu na ziemski język można oddać jako „ziemniak bojowy”. Dziewczyna miała dość rozsądku, by nie jeść zbyt wiele, ale zanim ruszyła w dalszą drogę, wypełniła torbę owocami.

Minęła dwie wieże, zanim dotarła wreszcie do strumienia. Tu znowu okazała umiar, pijąc niewiele i powoli, zadowolając się częstym płukaniem ust oraz obmyciem twarzy, dłoni i stóp. A choć noc była zimna, jak zwykle na Marsie, wrażenie świeżości wynagrodziło zawiązką dyskomfort związany z chłodem. Włożyła z powrotem sandały i zaczęła rozglądać się w pobliżu strumienia za jagodami czy bulwami, które mogły tam rosnąć. Udało jej się znaleźć kilka gatunków, które można było jeść na surowo. Zastąpiła nimi część owoców z sakwy, nie tylko aby zapewnić sobie różnorodne pożywienie, ale ponieważ wydały jej się smaczniejsze. Od czasu do czasu wracała do strumienia, żeby się napić, za każdym razem z umiarem. Cały czas wypatrywała czujnie i nasłuchiwała pierwszych oznak zagrożenia, ale jak do tej pory nie zauważyła nic niepokojącego. Czuła, że zbliżała się pora, kiedy musiała wrócić do statku, aby nie zaskoczyło jej zdradzieckie światło przelatującej nisko Thurii. Wzdrygała się na myśl o odejściu od wody, wiedząc, że zdąży poczuć pragnienie, zanim uda się jej wrócić do strumienia. Gdyby tylko miała jakieś naczynie, w którym mogłaby zabrać choć niewielką ilość wody, zdołałaby przetrwać do następnej nocy. Nie miała go jednak, musiała więc zadowolić się, jak mogła, sokami zebranych owoców i jarzyn.

Napiła się po raz ostatni ze strumienia, zaczerpując najdłuższy do tej pory i najgłębszy łyk, i wstała, żeby wrócić po swoich śladach na wzgórze. W tej samej chwili znieruchomiała jednak, zdjeta nagłym lękiem. Co to było? Przysięgłaby, że zauważyła, jak coś poruszyło się nieopodal w cieniu drzewa. Przez dłuższą chwilę tkwiła w bezruchu, niemal nie oddychając. Wbiła wzrok w gęste cienie pod drzewem, wyciągając słuch w nocnej ciszy. Ze wzgórz, gdzie

ukryła statek, dochodziło niskie zawodzenie. Znała je dobrze: był to dziwny zew polującego bantha. Ogromny drapieżca stał dokładnie na jej drodze, choć nie był tak blisko jak to drugie stworzenie, ukrywające się w pobliskim cieniu. Czym było? Najbardziej ciążyła jej niepewność. Gdyby wiedziała, jakie stworzenie czaiło się w mroku, nie czułaby nawet połowy tego lęku, co teraz. Rozejrzała się szybko za jakąś kryjówką na wypadek, gdyby stworzenie okazało się groźne.

Od wzgórz znowu doszło zawodzenie bantha, tym razem bliżej. Niemal w tej samej chwili odpowiedziały mu głosy z drugiej strony doliny, z tyłu, a potem w oddali po prawej stronie i dwa razy po lewej. Wyszukała wzrokiem stojące stosunkowo blisko drzewo. Powoli, nie odrywając oczu od groźnego cienia, ruszyła w stronę wiszących nad ziemią gałęzi, które w razie potrzeby mogły zapewnić jej schronienie. Kiedy tylko poruszyła się, z miejsca, które obserwowała, rozległ się niski warkot. Usłyszała nagły pęd wielkiego ciała. Stworzenie wypadło w blask księżyca, pędząc prosto na nią z wyprostowanym ogonem i położonymi po łbie uszami, otwierając szeroko paszczę pełną ostrych i mocnych kłów, gotowych zatopić się w zdobyczy. Okazał się nim banth, wielki marsjański lew o bujnej grzywie. Bestia sadziła przed siebie wielkimi skokami, wydając przerażający ryk, którym próbuje obezwładnić zdobycz. Tara zauważyła ją i skoczyła do wybranego na kryjówkę drzewa. Zwierzę przejrzało jej zamiar i zdwoiło prędkość. Przeraźliwy ryk odbił się echem wśród wzgórz. W dolinie odpowiedziały mu głosy innych bestii, aż Tara pomyślała, że los rzucił ją w sam środek nieprzeliczonej rzeszy drapieżnych zwierząt.

Atakujący banth porusza się niewiarygodnie szybko i Tara miała prawdziwe szczęście, że drapieżnik nie przyłapał jej na otwartym terenie. Właściwie, uniknęła śmierci o włos, ponieważ kiedy podskoczyła zwinnie do niższych gałęzi, ścigające ją zwierzę wpadło między liście, próbując ją złapać. Ocalił ją tylko splot szczęścia i zwinności. Pazury bestii odbiły się od mocnej gałęzi, ale zwierzę było tak bliskie złapania zdobyczy, że otarło potężną łapą o ciało dziewczyny, na chwilę zanim ta zdążyła wdrapać się wyżej.

Zaskoczony banth dał upust wściekłości i rozgoryczeniu, wydając serię przerażających ryknięć, które zdawały się wstrząsać ziemią. Dołączył do niego chór porykiwań, warknięć i zawodzeń pozostałych zwierząt, które zbliżały się ze wszystkich stron z nadzieją na wydarcie mu zdobyczy siłą lub sprytem. Kiedy otoczyły drzewo, odwrócił się do nich, warcząc, podczas gdy dziewczyna kulila się w rozwidleniu gałęzi, śledząc wzrokiem wychudzone, żółte bestie spacerujące na miękkich stopach w nieprzerwanym, bezgłośnym kręgu wokół jej kryjówki. Zastanawiała się, jakim cudem udało jej się dotrzeć w nocy bez szkody aż tak daleko w głąb doliny. Bardziej jednak ciekawiło ją, jak miała wrócić na wzgórze. Wiedziała, że nie ośmieli się zaryzykować wędrówki nocą, a domyślała się, że za dnia mogły czekać ją jeszcze gorsze niebezpieczeństwa. Szukanie pożywienia w dolinie wydawało się teraz niemożliwe z powodu banthów, które nie pozwoliłyby jej dotrzeć w głąb terenów uprawnych w nocy, podczas gdy mieszkańcy wież niewątpliwie udaremniliby próby poszukiwania pożywienia za dnia. Dostrzegła tylko jedno rozwiązanie: wrócić do statku i modlić się, żeby wiatr zaniósł ją do innej, mniej groźnej krainy, ale jak miała to zrobić? Nie zanosilo się na to, aby banthy zamierzały z niej zrezygnować, a nawet gdyby zniknęły, czy ośmieliłaby się zaryzykować? Szczerze wątpiła.

Sytuacja wydawała się naprawdę beznadziejna. I taka była.

## ROZDZIAŁ 4

### W NIEWOLI

Widok uległ zmianie, kiedy na niebo wystrzeliła znowu Thuria, śmigły rumak nocy. Oblicze natury uległo nagłej przemianie, jak za sprawą czarów, zupełnie jakby w jednej chwili Tara przeniosła się na inną planetę. Taki był odwieczny cud marsjańskich nocy, który nawet dla Marsjan pozostaje wiecznie świeży: na niebie, w miejscu, gdzie wcześniej był tylko jeden księżyc, teraz wiszą dwa, a zderzające się ze sobą, zmieniające się szybko cienie sprawiają, że nawet wzgórza wyglądają inaczej. Odległy Cluros, dostojny i majestatyczny, niemal stoi w miejscu, zalewając świat swoim stałym blaskiem, podczas gdy wielka i jasna kula Thurii mknie po atramentowo czarnym sklepieniu tak nisko, że zdaje się zahaczać o wzgórza – zachwycające widowisko, które jak zawsze wcześniej i później urzekło dziewczynę.

– Och, Thurio, szalona królowo nieba! – mruknęła Tara. – Wzgórza przemieszczają się, wznosząc się i opadając w dostojnym pochodzie, drzewa krążą w nieprzerwanym tańcu, żdźbła trawy kreślą drobne łuki, wszystko staje się ruchem, tajemniczym, bezgłośnym i niespokojnym, kiedy przelatujesz. – Westchnęła i powędrowała wzrokiem do twardej rzeczywistości w dole. Ogromne drapieźniki nie miały w sobie nic tajemniczego. Zwierzę, które ją zauważyło, siedziało pod drzewem, mierząc ją głodnym wzrokiem. Większość pozostałych oddaliło się w poszukiwaniu zdobyczy, ale kilka pozostało z nadzieją, że uda im się zatopić kły w jej delikatnym ciele.

Noc mijała. Thuria ponownie zostawiła swojego pana i męża, pędząc na spotkanie ze Słońcem po drugiej stronie planety. Pod drzewem, w którym schowała się Tara, czekał niecierpliwie już tylko jeden banth. Pozostałe odeszły, ale z bliska i daleka dobiegały ich donośne ryki, zawodzenia i powarkiwanie. Jaką zdobycz znalazły w niewielkiej dolinie? Coś musiało przyciągać je tu w takiej ilości! Dziewczyna zastanawiała się, czym to mogło być.

Noc wydawała się nie mieć końca! Odrętwiała, zziębła i wyczerpana, Tara z rosnącą desperacją trzymała się drzewa, ponieważ raz omal nie zasnęła i spadła. Powoli traciła nadzieję. Ile jeszcze mogła wytrzymać? Zadała sobie to pytanie, po czym potrząsając dzielnie głową, wyprostowała ramiona. „Jeszcze nie zginęłam!”, powiedziała głośno.

Banth zerknął w górę i zawarczał.

Na niebie znowu pojawiła się Thuria, a po chwili wielkie Słońce: płomienny kochanek, ścigający pragnienie swego serca. Tymczasem oziębły małżonek, Cluros, kontynuował niewzruszenie swoją wędrówkę, zupełnie jakby gorący Lothario nie zakłócił spokoju jego domu. Oba księżyce i Słońce przesunęły się po niebie, daleką tajemniczością dodając niezwyklej atmosfery marsjańskiemu porankowi. Tara rozejrzała się po otaczającej ją pięknej dolinie. Wyglądała na żywną i uroczą, mimo to zadrzała, przypomniawszy sobie widok bezgłowych istot ukrytych w wieżach za murami. Za dnia to, a w nocy banthy! Czy można się dziwić, że czuła przerażenie?

Ze wschodem słońca wielki marsjański lew podniósł się. Omiotł dziewczynę w górze gniewnym spojrzeniem, warknął złowieszczo i zaczął skradać się w stronę wzgórz. Dziewczyna obserwowała go i zauważyła, że starał się omijać wieże jak najdalej, nie spuszczając ich przy tym z oczu. Najwyraźniej mieszkańcy nauczyli wielkie drapieźniki moresu. Niedługo zniknął jej z oczu w wąskim parowie, pozostałe również gdzieś przepadły. Dolina momentalnie opustoszała. Dziewczyna zastanawiała się, czy zdobędzie się na powrót do statku. Obawiała się robotników, którzy musieli wyjść w pole. Drżała na myśl o ujrzeniu



znovu bezgłowych ciał i odkryła, że zastanawia się, czy te dziwne istoty również wyjdą do pracy. Spojrzała w stronę najbliższej wieży. Nie zauważyła żadnych oznak życia. Dolina była cicha i opuszczona. Zdrętwiała, opuściła się na ziemię. Czowała skurcze w mięśniach, każdy ruch sprawiał ból. Zatrzymała się na chwilę, żeby napić się ze strumienia i odświeżona ruszyła, nie zwlekając, w stronę wzgórz. Wyglądało na to, że zostało jej tylko jak najszybciej pokonać dzielącą ją od nich odległość. Drzewa nie zapewniały jej już schronienia, nie zbaczała więc z drogi, żeby trzymać się blisko nich. Wzgórza wydawały się bardzo odległe. Poprzedniej nocy nie myślała, że zawędrowała tak daleko. Odległość może i nie była naprawdę wielka, ale teraz, kiedy musiała minąć trzy wieże w świetle dnia, wydawała się kolosalna.

Druga wieża leżała niemal prosto na jej drodze. Próbując ją obejść, nie zmniejszyłaby wcale ryzyka, że ktoś ją zauważy, przedłużyłaby tylko czas wystawiania się na zagrożenie. Nie zważając zatem na nią, skierowała się prosto na wzgórze, za którym ukryła statek. Kiedy mijala dziedziniec, wydało się jej, że usłyszała wewnątrz jakiś ruch. Brama nie otworzyła się jednak i odetchnęła z ulgą, zostawiwszy ją za sobą. Dotarła do drugiej części dziedzińca, leżącej dokładnie na jej trasie, którą musiała obejść przy zewnętrznym murze. Przesuwając się wzdłuż muru, słyszała wyraźnie nie tylko ruch, ale jakieś głosy. Ktoś wydawał polecenia we wspólnym języku Barsoom: tylu ludzi miało zbierać owoce usa, tylu nawadniać jedno pole, tylu kopać drugie, i tak dalej, zgodnie ze zwyczajem nadzorców wyznaczających robotnikom zadania.

Tara dotarła właśnie do bramy w murze zewnętrznym, kiedy ta otworzyła się bez ostrzeżenia w jej stronę. Zauważyła, że brama zasłoniła ją na chwilę przed istotami na dziedzińcu, odwróciła się więc i puściła biegiem wzdłuż muru, aż zniknęła za jego załamaniem i dotarła do drugiego końca dziedzińca. Dysząc z wysiłku i wzburzenia ledwo unikniętym zagrożeniem, rzuciła się między rosnące u podnóża muru wysokie chwasty. Leżała przez jakiś czas, trzęsąc się i nie mając odwagi choćby podnieść głowy i rozejrzeć się po okolicy. Po raz pierwszy w życiu Tara zaznała paraliżującego strachu. Była wstrząśnięta i gniewała się na samą siebie, że córka Wodza Barsoom mogła okazać lęk. Gniewu i wstydu nie łagodził nawet fakt, że w pobliżu nie było nikogo, kto by ją widział, a najgorsza ze wszystkiego była świadomość, że w podobnych okolicznościach wykazałaby się z pewnością takim samym tchórzostwem. Wiedziała, przynajmniej, że nie chodziło tu wcale o lęk przed śmiercią. Nie, przerażała ją myśl o bezgłowych istotach i o tym, że mogły ją zauważyć, dotknąć jej, położyć na niej ręce i złapać. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

Po chwili odzyskała panowanie nad sobą na tyle, aby podnieść głowę i rozejrzeć się. Ze zgrozą odkryła, że wszędzie dokoła na polach pracowali już ludzie lub właśnie szykowali się do pracy. Z innych wież wychodzili robotnicy, rozchodząc się po okolicy niewielkimi grupkami. Kilku z nich pracowało na polu niecałe trzydzieści adów<sup>[5]</sup> od niej. W grupie było około dziesięciu mężczyzn i kobiet, o pięknych ciałach i groteskowych twarzach. Stroje, które mieli na sobie, były tak liche, że byli praktycznie nadszy, co samo w sobie było niczym niezwykłym wśród uprawiających ziemię na Marsie. Każde miało na sobie ów dziwny, wysoki kołnierz ze skóry, zakrywający całkiem szyję; każde nosiło też uprzęż zdolną utrzymać sakwę i jeden miecz. Skóra uprząży była stara i znoszona, co wskazywało na długie i intensywne używanie. Poza jedną oznaką na lewym ramieniu była też zupełnie pozbawiona ozdób. Głowy za to były wręcz obsypane klejnotami i metalami szlachetnymi do tego stopnia, że niewiele było z nich widać poza oczami, ustami i nosem, które wydawały się odpychająco niepodobne do ludzkich, a równocześnie groteskowo do nich podobne. Szeroko rozstawione oczy sterczały z głowy, nos stanowiły właściwie dwie rozmieszczone równolegle szczeliny umieszczone pionowo nad okrągłym otworem ust. Głowy były dziwnie

odpychające; do tego stopnia, że dziewczynie wydawało się niemożliwe, aby stanowiły całość z pięknymi ciałami.

Dziwne stworzenia zafascynowały Tarę do tego stopnia, że niemal nie mogła oderwać od nich oczu. To właśnie ją zgubiło, ponieważ, aby przyjrzeć im się lepiej, musiała podnieść głowę ponad trawy. Z przerażeniem zauważyła, że jedno ze stworzeń przerwało pracę i patrzyło prosto w jej stronę. Nie miała odwagi poruszyć się, ponieważ istniała szansa, że nie zauważyło jej lub podejrzewało tylko, że w trawach ukrywało się jakieś zwierzę. Gdyby udało jej się uspokoić te podejrzania, pozostając w bezruchu, stworzenie mogło uznać, że pomyliło się, i wrócić do pracy. Niestety, stało się inaczej. Ujrzała, jak zaczęło pokazywać ją pozostałym i niemal w tej samej chwili w jej stronę ruszyło cztery czy pięć istot.

Została zauważona. Nadzieja leżała tylko w ucieczce. Gdyby udało jej się wymknąć i dotrzeć przed nimi do wzgórz i statku, mogła jeszcze uciec. Mogła dokonać tego tylko w jeden sposób: rzucając się od razu do jak najszybszej ucieczki. Poderwała się z ziemi i pobięła wzdłuż muru, który musiała okrążyć, żeby dotrzeć do wzgórz. Istoty z tyłu wydały serię dziwnych gwizdów, a obejrzawszy się przez ramię, zauważyła, że ruszyły w pogoń.

Słyszała ich przenikliwe głosy, wzywające ją, żeby zatrzymała się, ale nie zwracała na nie uwagi. Zanim pokonała połowę muru, uznała, że ma spore szanse powodzenia, ponieważ ścigający wyraźnie nie dorównywali jej szybkością. Ujrzawszy przed sobą wzgórze, poczuła w sercu świeżą nadzieję, która zgasła zaraz na widok tego, co czekało ją przed nim. Na polu, które oddzielało ją od celu ucieczki, stała setka stworzeń podobnych do tych, które ją goniły, rozglądających się czujnie w poszukiwaniu źródła zamieszania. Usłyszała wykrzykiwane głośno rozkazy. Istoty z przodu ustawiły się na polu wielkim, nierównym półkolem, aby odciąć jej drogę. Skręciła w prawo z nadzieją, że wymknie się z sieci, i ujrzała, że z innych pól nadciągają już kolejni. Sytuacja wyglądała podobnie z lewej strony. Tara nie zamierzała jednak uznać porażki. Nie zatrzymując się ani na chwilę, skręciła prosto w stronę środka zbliżającego się półkola, za którym leżała jedyna szansa na ucieczkę, wyciągając w biegu długi, wąski sztylet. Wzorem walecznego ojca, jeśli już miała zginąć, chciała zginąć w walce. Zauważyła luki w cienkiej linii przed sobą i ruszyła w stronę najszerzej. Stworzenia po obu stronach luki zorientowały się w jej zamiarach i zacieśniły szyk, aby zagrozić jej drogę. Tym samym zostawiły szersze luki od drugiej strony i kiedy zanosilo się na to, że dziewczyna wbiegnie im prosto w ręce, Tara skręciła nagle pod kątem prostym, przebiegła kilka jardów w nowym kierunku i wystrzeliła znów w stronę wzgórz. Drogę do wolności zagradzał jej już tylko jeden robotnik, oddzielony od pozostałych szerokimi lukami, choć reszta pędziła jak tylko mogła, aby ją złapać. Była pewna, że gdyby udało jej się ominąć go, unikając opóźnień, miała jeszcze szansę na ucieczkę. Od tego zależały wszystkie jej nadzieje. Stworzenie również zdawało sobie z tego sprawę, ponieważ ruszyło przed siebie szybko, choć ostrożnym krokiem, próbując odciąć jej drogę, jak obrońca w rugby, wiedzący, że jest jedyną przeszkodą dzielącą drużynę przeciwnika od zdobycia punktu z przyłożenia.

Początkowo miała nadzieję, że uda jej się go ominąć, ponieważ domyślała się, że była nie tylko o wiele szybsza, ale i zwinniejsza niż te dziwne stworzenia, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że kiedy będzie próbowała uniknąć jego uchwytu, nadciągające z okolicy stworzenia rzucą się na nią i uniemożliwią ucieczkę. Wobec tego postanowiła pobiec prosto na niego. Odgadnąwszy jej zamiar, robotnik stanął pochylony lekko z wyciągniętymi rękami, czekając na nią. Wprawdzie trzymał w dłoni miecz, ale jakiś głos zawołał władcym tonem: „Brac ją żywcem! Nie skrzywdzić jej!”. Stworzenie schowało błyskawicznie ostrze do pochwy. W tej samej chwili Tara wpadła na nie. Skoczyła prosto na piękne ciało, a kiedy ramiona zamknęły się, próbując ją pochwycić, zatopiła sztylet w odsłoniętej piersi. Zderzenie posłało obydwój na ziemię. Poderwawszy się na nogi, Tara ujrzała z przerażeniem, że szkaradna głowa

odtoczyła się od ciała i uciekała na sześciu krótkich, pajęczych nóżkach. Ciało szarpnęło się spazmatycznie i znieruchomiało. Choć opóźnienie było niewielkie, okazało się zgubne w skutkach, ponieważ ledwie wstała, opadły ją z dwóch stron kolejne stworzenia. Po raz drugi zatopiła ostrze w nagim ciele i druga głowa potoczyła się z ciała i odpełzła. Błyskawicznie otoczyła ją i przytłoczyła setka stworzeń, z których wszystkie starały się ją chwycić. Początkowo myślała, że chcą rozerwać ją na strzępy z zemsty za zabicie dwóch towarzyszy, ale wkrótce zdała sobie sprawę, że kierowała nimi raczej ciekawość niż złowrogie zamiary.

– Chodź! – zawołał jeden z tych, którzy ją złapali i nadal trzymali. Równocześnie próbował pociągnąć ją w stronę najbliższej wieży.

– Ona należy do mnie! – krzyknął drugi. – To ja ją złapałem! Zabieram ją do Moaka.

– Nigdy! – upierał się pierwszy. – To własność Luuda. Zaprowadzę ją do niego, a ktokolwiek stanie mi na drodze, zakosztuje mojego ostrza! – Ostatnie słowa niemal wykrzyczał.

– Przestańcie, dość tego! – zawołał ktoś przyzwyczajonym do wydawania poleceń głosem. – Złapano ją na polach Luuda i do niego trafi.

– Zauważono ją na polach Moaka, u stóp wieży – trwał przy swoim ten, który żądał jej dla Moaka.

– Słyszałeś, co powiedział Nolach – powiedział wojownik z Luud. – Stanie się, jak orzekł.

– Nic z tego, dopóki mam w ręku miecz – odparł przedstawiciel Moaka. – Prędzej przetnę ją na pół i zabiorę swoją połowę do Moak, niż oddam ją Luudowi. – Sięgnął po miecz, czy też raczej położył dłoń na rękojeści groźnym gestem, ale zanim zdążył wyjąć ostrze, wojownik Luuda wyrwał miecz z pochwy i wbił go potężnym ciosem w głowę przeciwnika. Okrągła głowa zapadła się błyskawicznie w siebie, jak przebity balon, tryskając szarawą półpłynną tkanką. Sterczące oczy, najwyraźniej pozbawione powiek, patrzyły po prostu przed siebie, bezkształtne usta otwierały się i zamykały, aż wreszcie głowa stoczyła się na ziemię. Ciało stało bezmyślnie przez chwilę, po czym zaczęło błąkać się bez celu, aż jedna z pozostałych istot chwyciła je za rękę.

Jedna z pełzających po ziemi głów podeszła bliżej.

– Ten rykor należy do Moaka – powiedziała. – Pochodzę z jego wieży. Zabiorę go. – I bez dalszych dyskusji zaczęła wspinać się od przodu po bezgłowym ciele, używając przy tym sześciu krótkich, pajęczych nóg oraz pary silnych szczypiec wyrastających z ciała tuż przed nogami, podobnych do kleszczy ziemskich homarów, z tym wyjątkiem, że oba były tej samej wielkości. Ciało stało tymczasem biernie, zwisiwszy ramiona po bokach. Głowa wspięła się na ramiona i zajęła miejsce w skórzanym kołnierzu, kryjąc pod nim szczypcę i nogi. Niemal w tej samej chwili ciało zaczęło zdradzać oznaki inteligentnego działania. Uniosło ręce i dopasowało kołnierz, po czym ujęło głowę dłońmi i osadziło ją wygodniej, a kiedy zaczęło chodzić, nie wędrowało już bez celu, a stawiało zdecydowane kroki w określonym kierunku.

Dziewczyna przyglądała się temu z rosnącym zdziwieniem, a ponieważ żaden z pozostałych poddanych Moaka nie wydawał się skłonny kwestionować prawa Luuda do niej, robotnik, który ją schwytał, poprowadził ją zaraz w stronę najbliższej wieży. Towarzyszyło im paru innych, w tym jeden, który trzymał luźną głowę w ręku. Niesiona w ten sposób głowa prowadziła rozmowę z głową na barkach niosącej ją istoty. Tara wzdrygnęła się. Straszne! Przerazało ją wszystko, co zdążyła zaobserwować w tych istotach. A teraz stała się ich więźniem, zdanym całkowicie na ich łaskę. Na cienie przodków! Czym zasłużyła sobie na ten okrutny los?

Zatrzymali się przy otaczającym wieżę murze. Jedna z istot otworzyła bramę, po czym weszli na dziedziniec, który ku przerażeniu Tary okazał się być wypełniony bezgłowymi

ciałami. Stworzenie, które niosło oddzieloną od ciała głowę postawiło ją teraz na ziemi, na co głowa poczołgała się błyskawicznie w stronę jednego z ciał, należącego do kobiety. Niektóre snuły się bezmyślnie tu i ówdzie, ale to akurat leżało bez ruchu. Głowa podpełzła do niego, wdrapała się na barki i usiadła na nich. Ciało poderwało się momentalnie. Kolejny stwór, który przyszedł z nimi z pola, podszedł z uprzężą i kołnierzem zdjętymi z martwego ciała, które zajmowała wcześniej głowa. Nowe ciało wzięło je od niego i dopasowało zręcznie. Stworzenie było tak samo zdrowe, jak wcześniej, zanim Tara przebiła poprzednie ciało sztyletem. Istniała jednak pewna różnica: wcześniej stworzenie było mężczyzną, teraz – kobietą. Wyglądało jednak na to, że dla głowy nie miało to większego znaczenia. W istocie, podczas walki i szamotaniny, Tara zdążyła zauważyć, że różnice płci zdawały się nie odgrywać większej roli wśród porywaczy. Kobiety brały udział w pościgu na równi z mężczyznami, a przedstawiciele obu płci nosili identyczne miecze i uprzęże. Dostrzegła też, że kiedy omal nie doszło do zatargu między dwoma stronnictwami, po broń sięgnęło tyle samo kobiet, co mężczyzn.

Dziewczyna nie miała okazji do dłuższych obserwacji nieszczęsnych stworzeń zalegających dziedziniec, ponieważ jej strażnik odesłał resztę eskorty z powrotem na pola i poprowadził ją w stronę wieży. Weszli do środka. Znaleźli się w pomieszczeniu szerokim na jakieś dziesięć stóp i długim na dwadzieścia, na którego końcu znajdowały się schody prowadzące na górne piętro. Po drugiej stronie były identyczne stopnie prowadzące w dół. Pomieszczenie, choć położone na poziomie gruntu, było dobrze oświetlone przez okna w murze wewnętrznym, którymi wpadało do wewnątrz światło z okrągłego patio w środku wieży. Ściany patio, spowitego oślepiającym blaskiem, wyglądały na pokryte białymi, szklistymi kaflami. Tara zrozumiała błyskawicznie, w jakim celu na wieży wzniesiono kopułę ze szklanych pryzmatów. Same schody również były niezwykle, ponieważ na całym Barsoom do przemieszczania się między piętrami stosuje się zwykle pochylnie, zwłaszcza w starszych budowlach i odległych rejonach, gdzie starożytne zwyczaje nie zostały poddane tak wielu zmianom.

Strażnik poprowadził Tarę w dół schodów. Schodzili coraz dalej przez pomieszczenia wypełnione światłem studni świetlnej. Od czasu do czasu mijali innych, zmierzających w przeciwną stronę, którzy zatrzymywali się za każdym razem, aby przyjrzeć się dziewczynie i zadawać pytania prowadzącemu ją robotnikowi.

– Wiem tylko, że zauważono ją na polu i złapałem ją po walce, w której zabiła dwa rykory, a ja musiałem uśmiercić jednego z Moaków. Prowadzę ją do Luuda, któremu oczywiście się należy. Jeśli zechce ją przesłuchać, to już jego sprawa, nie moja. – W ten sposób odpowiadał ciągle ciekawskim.

Dotarli wkrótce do pomieszczenia, w którym od wieży odchodził okrągły tunel. Dozorca wprowadził do niego dziewczynę. Korytarz o płaskim dnie tworzył ścieżkę szeroką na jakieś siedem stóp. Na odległość stu stóp od wieży wyłożony był szklistymi taflami ze studni świetlnej, których odbity blask zapewniał dostateczne oświetlenie. Dalej wyłożony był kamieniami o rozmaitych rozmiarach i kształtach, przyciętymi dokładnie i ułożonymi w drobną, pozbawioną wzoru mozaikę. Tunel rozgałęział się i przecinał inne korytarze, od czasu do czasu trafiały się w nim również okrągłe otwory szerokie na niecałą stopę umieszczone zwykle blisko podłoża. Nad każdym z nich widniał inny znak, zaś na wszystkich skrzyżowaniach i punktach zbiegu korytarzy mury tunelu pokrywały hieroglify. Tara nie potrafiła ich odcyfrować, choć domyślała się, że były to nazwy tuneli lub znaki wskazujące miejsca, do których prowadziły. Próbowwała przyjrzeć im się bliżej, ale żaden z symboli nie wyglądał choćby znajomo, co wydało jej się dziwne, ponieważ mimo pewnych różnic, pismo różnych narodów Barsoom zawiera wiele wspólnych liter i słów.

Próbowała dowiedzieć się czegoś od strażnika, ale ten nie wydawał się skłonny do rozmów i w końcu zaprzestała prób wypytywania go o cokolwiek. Zauważyła tylko, że nie próbował jej poniżyć, ani nie okazywał zbędnego okrucieństwa czy brutalności. Najwyraźniej uśmiercenie przez nią dwóch bezgłowych ciał nie obudził w tych dziwnych głowach wrogości ani chęci zemsty, nawet jeśli zajmowały wcześniej te ciała. Nie próbowała tego zrozumieć, ponieważ w całej swojej wiedzy i doświadczeniu nie potrafiła doszukać się czegokolwiek bliskiego relacji łączących głowy tych istot z ich ciałami. Do tej pory sposób, w jaki się z nią obchodziły, nie zwiastował niczego, co mogłoby budzić w niej lęk. Być może jednak miała szczęście, trafiając w ręce tego niezwykłego ludu, który nie tylko mógł uchronić ją przed niebezpieczeństwem, ale może nawet pomóc w powrocie do Helium. Nie potrafiła wyprzeć z myśli ich niesamowitego, szkaradnego wyglądu, ale jeśli stworzenia nie zamierzały jej skrzywdzić, mogła spróbować na niego nie zważać. Ta nowa nadzieja sprawiła, że poczuła radość i zaczęła iść lżejszym, niemal beztroskim krokiem u boku niezwykłego towarzysza. Złapała się nawet na tym, że zaczęła nucić popularną w Helium melodyjkę. Idące obok stworzenie zwróciło na nią pozbawione wyrazu oczy.

– Czym są te odgłosy, które wydajesz? – zapytało.

– To tylko taka melodia – odpowiedziała.

– Melodia – powtórzył. – Nie wiem, o czym mówisz, ale zrób to znowu. Podoba mi się to.

Tym razem zaśpiewała, podczas gdy strażnik słuchał uważnie. Jego twarz nie zdradzała w żaden sposób, co działo się w tej dziwnej głowie. Była równie pozbawiona środków wyrazu, jak głowa pająka, którego przypominała. Kiedy skończyła, odezwał się znowu.

– To było coś innego – stwierdził. – Podobało mi się jeszcze bardziej niż to, co robiłaś wcześniej. Jak to robisz?

– To tylko śpiew – oznajmiła. – Nie wiesz, czym jest piosenka?

– Nie – odparł. – Powiedz mi, jak to robisz.

– Trudno to wyjaśnić – stwierdziła. – Każde wytłumaczenie zakłada pewną znajomość melodii i muzyki, a samo twoje pytanie wskazuje, że nigdy o nich nie słyszałeś.

– Nie – powiedział. – Nie wiem, co masz na myśli, ale powiedz mi, jak to robisz.

– To tylko melodyjna modulacja głosu – wyjaśniła. – Posłuchaj! – I zaśpiewała znowu.

– Nie rozumiem – powtórzył. – Ale podoba mi się to. Możesz mnie tego nauczyć?

– Nie wiem, ale z chęcią spróbuję.

– Zobaczymy, co zrobi z tobą Luud – oznajmił. – Jeśli cię nie zechce, zatrzymam cię i naucysz mnie wydawać te dźwięki.

Na jego prośbę zaśpiewała znowu. Szli dalej krętym korytarzem, oświetlonym rozmieszczonymi w dużych odstępach lampami, które przypominały z wyglądu znane jej lampy radowe, spotykane, na ile wiedziała, wśród wszystkich ludów Barsoom, które wynaleziono w tak zamierzchłych czasach, że źródło ich pochodzenia gubiło się w mrokach dziejów. Zbudowane są zwykle z grubego, półkolistego szklanego klosza, otaczającego związek, który zdaniem Johna Cartera musi być radem. Klosze te przykleja się do metalowej płyty osłoniętej od tyłu grubą warstwą izolacji, po czym całe urządzenie zostaje osadzone wedle potrzeby w murze lub suficie, gdzie zależnie od wypełnienia zapewnia słabsze lub silniejsze światło przez niemal niezmierny okres czasu.

Krocząc przed siebie, spotykali coraz częściej mieszkańców tego podziemnego świata. Tara zauważyła, że wielu miało na sobie bardziej zdobną uprząż i broń niż pracujący na polach robotnicy. Wyglądało jednak na to, że głowy i ciała mieli podobne, a nawet identyczne. Nikt nie próbował wyrządzić jej krzywdy i zaczynała czuć ulgę zmieszaną

## Szachiści Marsa

---

niemal ze szczęściem, kiedy przewodnik skręcił nagle w przejście po prawej stronie korytarza i znalazła się w sporym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu.

### ROZDZIAŁ 5

## UMYSŁ DOSKONAŁY

Piosenka, którą miała na ustach, zamarła, kiedy weszła do pomieszczenia, ucięta nagle przerażającym widokiem, który ujrzała. Pośrodku sali leżało na podłodze nadgryzione bezgłowe ciało kobiety, po którym wędrowało na pajęczych nogach pół tuzina głów, które rozszarpywały je i unosiły szczypcami do ust strzępy mięsa. Głowy odżywiały się surowym ludzkim mięsem!

Tara wstrzymała oddech z przerażenia i odwróciła się, zasłaniając oczy dłońmi.

– Chodź! – powiedział jej strażnik. – Co się stało?

– One jedzą to ciało – odpowiedziała pełnym grozy szeptem.

– A czemu miałyby tego nie robić? – zapytał. – Myślałaś, że używamy rykorów wyłącznie do pracy? Ależ skąd! Tuczone, smakują wyśmienicie. Na dodatek te z nich, które hodujemy dla mięsa, to prawdziwi szczęściarze, ponieważ w całym swoim życiu muszą tylko jeść.

– To odrażające! – zawołała.

Przyglądał jej się przez chwilę nieruchomym wzrokiem, ale pozbawiona wyrazu twarzy nie zdradzała, czy spoglądał na nią z zaskoczeniem, złością czy politowaniem. Następnie przeprowadził ją dalej, mijając straszne widowisko, od którego odwróciła wzrok. Pod ścianami leżało na podłodze pół tuzina ciał. Domyśliła się, że zostały porzucone chwilowo przez ucztujące głowy, dopóki znowu nie okażą się potrzebne. W ścianach pomieszczenia dostrzegła też wiele zauważonych wcześniej w innych częściach podziemi otworów, których przeznaczenia nie domyślała się.

Przeszli korytarzem do kolejnej, większej i lepiej oświetlonej sali. W środku zastali kilka głów siedzących na ciałach. Inne ciała, bezgłowe, zalegały licznie pod ścianami. Strażnik zatrzymał się tu i wdał w rozmowę z jednym z obecnych.

– Szukam Luuda – powiedział. – Prowadzę mu złapane na polu stworzenie.

Pozostali stłoczyli się wokół Tary, żeby przyjrzeć się jej bliżej. Któryś z nich gwizdnął, dzięki czemu dziewczyna dowiedziała się częściowo, jaką rolę pełniły otwory w ścianach, z których wypełzło błyskawicznie ponad dwadzieścia szkaradnych głów, jak olbrzymie pająki. Każda wybrała sobie jedno z leżących pod ścianą ciał i usadowiła się na karku. Sterowane ich inteligencją ciała zareagowały natychmiast, unosząc się i poprawiając na sobie kołnierze i uprząż. Następnie podeszły do miejsca, gdzie stała Tara. Księżniczka zauważyła, że ich stroje posiadały najbogatsze ozdoby ze wszystkich, które do tej pory widziała, przez co domyśliła się, że musiały posiadać większą władzę. Zachowanie strażnika, który zwrócił się do jednego ze stworzeń jak do przełożonego, wskazywało, że nie pomyliła się.

Kilka przyglądających się jej stworzeń badało jej ciało, szczypiąc je delikatnie między kciukiem a palcem wskazującym w poufałym geście, który napawał dziewczynę odrazą. Strąciła ich dłonie.

– Nie dotykajcie mnie! – zawołała władcym tonem. Czyż nie była księżniczką Helium? Przeróżające twarze istot nie zmieniły wyrazu. Nie wiedziała, czy czuły złość, rozbawienie, czy jej zachowanie obudziło w nich pogardę czy szacunek dla niej.

– Trzeba ją będzie podtuczyć – odezwała się jedna z istot.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy z przerażenia.

## Szachiści Marsa

---

– Czy te straszne stworzenia zamierzają mnie pożreć? – zawołała, odwróciwszy się do strażnika.

– O tym zadecyduje Luud – odpowiedział, po czym nachylił się do niej, przykładając usta do jej ucha. – Te odgłosy, które nazywasz śpiewem, sprawiły mi przyjemność – szepnął. – Odplączę ci ostrzeżeniem, żebyś nie robiła sobie wrogów wśród tych kaldanów. Są bardzo wpływowi i Luud słucha ich zdania. Nie mów, że są straszni, są przecież bardzo piękni. Spójrz tylko na te wspaniałe stroje, na ich złoto i klejnoty.

– Dziękuję – powiedziała. – Nazwałeś ich kaldanami. Co to znaczy?

– Wszyscy jesteśmy kaldanami – odrzekł.

– Ty też? – Wycelowała smukłym palcem w jego pierś.

– Nie, nie to – wyjaśnił, dotykając ciała. – To jest rykor, ale to – tu dotknął swojej głowy – to właśnie kaldan. To umysł, mózg, siła, która kieruje wszystkim. Rykor – znowu wskazał ciało – jest niczym, jest wart mniej niż ozdoby na uprzęży, a nawet mniej niż sama uprzęż. Służy nam za środek transportu. Prawda, że trudno byłoby nam obejść się bez niego, ale jest niewiele wart, ponieważ o wiele łatwiej go zastąpić niż złoto czy klejnoty. – Odwrócił się z powrotem do reszty obecnych kaldanów. – Zawiadomicie Luuda, że tu jestem? – zapytał.

– Sept już do niego poszedł, powie mu o tym – odpowiedział któryś. – Gdzie znalazłeś tego rykora z dziwnym kaldanem, który nie może się od niego odczepić?

Strażnik po raz kolejny opowiedział o tym, jak złapano dziewczynę. Relacjonował wydarzenia dokładnie tak, jak zaszły, nie ubarwiając ich ani trochę, głosem tak samo pozbawionym wyrazu jak jego twarz. Opowieść została przyjęta dokładnie w ten sam sposób. Wyglądało na to, że stworzenia były wyprane z emocji, a w każdym razie nie posiadały zdolności ich wyrażania. Nie można było stwierdzić, jakie wrażenie wywarła na nich opowieść, ani nawet czy ją w ogóle słyszały. Sterczące oczy wpatrywały się przed siebie, a mięśnie ust otwierały się od czasu do czasu i zamykały. Oswojenie się z ich widokiem wcale nie ujęło grozy, jaką napawały dziewczynę. Im częściej je widziała, tym większe obrzydzenie w niej budziły. Kiedy przyglądała się im, jej ciałem wstrząsał raz po raz dreszcz obrzydzenia. Ale kiedy wędrowała wzrokiem do pięknych ciał i choć na chwilę udało jej się wypchnąć z myśli pamięć o ich głowach, czuła ukojenie i uspokojenie, choć widok leżących samotnie na ziemi bezgłowych ciał był tak samo wstrząsający, jak osadzone na ciałach głowy. Najbardziej przerażający i niesamowity był jednak widok głów pełzających na pajęczych nogach. Tara była pewna, że gdyby któraś z nich podeszła do niej i dotknęła jej ciała, zaczęłaby krzyczeć. A gdyby któraś próbowała wspiąć się na nią... Uch! Sama myśl sprawiała, że była bliska omdlenia.

Do sali wrócił Sept.

– Luud przyjmie cię z pojmaną. Chodźcie! – powiedział i odwrócił się w stronę drzwi położonych naprzeciw tych, którymi Tara weszła do komnaty. – Jak się nazywasz? – zapytał strażnika.

– Jestem Ghek, nadzorca trzeciego stopnia na polach Luuda – odpowiedział.

– A ona?

– Nie wiem.

– Mniejsza o to. Chodźcie!

Tara uniosła wysoko arystokratyczną brew. Coś podobnego, mniejsza o to! Ona, księżniczka Helium, jedyna córka Johna Cartera!

– Zaczekaj! – zawołała. – To bardzo ważne, kim jestem. Jeśli prowadzisz mnie do waszego jeda, możesz zapowiedzieć księżniczkę Tarę z Helium, córkę Johna Cartera, Wodza Barsoom.

– Spokój! – rozkazał Sept. – Nie odzywaj się nieproszona! Chodźcie za mną!



Tara omal nie udławiła się ze złości.

– Chodź – napomniął ją Ghek i ujął ją za ramię. Poszła za nim. Była tylko więźniem: jej pozycja i tytuły nic nie znaczyły dla tych nieludzkich potworów. Powiedli ją krótkim, zakręcającym korytarzem do sali wyłożonej całkowicie szklistymi, białymi płytami, jakie widziała już w studni światła. U podstawy ścian widać było liczne otwory, większe od tych, z którymi zetknęła się do tej pory. Większość była zamurowana. Dokładnie naprzeciw wejścia ujrzała obramowany złotem otwór, nad którym widniało osadzone w ścianie godło z tego samego metalu.

Sept i Ghek zatrzymali się zaraz po wejściu, trzymając dziewczynę między sobą. Cała trójka stała w milczeniu przodem do przeciwległej ściany. Obok otworu w niej leżało na podłodze bezgłowe ciało o niemal heroicznym proporcjach, a po obu stronach stali opancerzeni wojownicy z obnażonymi mieczami. Czekali może pięć minut, kiedy ujrzeni w otworze parę wielkich szczypiec, za którymi pojawił się olbrzymi, odrażający kaldan, półtora raza większy od tych, które Tara zdążyła już zobaczyć. Z wyglądu był od nich niewymownie bardziej przerażający: jego skóra miała jeszcze bardziej intensywny odcień błękitu niż u pozostałych, a oczy i usta otaczały białe i szkarłatne pręgi.

Od obu nozdrzy ciągnęły się przez całą twarz poziome pasy: białe i szkarłatne.

Trwali w milczeniu i bezruchu. Stworzenie podpełzło do leżącego na ziemi ciała i zajęło miejsce na karku, po czym powstała w ten sposób istota podniosła się i podeszła do dziewczyny. Luud przyjrzał się jej i zwrócił do strażnika.

– Jesteś nadzorcą pól trzeciego stopnia? – zapytał.

– Tak, Luudzie; na imię mam Ghek.

– Powiedz mi, co o tym wiesz. – Skinął w stronę Tary.

Ghek spełnił polecenie. Następnie Luud zwrócił się do dziewczyny.

– Czego szukałaś na terenie Bantoom? – zapytał.

– Zapędziła mnie tu ogromna burza, która uszkodziła mój statek i zniosła mnie nad nieznaną ziemię. Nocą zeszałam w dolinę w poszukiwaniu wody i jedzenia. Wtedy pojawiły się banthy i zagnały mnie na drzewo, a kiedy rano próbowałam stąd odejść, złapali mnie twoi poddani. Nie wiem, dlaczego to zrobili. Nie zrobiłam nic złego. Proszę tylko, żebyście pozwolili mi odejść w pokoju moją drogą.

– Kto wejdzie do Bantoom, już stąd nie wyjdzie – odparł Luud.

– Ale mój lud nie toczy z wami wojny. Jestem księżniczką Helium, mój pradziad jest jeddakiem, dziadek jedem, a ojciec Wodzem Barsoom. Nie macie prawa więzić mnie i żądać, żebyście natychmiast mnie uwolnili.

– Kto wejdzie do Bantoom, już nie wyjdzie – powtórzyło beznamiętnie stworzenie. – Nie wiem nic na temat niższych stworzeń z Barsoom, o których mówisz. Istnieje tylko jedna rasa wyższa: mieszkańcy Bantoom. To dla nich powstała cała natura. Ty również spełnisz swoją rolę, ale jeszcze nie teraz: jesteś na to zbyt chuda. Najpierw musimy ją nieco podtuczyć, Sept. Znudziło mi się mięso rykora. Może to coś będzie miało inny smak. Banthy zbyt mocno cuchną, a do doliny rzadko trafiają inne stworzenia. Co do ciebie Ghek, nie ominie cię nagroda. Przenoszę cię z pól do kopca. Od tej pory zostaniesz pod ziemią. Tego pragnie każdy w Bantoom. Nie będziesz musiał cierpieć dokuczliwego światła słońca ani oglądać wstrętnego nieba czy szkaradnych roślin, szpecących powierzchnię świata. Na razie zajmiesz się tą rzeczą, którą przyprowadziłeś, pilnując, aby jąda, wysypiała się, i nie robiła nic poza tym. Nic poza tym, rozumiesz Ghek?!

– Rozumiem, Luudzie – odparł strażnik.

– Zabierz to! – rozkazało stworzenie.

Ghek odwrócił się i wyprowadził Tarę z pomieszczenia. Dziewczyna była przerażona myślą o czekającym ją losie, przed którym, jak się zdawało, nie było ucieczki. Aż nazbyt wyraźnie widziała, że stworzenia nie posiadały żadnych wyższych uczuć, do których mogłaby próbować przemówić, a ucieczka z podziemnego labiryntu wydawała się niemożliwa.

Na zewnątrz sali audiencyjnej dogonił ich Sept i wdał się przez pewien czas w rozmowę z Ghekiem. Następnie strażnik poprowadził ją oszalamiącą płataniną krętych tuneli, aż dotarli do niewielkiego pomieszczenia.

– Mamy tu zostać przez jakiś czas. Być może Luud przyśle po ciebie. Jeśli tak się stanie, pewnie nie będą cię tuczyć. Posłużysz mu w innym celu. – Na szczęście dla spokoju jej ducha, Tara nie wiedziała, co przez to rozumiał. – Zaśpiewaj mi – powiedział po jakimś czasie Ghek.

Tara wcale nie miała na to ochoty. Mimo to zaśpiewała, ponieważ zawsze istniała możliwość, że przy sprzyjającej okazji uda się jej uciec, a gdyby zdobyła do tego czasu przyjaźń jednego z tych stworzeń, jej szanse byłyby stosunkowo większe. Przez cały czas trwania tortury, jaką było dla wyczerpanej dziewczyny śpiewanie, Ghek stał, wbijając w nią wzrok.

– To cudowne – powiedział, kiedy skończyła. – Zauważyłaś na pewno, że nie powiedziałem o tym Luudowi. Gdyby dowiedział się, na pewno poleciłby ci zaśpiewać dla siebie, a wtedy zatrzymałby cię pewnie, żeby móc cię słuchać, kiedy tylko zechce. Teraz mogę słuchać cię cały czas.

– Skąd wiesz, że spodobałby mu się mój śpiew? – zapytała.

– Musiałby przypaść mu do gustu – odparł Ghek. – Wszystko, co podoba się mi, na pewno podoba się i jemu. Wszyscy jesteśmy przecież identyczni, prawda?

– Ludziom mojej rasy nie zawsze podobają się te same rzeczy – zauważyła dziewczyna.

– Dziwne! – stwierdził Ghek. – Kaldanowie zawsze dzielą się na upodobania. Wiem, że każda nowa rzecz, która przypadnie mi do gustu, spodoba się wszystkim. Dzięki temu wiem, że Luudowi spodobałby się twój śpiew. Rozumiesz, wszyscy jesteśmy dokładnie tacy sami.

– Przecież nie wyglądasz jak Luud – zauważyła dziewczyna.

– Luud jest królem. Jest większy i ma wspanialsze ozdoby, ale poza tym nie różnimy się ani trochę. Czy nie tak powinno być? W końcu wyklułem się z jego jaja.

– Co? – zapytała dziewczyna. – Nie rozumiem.

– Owszem – wyjaśnił Ghek. – Cały nasz rój wykluł się z jaj Luuda, podobnie jak Moakowie wylęgli się z jaj Moaka.

– Och! – zawołała Tara ze zrozumieniem. – Chcesz powiedzieć, że Luud ma wiele żon i jesteś potomkiem jednej z nich.

– Ależ skąd – odpowiedział Ghek. – Luud nie ma żony. Sam składa jaja. Nie rozumiesz.

Tara zgodziła się z nim.

– Postaram ci się to wyjaśnić – powiedział Ghek – jeśli obiecasz, że później dla mnie zaśpiewasz.

– Obiecuję – powiedziała.

– Nie jesteśmy jak rykory – zaczął. – To stworzenia niższego rzędu, takie jak ty, banthy i tym podobne. Nie posiadamy płci; nie ma jej żaden z nas, oprócz króla, który jest obojnakiem. Składa wiele jaj, z których wykluwamy się my, robotnicy i wojownicy, a z jednego jaja na tysiąc wykluwa się kolejny król. Zauważyłaś zamurowane otwory w tej sali, gdzie przyjął nas Luud? Za każdym z nich znajduje się król. Gdyby któremuś udało się uciec, walczyłby z Luudem i próbował go zabić. Gdyby mu się udało, mielibyśmy nowego króla, ale to bez znaczenia. Nadal byłby to Luud, a wszystko byłoby jak wcześniej, ponieważ

wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Luud żyje od dawna i złożył wiele królewskich jaj, zostawił więc przy życiu tylko paru, aby po śmierci nie zabrakło mu następcy. Pozostałych zabił.

– Dlaczego zostawił ich kilku? – zapytała dziewczyna.

– Czasami zdarzają się wypadki – odparł Ghek – i giną wszyscy królowie w roju. Wtedy porywa się króla z sąsiedniego roju.

– I wszyscy jesteście potomkami Luuda? – zapytała.

– Wszyscy, oprócz paru, którzy wykluli się z jaj poprzedniego króla, jak Luud. Ale Luud żyje już od dawna, a pozostałych nie zostało wielu.

– Życie długo czy krótko? – pytała dalej Tara.

– Bardzo długo.

– A rykory? One też żyją długo?

– Nie, może jakieś dziesięć lat – oznajmił. – O ile są silne i pożyteczne. Kiedy przestają być przydatne, ze starości lub na skutek choroby, zostawiamy je na noc na polu, gdzie zostają pożarte przez banthy.

– To straszne! – zawołała.

– Straszne? – zawtórował. – Nie widzę w tym nic straszego. To tylko pozbawione mózgu ciała. Nie widzą, nie czują, nie słyszą. Pozbawione naszej pomocy ledwie są w stanie się ruszać. Zginęłyby z głodu, gdyby nie my. Zasługują na mniejszą uwagę niż uprząż. Samodzielnie potrafią tylko przenieść jedzenie z koryta do paszczy, ale z naszą pomocą, spójrz tylko! – Wskazał z dumą na zajmowane przez siebie, pełne życia i energii, wspaniałe ciało.

– Jak to możliwe? – zapytała Tara. – Naprawdę nie rozumiem.

– Pokażę ci – powiedział i położył się na podłodze, po czym zszedł z ciała, które leżało jak martwe. Podszedł na pajęczych nóżkach w stronę dziewczyny. – Patrz – polecił. – Widzisz to? – Wysunął z tyłu głowy coś, co wyglądało jak wiązka macek. – Tuż za paszczą rykora, dokładnie nad górnym końcem kręgosłupa, znajduje się otwór, do którego je wsuwam i owijam je wokół rdzenia kręgowego. Dzięki temu przejmuję władzę nad ciałem; kontroluję wszystkie mięśnie, zupełnie jak ty kontrolujesz ruchy swojego ciała. Czują to, co odczuwałby rykor, gdyby miał głowę i mózg. Kiedy odczuwa ból, nie zerwawszy połączenia, cierpiałbym razem z nim, ale w chwili, gdy któryś zostaje ranny lub zapada na zdrowiu, porzucamy go i bierzemy innego. Podobnie jak ból, możemy odczuwać to, co sprawia im przyjemność. Teraz rozumiesz? Kiedy twoje ciało się zmęczy, niewiele z ciebie pożytku; kiedy choruje, chorujesz wraz z nim; kiedy zginie, zginiesz i ty. Jesteś niewolnicą pozbawionej świadomości masy ciała, kości i krwi. Twoja powłoka nie ma w sobie nic lepszego od powłoki bantha. To twój umysł sprawia, że stoisz wyżej od niego, ale krępują go ograniczenia ciała. Inaczej u nas: dla nas umysł jest wszystkim. Mózg stanowi dziewięćdziesiąt procent masy naszych ciał. Posiadamy tylko najprostsze organy, i to naprawdę drobne, ponieważ nie muszą już utrzymywać złożonego układu nerwów, mięśni, tkanek i kości. Nie mamy płuc, ponieważ nie potrzebujemy powietrza. Daleko pod poziomami, na których używamy jeszcze rykorów, istnieje wielka sieć tuneli, gdzie toczy się nasze prawdziwe życie. Rykory, które potrzebują powietrza do oddychania, zginęłyby tam, tak samo jak ty. Zgromadziliśmy w hermetycznych komorach ogromne ilości pożywienia, które wystarczą nam na wieczność. Głęboko pod powierzchnią istnieją zapasy wody, które wystarczą na wieki po tym, kiedy wyczerpie się woda na powierzchni. Przygotowujemy się na muszącą nadejść chwilę, kiedy z Barsoom znikną resztki powietrza, a z nimi wyczerpie się woda i żywność. Do tego właśnie celu nas stworzono: aby z powierzchni planety nie zniknęło najdoskonalsze dzieło natury: umysł doskonały.

## Szachiści Marsa

---

– Ale co zrobicie, kiedy nadejdzie ten czas? – zapytała dziewczyna.

– Nie rozumiesz – powiedział kaldan. – Przerasta cię to, ale postaram się wyjaśnić. Całość stworzenia: Barsoom, księżyc, słońce, gwiazdy, wszystko to powstało w jednym celu, który natura od samego początku starała się osiągnąć. Na początku powstały stworzenia obdarzone życiem, ale nie rozumem. Stopniowo wykształcały szczątkowe układy nerwowe i niewielkie mózgi, które przechodziły ewolucję. Ich mózgi rosły i stawały się coraz bardziej sprawne. Nasza rasa osiągnęła najwyższy stopień rozwoju, choć są tacy, którzy uważają, że czeka nas jeszcze jeden krok, że w jakiejś odległej przyszłości odrzucimy koszmarny, szczyptę i organów wewnętrznych i przekształcimy się w nadistotę: czysty umysł. Kaldan przyszłości będzie składał się wyłącznie z ukrytego w komorze pod powierzchnią Barsoom potężnego mózgu; głuchego, niemego i ślepego. Wspaniałego, potężnego umysłu, któremu nic nie zakłóci jego wiecznych rozmyślań.

– Chcesz powiedzieć, że będzie tak po prostu leżeć i myśleć? – zawołała Tara.

– Dokładnie tak! – zawołał. – Czy można wyobrazić sobie coś wspanialszego?

– Owszem – odpowiedziała dziewczyna. – Potrafię wyobrazić sobie kilka o niebo wspanialszych zajęć.

### ROZDZIAŁ 6

## W SZPONACH GROZY

To, co usłyszała od Gheka, dało Tarze do myślenia. Wpojono jej, że wszystkie stworzenia pełniły w naturze jakąś pożyteczną funkcję, próbowała więc dociec ze wszystkich sił, jaka była rola kaldanów. Wiedziała, że musiały ją mieć, ale nie potrafiła jej dostrzec. W końcu poddała się. Przypomniała sobie grupkę mieszkańców Helium, którzy w pogoni za wiedzą wyrzekli się przyjemności życia. Uważając się za lepiej rozwiniętych od całej reszty, w relacjach z innymi ludźmi, stojącymi rzekomo niżej na drabinie rozwoju, zachowywali się dość protekcyjnie. Uśmiechnęła się na wspomnienie zasłyszanych od ojca słów, że gdyby któryś z nich zdołał przebić warstwę swego egotyzmu, odkażenie Helium zajęłoby cały tydzień. Ojciec Tary gustował w zwykłych ludziach; zbyt wykształceni lub niedouczeni wydawali mu się jednakowo nużący. Pod tym względem Tara była jego nieodrodną córką i tak samo zachowywała rozsądek i zdrowie psychiczne.

Oprócz zagrożenia dla jej osoby, w tym niezwykłym podziemnym świecie ciekawiło ją wiele spraw. Rykory budziły w niej litość i pobudzały do snucia domysłów. W jaki sposób i z jakich stworzeń wyewoluowały? Zapytała o to Gheka.

– Zaśpiewaj mi jeszcze raz, a opowiem – powiedział. – Gdyby Luud mi cię oddał, nie dałbym cię zabić. Zachowałbym cię na zawsze, żebyś mi śpiewała.

Dziewczynę zadziwił wpływ jej głosu na to stworzenie. Gdzieś w tym ogromnym umyśle istniała poruszana przez melodię struna, która była jedyną więzią między nią a mózgiem kaldana. Co prawda, połączony z rykorem, Ghek mógł posiadać inne ludzkie instynkty, wołała jednak o nich nie myśleć. Skończywszy śpiewać, czekała, aż zacznie mówić. Milczał przez jakiś czas, wpatrując się w nią strasznymi oczami.

– Zastanawiam się, czy nie byłoby dobrze być istotą twojej rasy – powiedział wreszcie. – Czy wszyscy śpiewacie?

– Prawie wszyscy, w pewnym stopniu – powiedziała. – Ale poza śpiewem robimy wiele innych ciekawych i przyjemnych rzeczy. Tańczymy, bawimy się, pracujemy, kochamy, a czasem walczymy, ponieważ jesteśmy rasą wojowników.

– Kochacie! – rzucił kaldan. – Chyba wiem, co masz na myśli, choć na szczęście pozbawieni więzi z rykorami stoimy ponad tym uczuciem. Ale kiedy ich dosiadamy... ech, wtedy jest inaczej. A kiedy słucham twego śpiewu i oglądam twoje ciało, rozumiem, co znaczy miłość. Potrafiłbym cię kochać.

Dziewczyna cofnęła się.

– Obiecałeś opowiedzieć, skąd wzięły się rykory – przypomniała.

– Przed wiekami – zaczął – mieliśmy większe ciała i mniejsze głowy. Nasze słabe nogi nie pozwalały nam na dalekie i szybkie wędrówki. Istniało też pewne pozbawione rozumu stworzenie poruszające się na czterech nogach. Mieszkało w norach w ziemi, do których zносиło jedzenie, budowaliśmy więc tunele prowadzące do jego siedzib i wyjadaliśmy mu zapasy, ale nie zbierało dość dla siebie i wszystkich żerujących na nim kaldanów. Sami również musieliśmy więc zdobywać pożywienie. To było spore obciążenie dla naszych słabych nóg, zaczęliśmy więc przemieszczać się na plecach tych pierwszych rykorów. Niewątpliwie zajęło to wiele wieków, ale w końcu kaldany znalazły sposób, aby nimi kierować, aż w końcu poszukując jedzenia rykory uzależniły się całkowicie od lepiej rozwiniętych umysłów swoich panów. Z czasem własne mózgi rykorów kurczyły się;

pozbawione zastosowania, zanikały też oczy i uszy, zastąpione zmysłami kaldanów. Tą samą koleją rzeczy rykory nauczyły się poruszać się na tylnych odnóżach, aby zapewnić kaldanom dalszy zasięg wzroku. Kurczeniu się mózgu towarzyszyło zanikanie głowy. Została tylko paszcza, jako jej jedyna używana nadal część. Od czasu do czasu nasi przodkowie chwyтали czerwonych Marsjan, a widząc ich piękno i przewagę ich postaci nad kształtami, jakie przybierały rykory, zaczęli stosować dobór naturalny, aby wyhodować rykory w ich obecnym kształcie. To w całości dzieło wyższej inteligencji kaldanów; ciała, z którymi możemy robić, co chcemy, tak samo jak ty, choć mamy tę przewagę, że dysponujemy ich nieograniczonym zapasem. Nie żałujesz teraz, że nie jesteś jednym z nas?

Tara nie wiedziała, jak długo trzymano ją pod ziemią. Miała wrażenie, że upłynęło wiele czasu. Spała, jadła i obserwowała niekończący się pochód stworów mijających wejście do jej celi. Z góry podążał obładowany szereg robotników niosących jedzenie, w drugą stronę podążały stworzenia o pustych rękach. Widząc je, wiedziała, że na górze był dzień. Kiedy znikaly, wiedziała, że zapadła noc i banthy pożerały porzucone w polu rykory. Zaczęła blednąć i chudnąć. Nie smakowało jej jedzenie, którym ją karmili. Nie chodziło tylko o to, że nie nadawało się dla ludzi. Nawet gdyby było smaczne, powstrzymywałyby się przed jedzeniem z obawy, że przybierze na wadze. Myśl o tym, że mogła nabrać kształtów, przyjęła w tym podziemnym świecie nowe, groźne znaczenie.

Ghek zauważył, że stała się chuda i blada. Zapytał ją o to i usłyszał w odpowiedzi, że Tara nie czuła się dobrze pod ziemią. Potrzebowała świeżego powietrza i światła słonecznego, w przeciwnym razie musiała zmarnieć i umrzeć. Widocznie przekazał jej słowa Luudowi, ponieważ poinformował ją wkrótce, że władca kazał przenieść ją do wieży. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi, żywiła nadzieję, że taki właśnie skutek odniesie jej rozmowa z Ghekiem. Widok słońca sam w sobie był już sporym osiągnięciem, ale powróciła jej nadzieja, której nie ośmielała się żywić w przerażającym podziemnym labiryncie, skąd nie potrafiłaby wrócić do świata zewnętrznego. Teraz zaświtało jej nikłe światełko nadziei. Widziała wzgórze, a skoro je widziała, mogła chyba liczyć, że nadarzy się okazja, aby tam dotrzeć? Wystarczyłoby dziesięć minut, dziesięć krótkich minut! Statek nadal tam był, tego była pewna. Dziesięć minut, a zdołałaby wyrwać się, wolna na zawsze, z tego strasznego miejsca! Ale dni mijały, a jej nie udało się zdobyć dla siebie nawet połowy tego czasu. Wiele razy planowała ucieczkę. Gdyby nie banthy, z łatwością uciekłyby w nocy. Ghek zawsze schodził wtedy z ciała i zapadał w stan półśpiączki. Nie można było powiedzieć, że wtedy spał; w każdym razie nie wyglądało to na sen, ponieważ pozbawione powiek oczy nie zmieniały wyrazu. Leżał tylko cicho w kącie celi. Tara po tysiącokroć odgrywała w umyśle scenę ucieczki. Skoczyłaby w stronę rykora i wyrwała miecz z uprzęży, nim Ghek zdążyłby przejrzeć jej zamiar. Potem przebiłaby jego szkaradną głowę, zanim zdążyłby podnieść alarm. Wystarczyłaby jej chwila, żeby dotrzeć na dziedziniec. Rykory nie zatrzymałyby jej, ponieważ nie posiadały rozumu, który mógłby im podpowiedzieć, że próbuje uciec. Obserwowała z okna, jak otwierano i zamykano wychodzącą na pola bramę i wiedziała, w jaki sposób ją otworzyć. Minąwszy bramę, rzuciłaby się biegiem w stronę wzgórza, które było tak blisko, że nie zdołaliby jej dogonić. Wszystko wydawało się takie łatwe, a raczej byłoby takie, gdyby nie banthy! Banthy w nocy, a robotnicy za dnia!

Zamknięta w wieży i pozbawiona odpowiedniej diety oraz ćwiczeń, dziewczyna nadal nie przybierała na wadze tak, jak oczekiwali tego jej porywacze. Ghek próbował dowiedzieć się, dlaczego nie nabrała jeszcze kształtów, a zaczęła wręcz wyglądać gorzej, niż kiedy ją złapali. Troska strażnika, pobudzana stałym dopytywaniem Luuda, w końcu podsunęła Tarze plan, który mógł pomóc jej znaleźć okazję do ucieczki.

## Szachiści Marsa

---

– Nawykłam do spacerów na świeżym powietrzu i słońca – poinformowała Gheka. – Nie wróćę do formy zamknięta stale w tej komnacie, pełnej stęchłego powietrza, i pozbawiona właściwego ruchu. Pozwólcie mi wychodzić co dzień na pola i spacerować w świetle słońca. Wtedy na pewno przybiorę na wadze.

– Uciekniesz – stwierdził.

– Nie zdołałabym przecież uciec, gdybyś stale mi towarzyszył – stwierdziła. – Poza tym, nawet gdybym chciała to zrobić, dokąd miałabym pójść? Nie wiem nawet, gdzie leży Helium. Na pewno bardzo daleko. Bantthy zjadłyby mnie już pierwszej nocy, prawda?

– Owszem – odparł Ghek. – Zapytam Luuda.

Następnego dnia poinformował ją, że Luud pozwolił wyprowadzić ją na pole. Miał próbować tego przez jakiś czas i przekonać się, czy nastąpi poprawa.

– Jeśli nie utyjesz i tak po ciebie przyśle – powiedział Ghek. – Ale nie użyje cię do jedzenia.

Tara wzdrygnęła się.

Tego dnia i przez wiele kolejnych wychodziła z wieży na pole. Wypatrywała stale okazji do ucieczki, ale stale towarzyszył jej Ghek. Przed próbą ucieczki powstrzymywała ją nie tyle jego obecność, co liczba robotników, obecnych nieprzerwanie między nią a wzgórzami, gdzie ukryła statek. Ghekowi z łatwością mogła się wyrwać, ale robotników było po prostu zbyt wielu. Aż pewnego dnia, kiedy opuszczali wieżę, wychodząc na spacer, Ghek oznajmił, że robią to po raz ostatni.

– Dziś wieczór idziesz do Luuda – powiedział. – Przykro mi, że nie usłyszę już twojego śpiewu.

– Dziś wieczór! – Ledwie śmiała wypowiedzieć te słowa, które napępniały ją grozą.

Posłała szybkie spojrzenie w stronę wzgórz. Były tak blisko! A jednak w nieunikniony sposób dzieliła ją od nich dwudziestka robotników.

– Pójdziemy tam? – zapytała, pokazując ich. – Chciałabym zobaczyć, co robią.

– To za daleko – powiedział Ghek. – Nie lubię słońca. O wiele przyjemniej jest tu, w cieniu drzewa.

– Dobrze – zgodziła się. – W takim razie zostań tutaj, a ja tam pójdę. To potrwa tylko chwilkę.

– Nie – odpowiedział. – Pójdę z tobą. Zamierzasz uciec, ale nie uda ci się.

– Przecież nie mogę uciec – przypomniała mu.

– Wiem – przytaknął Ghek. – Ale mogłabyś spróbować. A nie chcę, żebyś próbowała. Chyba będzie lepiej, jeśli od razu wrócimy do wieży. Gdybyś uciekła, miałbym kłopoty.

Tara widziała, jak rozwiewa się jej ostatnia szansa. Kolejnego dnia miała już nie mieć. Szukała gorączkowo pretekstu, aby zwabić go bliżej wzgórz.

– Przecież proszę o tak niewiele – powiedziała. – Na pewno będziesz chciał, żebym zaśpiewała ci dzisiaj ostatni raz. Nie zrobię tego, jeśli nie pozwolisz mi pójść i sprawdzić, co robią te kaldany.

Ghek wahał się.

– W takim razie będę trzymał cię cały czas za rękę – oświadczył.

– Ależ oczywiście, jeśli tego sobie życzysz – zgodziła się. – Chodźmy!

Ruszyli w stronę grupki robotników, kopiących w ziemi. Zdążyła zauważyć, że niemal cały czas pochylali się nad swoją pracą, wbijając straszne oczy w odwróconą glebę. Zaprowadziła Gheka blisko nich, udając, że chce przyjrzeć się dokładniej ich pracy. Przez cały czas kaldan ścisnął ją mocno za rękę.

– To bardzo ciekawe – powiedziała, wzdychając. – Patrz, Ghek! – rzuciła nagle i wskazała w stronę wieży. Nie zwalniając chwytu na jej ręce, kaldan odwrócił się, żeby

spojrzeć we wskazanym kierunku. W tej samej chwili, z szybkością bantha, zdzieliła go prawą pięścią, wkładając w cios każdą cząstkę siły. Trafiła w tył mięsistej głowy tuż nad kołnierzem. Cios był dość silny, aby osiągnęła cel. Udało jej się strącić kaldana z karku rykora i posłać go na ziemię. Ciało pozbawione kontroli umysłu Gheka, zwolniło chwyt na jej przegubie, po czym zatoczyło się bez celu, opadło na kolana i przewróciło na plecy. Ale Tara nie czekała, żeby oglądać skutki swego czynu. Kiedy tylko poczuła, że palce rykora zwolniły uścisk, wyrwała się i popędziła w stronę wzgórz. W tej samej chwili Ghek wydał ostrzegawczy gwizd, a robotnicy poderwali się w odpowiedzi. Jeden z nich stał niemal dokładnie na drodze dziewczyny. Zanurkowała pod wyciągniętymi ramionami i pobiegła dalej w stronę wzgórz i wolności, trafiając stopą na zagłębione częściowo w ziemi narzędzie, którym przewracano glebę, podobne do motyki. Pobiegła dalej, potykając się i próbując rozpaczliwie złapać równowagę, ale stopy ugrzęzły jej w brudach. Potknęła się znowu i tym razem upadła, a kiedy próbowała się podnieść, ciężkie ciało przygniotło ją i złapało za ramiona. Chwilę później została otoczona i podniesiona z ziemi, a rozglądając się wokół, zauważyła Gheka, skradającego się do leżącego bezwładnie rykora. Chwilę później podszedł do niej.

Szkaradna twarz, niezdolna do wyrażania emocji, nie zdradzała, co działo się w potężnym umyśle. Czy kłębiła się w nim złość, nienawiść, chęć zemsty? Tara nie domyślała się tego, ani nie obchodziło jej to. Stało się najgorsze. Próbowwała uciec i nie udało się jej. Kolejnej szansy miała już nie mieć.

– Chodź! – powiedział Ghek. – Wracamy do wieży. – Martwego, monotonnego głosu nie przerywały żadne emocje, co było gorsze niż złość, ponieważ nie pozwalało jej domyślić się, co zamierzał. Tara poczuła jeszcze większy lęk przed potężnymi umysłami, którym obce były ludzkie uczucia.

Zawleczono ją z powrotem do wieży, a Ghek podjął znowu straż przy drzwiach. Tym razem jednak trzymał w dłoni obnażony miecz i nie zszedł z rykora; zmienił go tylko na innego, którego kazał sobie przyprowadzić, kiedy pierwszy zaczął zdradzać oznaki zmęczenia. Dziewczyna siedziała, obserwując go. Nie okazał jej wrogości, ale nie czuła do niego wdzięczności ani, z drugiej strony, nienawiści. Kaldanowie, niezdolni do wyższych uczuć, nie wzbudzali ich również w niej. Nie odczuwała w stosunku do nich wdzięczności, sympatii czy nienawiści. Wzbudzali w niej jedynie nieustające poczucie grozy. Przysłuchiwała się kiedyś dyskusjom wybitnych naukowców nad przyszłością czerwonych Marsjan i pamiętała, że niektórzy twierdzili, iż ostatecznie władzę nad ludźmi zdobędzie umysł. Odruchy i emocje miały zniknąć, a impulsywne zachowania odejść do historii za sprawą intelektu, który miał rządzić wszelkimi działaniami. Obrońca tej teorii żałował, że miał nigdy nie zaznać szczęścia tego stanu, który – jak twierdził – miał obdarzyć ludzkość pełnią istnienia.

Tara żałowała z całego serca, że nie miała teraz przy sobie tego uczonego, aby mógł zakosztować w pełni praktycznych skutków wypełnienia jego przepowiedni. Wybór między czysto cielesnym życiem rykora a kaldanem, zbudowanym w całości z umysłu, nie należał do atrakcyjnych: najbardziej pożądanym stanem istnienia okazywała się złota równowaga życia znanych jej normalnych i niedoskonałych ludzi. Uznała, że wszyscy ideałści, poszukujący idealnego stanu istnienia ludzkości w którymkolwiek stadium jej rozwoju, mogliby znaleźć tu wspaniałą lekcję, która uświadomiłaby im, że prawdziwa doskonałość bywa równie niepożądana jak jej przeciwieństwo.

Oczekując na wezwanie Luuda, Tara oddawała się ponurym rozmyśleniom. Wezwanie mogło oznaczać tylko jedno: śmierć. Domyślała się, do czego była mu potrzebna, i wiedziała, że zanim skończy się noc, musiała znaleźć jakiś sposób, aby się zabić. Mimo to nadal



trzymała się z całych sił nadziei. Nie zamierzała poddać się, dopóki nie zostanie jej inne wyjścia. Raz wystraszyła Gheka, wołając na głos, niemal z wściekłością w głosie:

– Jeszcze nie umarłam!

– Co masz na myśli? – zapytał kaldan.

– Dokładnie to, co powiedziałam – odparła. – Jeszcze nie umarłam, a póki żyję, może uda mi się jeszcze znaleźć jakiś sposób. Kiedy zginę, zniknie wszelka nadzieja.

– Sposób na co? – zapytał.

– Na odzyskanie życia, wolności i powrót do mojego ludu – odpowiedziała.

– Kto wejdzie do Bantoom, już nie wyjdzie – zaintonował monotonnym głosem.

Nie odpowiedziała.

– Zaśpiewaj dla mnie – powiedział po chwili.

Kiedy śpiewała, pojawiło się czterech wojowników, którzy mieli zaprowadzić ją do Luuda. Ghekowi przekazali, aby został w wieży.

– Dlaczego? – spytał.

– Luud zawiódł się na tobie – odpowiedział jeden z wojowników.

– W jaki sposób? – pytał Ghek.

– Okazałeś brak nieskażonego rozumu. Dopuszciasz, aby zawładnęły tobą uczucia, tym samym okazując niedoskonałość. Wiesz, jaki los czeka ułomnych.

– Wiem, lecz nie należę do nich – trwał przy swoim Ghek.

– Dopuszciasz, aby dziwne odgłosy, które wydaje to stworzenie, uspokajały cię i sprawiały ci przyjemność, wiedząc dobrze, że nie mają nic wspólnego z logiką czy rozumem. Już to samo stanowi niezaprzeczalny dowód słabości. Następnie, działając bez wątpienia pod wpływem nielogicznych uczuć, pozwoliłeś jej udać się w miejsce, z którego omal nie udało się jej uciec. Gdyby nie był ułomny, twój własny rozum przekonałby cię, że stałeś się niedostosowany. Jediną rozsądną karą za to jest śmierć. Zostaniesz zabity w sposób, który będzie stosowną lekcją dla wszystkich członków roju. Tymczasem masz zostać tu, gdzie jesteś.

– Macie rację – powiedział Ghek. – Zostanę tu, dopóki Luud nie uzna za stosowne pozbyć się mnie w najbardziej rozsądnym sposób.

Kiedy wyprowadzano ją z celi, Tara posłała mu pełne zdumienia spojrzenie, wołając przez ramię:

– Pamiętaj, Ghek, jeszcze nie umarłeś! – Po czym poprowadzono ją niekończącymi się tunelami do miejsca, w którym oczekiwał jej Luud.

Kiedy wprowadzono ją do jego komory, siedział w kącie na sześciu pajęczych nogach. Pod przeciwną ścianą spoczywał okazały rykor, ubrany we wspaniałą uprzęż: pozbawiony kontroli kaldana wyglądał jak nieżywy. Luud odprawił strażników, którzy przyprowadzili Tarę, po czym wbił w nią spojrzenie i w milczeniu przyglądał się jej przez jakiś czas strasznym wzrokiem. Tara czekała. Mogła tylko zgadywać, co ją czekało, nie widziała jednak takiej potrzeby. Kiedy koniec nadejdzie, zawsze zdąży wyjść mu naprzeciw. W końcu Luud odezwał się.

– Chcesz uciec – rzekł charakterystycznym dla kaldanów, martwym, pozbawionym wyrazu głosem, jedynym sposobem wysławiania się osiągalnym dla rozumu nie podlegającego wpływom uczuć. – Nie uda ci się. Stanowisz ucieleśnienie połączonych niedoskonałości: ciała i umysłu, które nie mogą współistnieć w harmonii. Tam – wskazał rykora – jest idealne ciało, pozbawione rozumu. Tu – uniósł jeden z kleszczy do swojej głowy – znajduje się rozum doskonały. Nie potrzebuje ciała, aby działać. I ty chcesz mierzyć się ze mną swoim wątłym intelektem! Nawet teraz planujesz, jak mnie zabić, a jeśli udaremnię ci to, zamierzasz zabić siebie. Przekonasz się zaraz, jaką władzę posiada umysł

nad materią. Ja to umysł. Ty jesteś materią. Twój niewielki mózg jest zbyt słaby i niedorozwinięty, aby zasługiwał na tę nazwę. Osłabiły go dyktowane uczuciami impulsywne działania. Jest bezwartościowy. Praktycznie nie posiada kontroli nad twoim życiem. Nie uda ci się zabić mnie ani siebie. Kiedy z tobą skończę, zginiesz, o ile uznam to za logiczne. Nie masz pojęcia o możliwościach, jakie daje umysł doskonały. Spójrz na tego rykora. Nie posiada rozumu i sam z siebie wykonuje tylko słabe ruchy. Mechaniczne odruchy, jakie im pozostawiliśmy, pomagają mu przenieść jedzenie do ust, ale samodzielnie nie potrafiłby go znaleźć. Musimy kłaść je w zasięgu jego rąk, zawsze w tym samym miejscu. Gdybyśmy umieścili je pod nogami i zostawili rykora samego sobie, zmarłby z głodu. A teraz patrz, czego może dokonać prawdziwy mózg.

Przeniósł wzrok na rykora i siedział, utkwivszy w nim spojrzenie. Dziewczyna ujrzała ze zgrozą, że bezgłowe ciało poruszyło się. Uniosło się powoli i podeszło w kierunku Luuda, po czym nachyliło się i ujęło odrażającą głowę w dłonie, a wreszcie osadziło ją sobie na karku.

– Co zdołasz zdziałać przeciw takiej mocy? – zapytał Luud. – To samo, co zrobiłem z rykorem, mogę zrobić z tobą.

Tara nie odpowiedziała. Najwyraźniej i tak nie spodziewał się odpowiedzi.

– Wątpisz w moją moc! – stwierdził Luud, co było zgodne z prawdą, choć Tara nie powiedziała tego na głos, a pomyślała tylko.

Luud przeszedł przez pomieszczenie i położył się, po czym zszedł z ciała i pełzł po podłodze, aż stanął dokładnie przed okrągłym otworem, z którego wyłonił się, kiedy księżniczka trafiła tu po raz pierwszy. Tam stanął i utkwiał w niej spojrzenie strasznych oczu. Milczał, ale wzrokiem zdawał się wwiercać do środka jej mózgu. Poczula, że prawie niemożliwa do przewyciężenia siła popycha ją w stronę kaldana. Próbowwała opierać się, odwrócić wzrok, ale nie mogła. Pozbawione powiek, lśniące oczy stojącego przed nią potężnego mózgu z przerażającą siłą przykuwały jej spojrzenie. Powoli, walcząc boleśnie przy każdym kroku, przesuwała się w stronę przerażającego potwora. Próbowwała krzyknąć na głos, próbując obudzić odrętwiałe zmysły, ale z ust nie wyszedł żaden dźwięk. Czula, że gdyby udało jej się choć na chwilę odwrócić wzrok, odzyskałaby władzę nad nogami, ale Luud nie spuszczał jej z oczu. Jego spojrzenie zdawało się wbijać w nią coraz głębiej, odbierając resztki kontroli nad układem nerwowym.

W miarę jak zbliżała się do kaldana, ten cofał się powoli na pajęczych nogach. Zauważyła, że zagłębiając się w otworze u podstawy ściany, machał powoli szczypcami w tę i z powrotem. Czy ona również miała tam wejść? Co za nowy, nienazwany koszmara czekał w ukrytej komorze? Nie! Nie chciała tego zrobić. Mimo to, zanim dotarła do ściany, opadła na ręce i kolana, i zaczęła czołgać się w stronę otworu, z którego nadal wbijała się w nią para oczu. Na samym progu próbowała po raz ostatni bohatercko stawić opór, walcząc z popychającą ją do przodu siłą, w końcu jednak uległa. Z głębokim westchnieniem, które zakończyło się szlochem, Tara przeczołgała się przez otwór do położonej za nim komory.

Ledwie zmieściła się w szczelinie. Po drugiej stronie odkryła niewielkie pomieszczenie. Luud siedział przed nią. Po drugiej stronie leżał pod ścianą okazały, piękny samiec rykora, zupełnie nagi.

– Widzisz, że opór jest bezcelowy – stwierdził Luud.

Zdawało się, że słowa uwolniły ją błyskawicznie spod czaru. Odwróciła wzrok.

– Patrz na mnie! – rozkazał Luud.

Tara nadal unikała jego spojrzenia. Poczula przypływ świeżej siły, a w każdym razie osłabienie kontroli, jaką miało nad nią to stworzenie. Może przypadkiem udało jej się odkryć sekret jego przerażającej władzy? Nie miała odwagi uznać, że tak właśnie było. Starając się nie patrzeć na Luuda, ruszyła w stronę szczeliny, przez którą wciągnął ją złowieszczym

wzrokiem. Kaldan po raz kolejny kazał jej zatrzymać się, ale sam głos nie był tak silny jak wzrok i nie dawał mu władzy nad nią. Usłyszała gwizd i wiedziała, że Luud wzywał pomoc, ale ponieważ nie mogła zdobyć się na to, aby spojrzeć w jego stronę, nie zauważyła, że odwrócił się i skupił wzrok na bezgłowym ciele spoczywającym pod ścianą.

Dziewczyna w dalszym ciągu pozostawała pod pewnym wpływem Luuda; nie odzyskała jeszcze w pełni władzy nad sobą. Poruszała się jak w szponach przerażającego koszmaru, powoli i boleśnie, czując jakby na jej kończynach spoczywał ogromny ciężar lub jakby wlokła się przez lepłą ciecz. Szczelina była blisko, bardzo blisko, ale choć walczyła z całym siłą, zdawało się, że wcale nie zbliżała się do niej.

Z tyłu popychane złowrogą mocą potężnego umysłu bezgłowe ciało czołgało się w jej stronę. W końcu udało się jej dotrzeć do szczeliny. Coś jej mówiło, że jeśli uda się jej przedostać na drugą stronę, pokona wolę kaldana. Była już prawie w sąsiednim pomieszczeniu, kiedy poczuła na kostce ciężką dłoń. To rykor wyciągnął rękę do przodu i chwycił ją, a choć szarpała się, jak mogła, stworzenie wciągnęło ją z powrotem do prywatnej komory Luuda. Chwyciło ją mocno i przyciągnęło do siebie, po czym, ku przerażeniu Tary, zaczęło ją pieścić.

– Widzisz, że opór jest daremny – słyszała monotony głos Luuda. – Wiesz, jaka spotka cię kara.

Próbowała się bronić, ale w walce z bezrozumnym wcieleniem brutalnej siły jej mięśnie były żałośnie słabe. A jednak nie porzuciła prób wyrwania się, mimo nie dającej żadnych nadziei na sukces przewagi przeciwnika. Broniła w ten sposób samotnie godności dumnego imienia, ona, za którą z chęcią oddaliby życie żołnierze potężnego królestwa i kwiat rycerstwa Barsoom.

### ROZDZIAŁ 7

## KOSZMARNY WIDOK

Krażownik „Vanator” zataczał się w porywistym wietrze. Fakt, że burza nie roztrzaskała go o ziemię i nie zmieniła w skłębioną gęstwą poskręcanych siłą żywiołu szczątków, zawdzięczał wyłącznie kapryswi natury, bowiem przez cały czas sztorm miotał nim jak bezradnym wrakiem na prądach powietrznych. Mimo wszelkich zagrożeń i zmiennej fortuny, zdawało się, że statek i załoga są niezniszczalni jak za sprawą czarów. Dopiero na godzinę przed uciszeniem się burzy doszło do wypadku, który okazał się katastrofą dla załogi i całego Gathol.

Od opuszczenia Helium wojownicy na pokładzie nie jedli nic i nie pili, szarpani stale wiatrem do kresu sił. Jeden z żołnierzy próbował wykorzystać chwilowe uspokojenie burzy, aby dostać się do kajuty. Wypiął się z uprzęży, którą przymocowany był do pokładu, co było jawnym złamaniem rozkazu, ukaranym zaraz w straszliwy sposób przez żywioł na oczach reszty załogi. Zaledwie żołnierz zwolnił zabezpieczenia, macka kolosalnej burzy chwyciła statek, obracając nim raz po raz i już przy pierwszym obrocie wyrzucając lekkomyślnego żołnierza za burtę.

Pod kilem statku ciągnęła się splątana masa skórzanych lin i sznurów, wyrwanych siłą wiatru z mocowań przez ciągłe obracanie i wirowanie kadłuba. Kiedy krążownik obracał się do góry dnem, owijały się wokół kadłuba, dopóki nie odwrócił się z powrotem lub dopóki wiatr nie zerwał ich ze statku. Ciągnęły się wtedy za pędzącym w przestworzach „Vanatorem”, szarpane wściekłymi porywami wichury.

Spadający żołnierz wpadł w tę plątaninę i jak tonący uchwycił się kurczowo lin, które złapały go i zatrzymały upadek. Trzymał się ich rozpaczliwie, usiłując szybko zaczepić o nie ciałem i nogami. Za każdym razem, kiedy wiatr miotał statkiem, siła wstrząsu niemal wyrwała mu liny z dłoni, ale choć wiedział, że w końcu musiał puścić ją i polecieć na spotkanie ziemi, z desperacką zawziętością walczył o każdą nędzną chwilę, przedłużającą jego agonię.

To właśnie ujrział Gahan z Gathol, kiedy wyrzwał przez nachyloną burtę, aby przekonać się jaki los spotkał jego wojownika. Nieopodal zauważył przymocowaną do burty linę lądowniczą, zakończoną hakiem. Trzepotała teraz swobodnie na wietrze, nie wplątana w gęstwą poniżej. Młodemu jedowi wystarczyło jedno spojrzenie, aby ogarnąć sytuację. Jego człowiek walczył w dole ze śmiercią, a on miał pod ręką sposób, aby mu pomóc.

Nie wahał się ani chwili. Wypiął się z pasów, chwycił skórzaną linę i ześliznął za burtę. Kołysząc się jak ciężarek na szalonym wahadle, rozkołysał mocno linę, wirując trzy tysiące stóp nad powierzchnią Barsoom, aż wreszcie stało się to, na co liczył. Kolejny zamach zaniósł go w pobliże sznurów, których uczeplił się słabnący szybko wojownik. Zaczepiwszy nogą o pętlę w kłębowisku lin, Gahan podciągnął się dość blisko, aby uchwycić się kolejnej liny nieopodal żołnierza. Uchwyciwszy się tego niepewnego punktu oparcia, jed przyciągnął powoli skórzaną linę, aż uchwycił hak na końcu. Zaczepił nim o pierścień w uprzęży wojownika na chwilę zanim ten wypuścił linę z omdlałych palców.

Przynajmniej na pewien czas udało mu się uratować życie poddanego. Teraz musiał zadbać o własne bezpieczeństwo. W kłębowisku lin, którego się trzymał, tkwiły zaplątane haki do lądowania, podobne do tego, którym zabezpieczył uprzęż wojownika. Zamierzał przypiąć się do jednego z nich, dopóki burza nie ucichnie na tyle, aby zdołał wspiąć się z

powrotem na pokład. Ale w chwili, kiedy sięgał po kołyszący się w pobliżu hak, kolejny poryw wiatru chwycił statek. Miotające się na wietrze liny ciężły powietrze z każdym szarpnięciem kadłuba, aż jeden z ciężkich, rozkołysanych wiatrem haków uderzył Gahana prosto między oczy.

Ogłuszony, jed w jednej chwili wypuścił linę z palców i poleciał w dół przez rzadką atmosferę Marsa na spotkanie powierzchni o trzy tysiące stóp niżej. Tymczasem wojownicy na rozkołysanym pokładzie „Vanatora” trzymali się kurczowo mocowań, nieświadomi losu ukochanego wodza. Dopiero ponad godzinę później, kiedy burza sporo przycichła, zauważyli jego brak i usłyszeli o pełnym poświęcenia bohaterskim czynie, który przypieczętował jego los. Krążownik wyrównał lot, popychany silnym, stałym wiatrem. Żołnierze odpięli pasy, a oficerowie zajęli się liczeniem strat i zniszczeń, kiedy usłyszeli za burtą słabe wołanie, dzięki któremu zauważyli wojownika wiszącego nadal w kłębowisku lin pod kilem. Wciągnięto go zaraz na pokład, a wtedy załoga dowiedziała się o dzielnym czynie jeda i jego końcu. Mogli tylko zgadywać, jak daleko zdążyli zalecieć od chwili, kiedy zaginął, a uszkodzenia statku nie pozwalały zawrócić na poszukiwania. Przygnębiona załoga dryfowała dalej w przestworzach na spotkanie wyznaczonego jej przez los celu.

A co z Gahanem? Przez tysiąc stóp spadał jak kamień, po czym burza chwyciła go olbrzymią dłonią i uniosła do góry. Podskakiwał w powietrzu jak niesiony wiatrem strzęp papieru, igraszka i zabawka żywiołu. Wichura obracała go raz po raz, podrzucała do góry i w dół, ale każdy kolejny poryw żywiołu znosił go coraz bliżej powierzchni. Jediną regułą cyklonów są ich kaprysy, ponieważ same w sobie są one kaprysem natury, zdolnym przewracać i wyrwać z korzeniami potężne drzewa, a równocześnie przenieść o całe mile krusze dzieci, które pozostawiają nietknięte na ziemi.

To samo spotkało Gahana. Spodziewając się, że wiatr roztrzaska go w jednej chwili o ziemię, odkrył nagle, że wylądował łagodnie na miękkim żółtym mchu porastającym dno wyschniętego morza. Mimo strasznej przygody nie odniósł przy tym większych obrażeń poza lekką opuchlizną na czole w miejscu, gdzie uderzył go hak. Nie mogąc uwierzyć, że los obszedł się z nim tak łagodnie, podniósł się powoli, niemal pewny, że okaże się, iż pogruchtane kości nie są w stanie utrzymać jego ciężaru. Okazało się jednak, że był cały. Rozejrzał się, na próżno próbując zorientować się w okolicy. Powietrze było pełne pyłu i unoszonych wiatrem szczątków. Słońce zniknęło. Ogarniał wzrokiem zaledwie kilkaset jardów żółtego mchu i wypełnionego pyłem powietrza. Nawet gdyby o pięćset jardów od niego wznosiły się mury wielkiego miasta, nie zauważyłby ich. Próba opuszczenia miejsca, w którym wylądował, była bezcelowa dopóki niebo nie uległo oczyszczeniu, inaczej nie miałby pojęcia, w jakim kierunku szedł. Położył się więc na mchu i czekał, rozmyślając nad losem statku i swoich ludzi, za to niewiele uwagi poświęcając własnemu niepewnemu położeniu.

Miał przy sobie zawieszony w uprzęży miecze, sztylet i pistolety; w kieszeni zaś skromną ilość koncentratów żywności, stanowiących część wyposażenia wojowników na Barsoom. W połączeniu z siłą mięśni, odwagą i nieugiętym duchem powinno mu to wystarczyć do przetrwania wszelkich przygód, czekających w drodze do Gathol, o którym nie miał pojęcia, jak daleko i w którą stronę się znajduje.

Wiatr tracił szybko na sile; równocześnie rzędła zasłaniająca okolicę chmura pyłu. Gahan wiedział, że burza skończyła się na pewno, ale drażniła go wymuszona słabą widocznością bezczynność. Przed wieczorem warunki nie poprawiły się w znaczący sposób, a zatem musiał oczekiwać nowego dnia w miejscu, gdzie postawił go wiatr. Pozbawiony posłania, nie spał wygodnie i z ulgą przywitał nagły marsjański poranek. Powietrze było czyste, a w świetle słońca ujrzał wokół siebie ciągnącą się we wszystkie strony pofałdowaną równinę, za którą widniały na północnym zachodzie ledwie widoczne zarysy niskich wzgórz. Na południowy

wschód od Gathol była podobna kraina, a ponieważ Gahan przypuszczał, że kierunek i szybkość wiatru zaniósł go w pozornie znajome okolice, uznał, że znajdzie Gathol za ujrzanymi wzgórzami. W rzeczywistości leżało daleko na północnym wschodzie.

Upłynęły dwa dni, zanim przeszedł równinę i dotarł do wzgórz, ze szczytu których miał nadzieję ujrzeć własny kraj. Spotkał go zawód. Ujrzał w dole kolejną równinę, szerszą od tej, którą właśnie przemierzył, a za nią kolejne wzgórze. Pod jednym względem teren różnił się od tego, który zostawił za sobą: od czasu do czasu widać było samotne wzgórze. Przekonany mimo wszystko, że szukał Gathol we właściwym kierunku, zszedł do doliny i ruszył na północny zachód.

Gahan przemierzał wzgórze i doliny tygodniami, szukając znajomego krajobrazu, który wskazałby mu drogę do ojczyzny. Niestety, za każdym kolejnym szczytem wzgórze odkrywał stale obce widoki. Nie spotkał żadnych ludzi, a ze zwierząt widywał tylko nieliczne, aż uznał, że trafił do owianej legendą krainy dawnego Barsoom, obłożonej klątwą bogów. Mieszkańcy tego kraju, niegdyś żynego i bogatego, zaprzeczyli w swej arogancji samemu istnieniu bogów, czym zasłużyli sobie na wytępienie.

Pewnego dnia dotarł wreszcie na niskie wzgórze i ujrzał pod sobą zamieszkaną dolinę pełną drzew, pól uprawnych i niewielkich zagród otoczonych kamiennymi murami, wzniesionymi wokół dziwnych wież. Zauważył pracujących w polu ludzi, ale nie wybiegł im na spotkanie. Najpierw musiał dowiedzieć się o nich więcej i przekonać się, czy byli wrogami czy przyjaciółmi. Kryjąc się za krzakami, przeczołgał się na szczyt wysuniętego w dolinę wzgórze, skąd mógł obserwować pracujących w dole robotników na najbliższym polu. Odległość, która go od nich dzieliła, była stosunkowo duża i nie widział ich całkiem dobrze, ale było w nich coś nienaturalnego. Ich głowy zdawały się nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do ciał.

Leżał przez dłuższy czas, obserwując ich i przekonując się coraz dobitniej, że wcale nie byli do niego podobni i postąpiłby lekkomyślnie, zapuszczając się do doliny. Wkrótce zauważył dwie sylwetki, które wyszły z pobliskiego dziedzińca i zbliżały się powoli do robotników pracujących nieopodal wzgórze, na którym był ukryty. Zauważył zaraz, że jedna z nich różniła się od reszty. Nawet z tej odległości widział, że miała mniejszą głowę, a kiedy podeszła bliżej, nabrał pewności, że jej uprząż w niczym nie przypominała stroju jej towarzysza ani robotników.

Obie postaci zatrzymywały się często, najwyraźniej sprzecząc się, jakby jedna z nich chciała iść dalej w tym kierunku, druga zaś sprzeciwiała się. Ale za każdym razem wyższa z nich ustępowała niechętnie, zbliżały się więc coraz bardziej do ostatniego rzędu robotników dzielącego je od wzgórze, z którego przyglądał im się Gahan. Wtem, mniejsza postać uderzyła towarzysza w twarz. Gahan ujrzał z przerażeniem, jak głowa odpadła od ciała, które zatoczyło się i padło na ziemię. Podniósł się lekko, żeby widzieć lepiej, co działo się w dolinie. Stworzenie, które powaliło swojego towarzysza, bieгло rozpaczliwie w stronę wzgórze, na którym się ukrywał. Ominęło jednego z robotników, który próbował je złapać. Nie wiadomo dlaczego, oprócz tego, że z bliższej odległości przypominało mu istotę jego własnej rasy, Gahan miał nadzieję, że zdoła uciec. Wkrótce jednak potknęło się i upadło, po czym w jednej chwili opadli je ścigający. Akurat wtedy powędrował znowu spojrzeniem do postaci zabitej przez uciekającego.

Co za koszmar dane było mu zobaczyć? A może to wzrok spletał mu jakiegoś upiornego figla? Ale nie, choć to niemożliwe, widział naprawdę: głowa podpełzła powoli w stronę leżącego ciała i usiadła na karku, po czym ciało podniosło się i stworzenie, najwyraźniej w pełni zdrowe, podbiegło do miejsca, gdzie jego towarzysze podnosili z ziemi niefortunego uciekiniera.

Gahan ujrzał, jak stworzenie ujęło więźnia za rękę i odprowadziło z powrotem na dziedziniec. Nawet z tej odległości dostrzegł w zachowaniu więźnia oznaki rozpacz i bezradności; na dodatek był niemal pewny, że więzień był kobietą, może nawet czerwoną Marsjanką. Gdyby posiadał niezbita pewność, że tak właśnie było, musiałby podjąć próbę ratowania jej, choć niezwykle zwyczajnie Barsoom wymagały tego wyłącznie, gdyby okazała się jego rodaczką. Ale nie miał pewności. Kobieta mogła nie należeć do jego rasy, a nawet gdyby należała, mogło się okazać, że pochodziła z wrogiego kraju. Przede wszystkim musiał wrócić do własnego ludu, unikając przy tym niebezpieczeństw, i choć na myśl o przygodzie krew zabiła w nim żywiej, westchnął, odsuwając od siebie pokusę i odwrócił się od uroczej, spokojnej doliny, dokąd pchało go serce, zamierzając obejść ją od wschodu i szukać dalej Gathol.

Idąc południowymi stokami wzgórz otaczających Bantoom od wschodu i południa, zaciekawiał się rosnącą w pobliżu po prawej stronie niewielką kępą drzew. Wiszące nisko słońce rzucało długie cienie, niedługo miała zapaść noc. Drzewa rosły nieco od obranego przez niego szlaku i nie miał ochoty zbaczać z drogi, ale przyjrawszy im się bliżej, zawahał się. Poza liśćmi i pniami było tam coś jeszcze. Widział wyraźnie znajome kształty dzieła ludzkich rąk. Zatrzymał się i wbił wzrok w przedmiot, który przyciągnął jego uwagę. Nie, musiał się pomylić. To tylko padające poziomo promienie słońca nadały nienaturalny kształt gałęziom i niskim krzakom. Odwrócił się i ruszył dalej, ale kiedy obejrzał się jeszcze raz w stronę ciekawiącego go przedmiotu, w oczy trafiły go promienie słońca odbite od czegoś błyszczącego między drzewami.

Gahan potrząsnął głową i ruszył szybkim krokiem w stronę tajemniczego miejsca, gotów rozwikłać zagadkę. Błyszczący przedmiot nie przestawał go przyciągać, a kiedy podszedł bliżej, otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, widząc przed sobą godło wysadzone klejnotami na dziobie niewielkiego statku powietrznego. Z dłonią na krótkim mieczu, Gahan szedł cicho przed siebie, ale kiedy podszedł do statku, przekonał się, że nie było powodu do obaw. Pojazd był opuszczony. Przyjrzał się uważniej godłu. Kiedy je rozpoznał, twarz mu pobladła, a serce owiał chłód. Patrzył na godło rodu Johna Cartera. Momentalnie stanęła mu przed oczami zrozpaczona postać więźnia wiedzionego z powrotem do wieży w dolinie za wzgórzami. Tara z Helium! A on o mały włos nie porzucił jej na pastwę losu! Zimny pot wystąpił mu na czoło.

Zbadawszy pospiesznie porzucony statek, domyślił się całej dramatycznej historii. Burza, która okazała się i jego zgubą, zniosła Tarę do tej dalekiej krainy. Niewątpliwie wylądowała tu w nadziei znalezienia wody i jedzenia, ponieważ bez śmigła nie miała szans na powrót do rodzinnego miasta ani żadnej innej przyjaznej przystani, chyba tylko przypadkowym zrzuceniem losu. Poza urwanym śmigłem statek wydawał się nieuszkodzony, a fakt, że dziewczyna uwiązała go starannie w schronieniu kępy drzew wskazywał, że spodziewała się do niego wrócić. Pył i liście na pokładzie zdradzały jednak, że od lądowania upłynęło kilka dni, a może nawet tygodni. Choć nieme, dowody wskazywały wyraźnie, że Tara została uwięziona. Nie miał już żadnych wątpliwości, że to jej śmiałą próbę ucieczki oglądał niedawno.

Cała sprawa sprowadzała się teraz tylko do tego, w jaki sposób miał ją uratować. Wiedział, do której wieży ją zabrano, i nic poza tym. Nie znał liczby, rodzaju, ani siły jej strażników, i nie dbał o nie. Dla księżniczki Helium stanąłby do samotnej walki z całym światem. Przemyślał naprędce kilka planów uratowania dziewczyny, ale najsilniej przemawiał do niego ten, w którym Tara – o ile zdołałby do niej dotrzeć – miała największe szanse ucieczki. Podjąwszy decyzję, od razu zajął się statkiem. Odwiązał go od drzewa, wyciągnął spod gałęzi i wspiąwszy się na pokład, zajął się sprawdzaniem przyrządów. Silnik

wystartował od razu, pomrukując słodko, zbiorniki wypornościowe miały spory zapas promieni, a pojazd idealnie reagował na ruchy sterów wysokości. Brakowało tylko śmigła, aby nadawał się do długiej podróży do Helium. Gahan wzruszył niecierpliwie ramionami. Nie było szans, aby znaleźć śmigło w promieniu tysiąca haadów, ale to było bez znaczenia. Statek nawet bez niego nadawał się do realizacji jego planu, o ile tylko porywacze Tary nie posiadali pojazdów powietrznych, a nie zauważył nic, co wskazywałoby, że mogło być inaczej. Architektura wież i dziedzińców umacniała go jeszcze w tym przekonaniu.

Zapadła nagle marsjańska noc. Cluros podjął swą majestatyczną wędrówkę po niebie. Gromki ryk bantha odbił się echem wśród wzgórz. Gahan podniósł statek o kilka stóp nad powierzchnię, po czym chwycił zawieszoną na dziobie linę i zeskoczył na ziemię. Teraz mógł z łatwością holować niewielki pojazd, ruszył więc prędkim krokiem w stronę szczytu górującego nad Bantoom wzgórza, ciągnąc za sobą statek, który unosił się lekko jak łabędź na spokojnym jeziorze. Szedł prosto w stronę wieży widocznej niewyraźnie w świetle księżyca. Ryk polującego bantha rozległ się nieco bliżej z tyłu. Zastanawiał się, czy zwierzę śledziło właśnie jego, czy też podążało innym tropem. Nie domyślał się nawet, co działo się z Tarą, nie mógł więc pozwolić, aby opóźnił go teraz jakiś głodny drapieżnik. Przyspieszył kroku, ale przerażające porykiwania wielkiego drapieżnika zbliżały się coraz bardziej. Wreszcie usłyszał za sobą szybkie kroki miękkich łap. Obejrzał się w samą porę, aby ujrzeć, jak zwierzę rzuciło się do biegu. Odruchowo uniosł dłoń do główki długiego miecza, ale nie wyciągnął go, przekonany o bezcelowości walki z bestią, za którą podążał co najmniej tuzin innych. Pozostało mu tylko jedno wyjście, z którego skorzystał od razu, kiedy przekonał się o przytłaczającej przewadze przeciwnika.

Odbił się lekko od ziemi i wdrapał po linie na dziób statku. Pojazd obniżył się lekko pod jego ciężarem i w chwili, kiedy Gahan wciągnął się na pokład, przywódca stada skoczył do rufy. Gahan poderwał się i pobiegł w stronę zwierzęcia z nadzieją, że uda mu się zrzucić je, zanim wdrapie się na pokład. W tej samej chwili zauważył, że pozostali członkowie stada pędzili w stronę statku, zamierzając widocznie pójść w ślady przywódcy. Gdyby na pokład dostało się więcej bestii, byłby zgubiony. Została mu tylko jedna szansa. Rzucił się do sterów wysokości i przesunął je do oporu. Trzy drapieżniki skoczyły równocześnie w stronę statku, który wzbił się szybko. Gahan poczuł uderzenie ciężkiego ciała o kil, po czym usłyszał głuchy odgłos zwierząt opadających miękko na ziemię. Zdążył w ostatniej chwili. Przywódca stada wspiał się właśnie na pokład i stał na rufie, warcząc i piorunując go płomiennym wzrokiem. Gahan sięgnął po miecz. Zwierzę, przypuszczalnie zdezorientowane nową sytuacją, nie rzuciło się na niego od razu. Zamiast tego zaczęło skradać się powoli w stronę upatrzonej zdobyczy. Statek wznosił się nadal. Gahan postawił stopę na sterach, żeby go zatrzymać. Wołał nie ryzykować, że przypadkowy prąd w wyższych warstwach powietrza zniesie go z dala od doliny. Pojazd unosił się powoli w stronę wieży, niesiony impetem uderzenia ciężkiego ciała zwierzęcia o rufę.

Gahan obserwował zbliżające się powoli monstrum, oślinione wargi, wyszczerzony w upiornym, złowieszczym grymasie pysk. Odkrywszy, że pokład dawał stabilne oparcie dla łap, zwierzę zdawało się nabierać pewności siebie. Wtem Gahan przeskoczył na burtę. Statek zareagował raptownym przechyłem. Bant zaczął ześlizgiwać się i nerwowo drapać pazurami pokład. Młody jed doskoczył do niego z mieczem; zwierzę zdążyło tymczasem znaleźć punkt zaczepienia i uniosło się na tylnych łapach, próbując złapać aroganckiego śmiertelnika, który ośmielił się kwestionować jego prawo do upragnionego posiłku. Gahan przeskoczył na drugą stronę pokładu. Bant przewrócił się na bok w połowie skoku. Tnący powietrze szpon minął o włos głowę Gahana, który wbił miecz w serce drapieżcy, po czym wyszarpnął ostrze z truchła, które ześliznęło się w ciszy za burtę.



Zerknąwszy w dół, przekonał się, że pojazd nadal przesuwiał się wolno w stronę wieży, w której zniknął więzień. Za chwilę lub dwie miał znaleźć się dokładnie nad nią. Rzucił się do sterów i zszedł bliżej powierzchni, nadal śledzony przez spragnione zdobyczy banthy. Lądowanie poza murem oznaczało pewną śmierć, w środku zaś zdążył zauważyć na ziemi liczne postaci, skulone jak we śnie. Statek unosił się zaledwie parę stóp nad murem. Musiał zaryzykować, odważnie stawiając wszystko na jedną kartę, albo przelecieć bezradnie obok wieży, bez perspektyw na to, że uda mu się tu wrócić przez dolinę pełną banthów, których ryki i powarkiwania dobiegały z wielu stron.

Gahan ześliznął się po wiszącej swobodnie linie kotwicznej, aż dotknął stopami korony muru, gdzie z łatwością zatrzymał lecący powoli statek. Następnie zrzucił kotwicę na dziedziniec. Śpiący nie poruszyli się nawet: leżeli jak zabici. Dostrzegł słabe światło w oknach wieży, ale nie zauważył ani śladu straży czy czuwających mieszkańców. Zsunął się po linie kotwicznej na dziedziniec, gdzie po raz pierwszy przyjrzał się bliżej stworzeniom, które uznał wcześniej za pogrążone we śnie. Cofnął się ze zdławionym okrzykiem przerażenia. Początkowo uznał je za zwłoki podobnych do siebie ludzi, pozbawione głów, co samo w sobie było już dość potworne. Potem zauważył, że poruszały się i uświadomił sobie, że były obdarzone życiem, po czym jego wstręt i przerażenie przybrały na sile.

To zatem było wyjaśnieniem zdarzeń, które widział tego popołudnia, gdy Tara strąciła strażnikowi głowę, a Gahan na własne oczy widział, że ta wróciła na kark. Pomyśleć tylko, że ozdoba Helium znalazła się we władzy tych odrażających stworzeń! Mężczyzna wzdrygnął się znowu, ale uwiązał szybko statek, wdrapał się na pokład i opuścił pojazd na dziedziniec. Następnie ruszył w stronę drzwi u podstawy wieży, przechodząc ostrożnie nad leżącymi ciałami nieprzytomnych rykorów, i po chwili zniknął za progiem.

### ROZDZIAŁ 8

## UCIECZKA

Ghek, w lepszych czasach nadzorca trzeciego stopnia na polach Luuda, siedział, pielęgnując w sobie gniew i poniżenie. Niedawno coś obudziło w nim istnienie rzeczy, o których wcześniej nawet nie śnił. Czy to niezwykła, pojmana kobieta miała coś wspólnego z odczuwanym przez niego niepokojem i brakiem zadowolenia? Nie wiedział. Brakowało mu kojącego działania dźwięków, które nazywała śpiewem. Czy możliwe, że poza zimną logiką i nieskażoną władzą rozumu istniały i inne godne pożądania rzeczy? A co za tym idzie, czy równowaga niedoskonałości była bardziej pożądanym stanem niż silny rozwój jednej cechy? Pomyślał o potężnym, najwyższym umyśle, do którego dążyli kaldanowie. Miał być głuchy, niemy i ślepy, a choćby śpiewało i tańczyło wokół niego tysiąc pięknych kobiet, pozbawiony zmysłów, nie byłby w stanie czerpać z tego przyjemności. Kaldanowie zdążyli wyzbyć się już większości przyjemności zmysłowych. Ghek zastanawiał się, co jeszcze mogli zyskać, odrzucając kolejne obszary życia. Z tą myślą pojawiły się wątpliwości w podstawy ich teorii. A może to dziewczyna miała rację? Po co komu wielki mózg zamknięty szczelnie w trzewiach ziemi?

Tymczasem on miał zginąć w imię tej teorii. Tak postanowił Luud. Ta niesprawiedliwość losu wypełniała go złością. Nie mógł jednak nic zrobić. Ucieczka była niemożliwa. Poza murami kopca oczekiwały go banthy, a wewnątrz – jego własny lud, równie krwiożerczy i bezlitosny. Miłość, przyjaźń, lojalność były im obce – byli tylko mózgam. Co prawda, mógł zabić Luuda, ale co by na tym zyskał? Kolejny król zostałby wypuszczony z zamurowanej komory, a Ghek zginąłby tak czy owak. Nie byłoby mu dane zaznać nawet niewielkiej satysfakcji z zemsty, choć o tym akurat – nie potrafiąc odczuwać tak zawiłych uczuć – nie wiedział.

Siedząc na rykorze, przemierzał podłogę celi, w której kazano mu czekać. W zwykłych okolicznościach przyjąłby wyrok Luuda z niewzruszoną obojętnością, jako wynik logicznego rozumowania; teraz jednak było inaczej. Obca kobieta rzuciła na niego urok. Życie nabrało smaku, niesło ze sobą wielkie możliwości. Marzenie o umyśle doskonałym zniknęło ukryte za mgłą innych myśli.

Wtem w wejściu do celi pojawił się czerwonoskóry wojownik z mieczem w dłoni. Był nim mężczyzna z rasy kobiety, której słodki głos osłabił zimny, wyrachowany rozum kaldana.

– Cicho! – polecił wojownik, marszcząc brwi w złowieszczym grymasie i unosząc groźnie ostrze przed oczami Gheka. – Szukam pewnej kobiety, Tary z Helium. Gdzie ona jest? Mów szybko, jeśli ci życie miłe, i nie próbuj mnie okłamać.

Jeśli ci życie miłe! Ghek dopiero co poznał to uczucie. Myślał szybko. Potężny mózg posiada mimo wszystko pewne zalety. Może nadarzyła mu się okazja, aby uniknąć wyroku Luuda?

– Należysz do jej rasy? – zapytał. – Chcesz ją ratować?

– Tak.

– Zatem posłuchaj. Zaprzyjaźniłem się z nią i z tego powodu chcą mnie zabić. Jeśli pomogę ci ją uwolnić, zabierzesz mnie z wami?

Gahan zmierzył dziwne stworzenie wzrokiem od stop do głów: idealne ciało, groteskowa głowa, pozbawiona wyrazu twarz. I wśród takich istot tkwiła tygodniami uwięziona piękna córka Helium!

– Zabiorę – powiedział. – O ile żyje i nic się jej nie stało.

– Kiedy ją stąd zabierali, była żywa i cała – odparł Ghek. – Nie wiem, co działo się z nią od tamtej pory. Prowadzili ją do Luuda.

– Kim jest Luud? Gdzie go znajdzie? Zabierz mnie do niego – rzucił szybko Gahan władczym tonem.

– A zatem chodźmy – powiedział Ghek, prowadząc go schodami w dół do podziemnych tuneli kaldanów. – To nasz władca. Zaprowadzę cię do jego komory.

– Szybko! – ponaglał Gahan.

– Schowaj miecz – ostrzegł Ghek. – Dzięki temu, kiedy natkniemy się na inne istoty mojego gatunku, będę mógł twierdzić, że jesteś nowym więźniem. Są szanse, że wtedy mi uwierzą.

Gahan spełnił prośbę, choć ostrzegł kaldana, że będzie trzymał dłoń w pogotowiu na rękojeści sztyletu.

– Nie musisz obawiać się zdrady – powiedział Ghek. – Jesteś moją jedyną nadzieją na ocalenie życia.

– Jeśli mnie zawiedziesz – upomniał go Gahan – przyrzekam, że zabiję cię tak samo pewnie, jak twój król.

Ghek nie odpowiedział, idąc szybko podziemnymi tunelami. Gahan zaczął uświadamiać sobie, że naprawdę był teraz we władzy dziwnego stwora. Gdyby Ghek okazał się kłamcą, zabijając go nic by nie wskórał, ponieważ bez niego nie miał nawet cienia szansy na powrót do wieży i na wolność.

Dwa razy natknęli się na innych kaldanów, którzy zaczepili ich, ale proste tłumaczenie Gheka, że prowadził Luudowi nowego więźnia zdawało się uśmierzać wszelkie podejrzenia, aż dotarli do przedsionka królewskiej komnaty.

– Tu musisz stoczyć walkę, czerwony człowieku – szepnął Ghek. – Wejź! – Wskazał drzwi z przodu.

– A ty? – zapytał Gahan, nadal obawiając się zdrady.

– Mój rykor jest silny – odparł kaldan. – Pójdę z tobą i też będę walczył. Równie dobrze mogę zginąć w ten sposób, co na zarządzonych przez Luuda torturach. Chodź!

Ale Gahan pokonał już korytarz i wszedł do sali za nim. Po drugiej stronie pomieszczenia ujrzał okrągły otwór, pilnowany przez dwóch strażników. Za nim zauważył szamoczące się na podłodze sylwetki, a kiedy ujrzał przelotnie twarz jednej z nich, poczuł, że przepelnia go wściekłość rannego bantha i siła dziesięciu wojowników. Widział Tarę, walczącą o swój honor lub życie.

Wojownicy, zaskoczeni jego niespodziewanym zjawieniem się, stali przez chwilę w tępym zdumieniu. Gahan natarł na nich błyskawicznie i powalił jednego, przebijając mu serce mieczem.

– Mierz w głowę – usłyszał w uchu szept Gheka. Młody jed ujrzał, że głowa zabitego wojownika zniknęła zaraz w otworze prowadzącym do sali, w której widział Tarę w uścisku bezgłowego ciała. Następnie Ghek strącił drugiego kaldana z rykora, a Gahan przebił szkaradną głowę ostrzem.

Czerwony wojownik rzucił się natychmiast w stronę szczeliny. Ghek trzymał się tuż za nim.

– Nie patrz Luudowi w oczy – ostrzegł kaldan. – Inaczej czeka cię zguba.

Po drugiej stronie szczeliny Gahan widział Tarę w uścisku potężnego rykora, podczas gdy po przeciwnej stronie pod ścianą siedział odrażający, podobny do ogromnego pająka Luud. Władca kaldanów błyskawicznie zrozumiał, co mu grozi, i próbował pochwycić spojrzenie Gahana. Tym samym, musiał osłabić uwagę skupioną na rykorze, z którym walczyła Tara. Dziewczynie udało się dzięki temu niemal od razu wydostać spod okropnego, bezgłowego stworzenia.

Podniosła się zaraz i dopiero teraz zauważyła, kto udaremnił zamiar Luuda. Czerwony wojownik! Serce podskoczyło w niej z radości i wdzięczności. Jakie cudowne zrządzenie losu sprawiło, że tu trafił? Nie rozpoznała jednak Gahana, ponieważ noszący ślady długiej wędrówki wojownik w prostej uprzęży nie miał na sobie żadnych ozdób. Nie domyślała się w nim nawet tej roziskrzanej od platyny i diamentów istoty, spotkanej przelotnie w zupełnie innych okolicznościach na dworze ojca.

Luud zauważył Gheka, który wszedł za obcym wojownikiem do komory.

– Zabij go, Ghek! – rozkazał. – Zabij obcego, a ocalisz życie!

Gahan zerknął na przerażające oblicze króla kaldanów.

– Nie patrz mu w oczy – krzyknęła ostrzegawczo Tara, ale było już za późno. Hipnotyczne spojrzenie Luuda utkwilo w oczach Gahana. Czerwony wojownik stanął w pół kroku. Powoli opuścił miecz ku podłodze. Tara obejrzała się na Gheka. Zobaczyła, że jej dawny strażnik wbił pozbawione wyrazu oczy w szerokie plecy wojownika i zauważyła jego dłoń sięgającą ukradkiem po sztylet.

Podniosła wzrok i zaśpiewała potoczystym głosem najwspanialszą pieśń Marsa: „Pieśni o Miłości”.

Ghek wysunął sztylet z pochwy, patrząc w stronę dziewczyny. Spojrzenie Luuda powędrowało od oczu Gahana do twarzy Tary. W chwili, kiedy śpiew odciągnął uwagę kaldana od ofiary, jed Gathol otrząsnął się i wyęzając całą wolę wbił oczy w ścianę nad szkaradną głową Luuda. Ghek uniósł sztylet nad jego prawym ramieniem, postąpił szybko do przodu i uderzył. Piosenka urwała się, zakończona zdławionym okrzykiem, kiedy dziewczyna skoczyła, aby udaremnić plan strażnika. Na szczęście spóźniła się, ponieważ w chwilę później poznała jego prawdziwe zamiary, kiedy sztylet wyleciał Ghekowi z dłoni, minął ramię Gahana i zatopił się po rękonoścę w miękkim obliczu Luuda.

– Ruszajmy! – zawołał Ghek. – Nie ma chwili do stracenia! – I ruszył w stronę szczeliny, przez którą weszli do komory. Zatrzymał się jednak w pół kroku, kiedy jego wzrok przyciągnął potężny rykor leżący bezwładnie na podłodze: królewski okaz, najpiękniejszy i najsilniejszy, jakiego udało się wyhodować w Bantoom. Ghek wiedział, że uciekając, mógł zabrać ze sobą tylko jednego rykora, a nie było w Bantoom drugiego, który posłużyłby mu lepiej niż ten olbrzym. Przeniósł się szybko na kark wielkiego, bezwładnego ciała, które w jednej chwili przeobraziło się we w pełni świadome stworzenie, pulsujące życiem i energią.

– Teraz jesteśmy gotowi – stwierdził. – Niech nikt, kto nie chce zginąć, nie staje mi na drodze. – Powiedziawszy to, pochylił się i wyczołgał do komory po drugiej stronie szczeliny. Gahan ujął Tarę za ramię i wskazał gestem, aby podążyła za nim. Dziewczyna po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. – Dzięki niech będą bogom – stwierdziła. – Zjawileś się w samą porę. Musisz wiedzieć, że oprócz podziękowań księżniczki Tary z Helium zasłużyłeś również na wdzięczność Wodza Barsoom i jego ludu. Twoja nagroda przerośnie najśmielsze marzenia.

Gahan zorientował się, że nie rozpoznała go, i powstrzymał szybko ciepłe słowa powitania, które miał już na ustach.

– Księżniczka Tara czy kto inny, wszystko jedno – odpowiedział. – Uratowanie czerwonej kobiety z Barsoom samo w sobie wystarczy mi za nagrodę.

Dziewczyna precyzyjnie się tymczasem przez otwór w ślad za Ghekiem. Wkrótce cała trójka opuściła pokoje Luuda i ruszyła szybko krętymi tunelami w stronę wieży. Ghek ponaglał ich co chwila, ale czerwoni mieszkańcy Marsa nigdy nie spieszą się do ucieczki, przez co strażnikowi zdawało się, że idąca za nim dwójka ludzi idzie stanowczo zbyt wolno.

– Nikt nas nie zatrzymuje – naciskał Gahan. – Po co forsować siły księżniczki przez niepotrzebny pośpiech?

– Nie spodziewam się, że ktoś przed nami spróbuje odciąć nam drogę, ponieważ nikt tam jeszcze nie wie, co się stało z Luudem. Ale jeden ze strażników w komorze uciekł i możesz być pewny, że pobiegł od razu po pomoc. To, że nie zdążył wrócić, zanim stamtąd wyszliśmy, zawdzięczamy tylko temu, jak szybko zaszło wszystko w komorze króla[6]. Zanim dotrzemy do wieży, zdążą zaatakować nas od tyłu, a jestem przekonany, że skorzystają z najsilniejszych rykorów i będą mieli miażdżącą przewagę liczebną.

Nie upłynęło dużo czasu, zanim przepowiednie Gheka spełniły się. Usłyszeli za sobą wkrótce odgłosy pogoni: szczęk broni i ostrzegawcze pogwizdywanie kaldanów.

– Do wieży już niedaleko – zawołał Ghek. – Szybko, póki możemy tam dotrzeć! Może uda nam się w niej zabarykadować do wschodu słońca, wtedy będziemy mieli szansę uciec.

– Barykada nie będzie potrzebna, bo wcale nie zatrzymamy się w wieży – odparł Gahan, przyspieszając kroku, kiedy po przybierających na sile odgłosach pościgu zorientował się, że ściga ich bardzo liczna grupa kaldanów.

– Ale w nocy dalej nie dotrzemy – upierał się Ghek. – Tam czekają nas tylko banthy i pewna śmierć.

Gahan uśmiechnął się.

– O banthy nie musisz się martwić – zapewnił. – Jeśli tylko dotrzemy na dziedziniec na chwilę przed pościgiem, nie będziemy musieli martwić się o nic w tej przeklętej dolinie.

Ghek nie odpowiedział, a pozbawiona wyrazu twarz nie zdradzała, czy uwierzył Gahanowi czy zachował sceptyczne nastawienie. Tara spojrzała pytająco na mężczyznę. Nie rozumiała, co miał na myśli.

– Twój statek – powiedział. – Zakotwiczylem go przy wieży.

Twarz księżniczki pojaśniała z ulgi i radości.

– Znalazłeś go! – zawołała. – Co za szczęście!

– Owszem – odparł. – Nie tylko podpowiedział mi, że jesteś tu przetrzymywana, ale pomógł mi uniknąć banthów w drodze od wzgórz do doliny i wieży, do której zaprowadzono cię na moich oczach po dzisiejszej śmiałej próbie ucieczki.

– Skąd wiedziałeś, że to byłam ja? – zapytała, przypatrując mu się spod zmarszczonych w zdziwieniu brwi, jakby próbowała przywołać w pamięci jakąś okazję, kiedy go widziała.

– Kto nie słyszał o zaginięciu księżniczki Tary z Helium? – odpowiedział. – Kiedy zobaczyłem herb na twoim statku, rozpoznałem go od razu, choć wcześniej, na polu, nie rozpoznałem cię z daleka. Nie widziałem nawet, czy uciekinier był kobietą czy mężczyzną. Gdybym nie trafił przez przypadek na miejsce, gdzie schowałaś statek, poszedłbym dalej swoją drogą. Boję się myśleć, jak niewiele brakowało, żebym to zrobił. Gdyby nie promienie słońca, które odbiły się przez chwilę od dziobu statku, przeszedłbym obok, w ogóle go nie zauważywszy.

Tara zadrżała.

– Bogowie mi cię zesłali – szepnęła z szacunkiem.

– Owszem, to oni mnie tu przywiedli, księżniczko – odpowiedział.

– Mimo to chyba nie znam twojej twarzy – stwierdziła. – Próbowałam ją sobie przypomnieć, ale bez powodzenia. Jak masz na imię?

– Nic dziwnego, że księżniczka wielkiego kraju nie pamięta twarzy każdego pantana wędrującego po Barsoom – odparł z uśmiechem.

– Ale jak się nazywasz? – dopytywała dziewczyna.

– Na imię mam Turan – powiedział, uznawszy, że gdyby Tara rozpoznała w nim człowieka, którego impulsywne wyznanie miłości rozzłościło ją niegdyś podczas balu w ogrodach pałacu Wodza, znalazłaby się w nieskończenie trudniejszej sytuacji, niż gdyby uratował ją ktoś zupełnie obcy. A jako zwykły pantan[7], mógł zdobyć wiernością i oddaniem jej zaufanie i szacunek, którymi nie obdarzyła obsypanego klejnotami jeda Gathol.

Dotarli do wieży. Wychodząc z podziemnego korytarza, ujrzeni za sobą czoło pogoni: obrzydliwe kaldany dosiadające szybkich i silnych rykorów. Cała trójka wspięła się jak najszybciej po schodach prowadzących na parter, ale poddani Luuda podążali za nimi jeszcze szybciej. Ghek szedł na czele, chwyciwszy Tarę za dłoń, żeby łatwiej prowadzić ją i pomagać w marszu. Gahan szedł o kilka kroków z tyłu z mieczem w dłoni, przygotowany na atak, który musiał nastąpić zaraz, zanim uda im się dotrzeć na dziedziniec do czekającego tam statku.

– Niech Ghek idzie z tyłu z tobą – powiedziała Tara – i pomoże ci w walce.

– W tym wąskim korytarzu ledwo starczy miejsca na jedno ostrze – odpowiedział Gahan.

– Biegnijcie do przodu i wejdźcie na pokład. Czuwaj przy sterach. Jeśli uda mi się wyprzedzić pościg i ucześcić liny kotwicznej, dam ci znak, żebyś podniosła statek, a ja spokojnie wdrapię się po niej na pokład. Ale jeśli którykolwiek z nich pojawi się na dziedzińcu przede mną, będziesz wiedziała, że nie wrócę. Leć wtedy w górę i proś bogów naszych przodków, żeby zesłali ci dobry wiatr, który zanieś cię do bardziej gościnnego kraju.

Tara potrząsnęła głową.

– Nie zostawimy cię tu – powiedziała.

Gahan puścił jej odpowiedź mimo uszu i rzucił ponad nią w stronę Gheka.

– Zabierz ją na pokład statku na dziedzińcu – polecił. – To nasza jedyna szansa. Samotny być może zdołam przebić się na pokład, ale jeśli w ostatniej chwili będę musiał czekać na was dwoje, są spore szanse, że żadnemu z nas nie uda się uciec. Zrób, co powiedziałem. – Rzekł to wyniosłym, nieznającym sprzeciwu tonem człowieka, przyzwyczajonego od dziecka rozkazywać innym, którego słowo było prawem. Tara czuła zarazem złość i zakłopotanie. Nie przywykła do tego, aby rozkazywano jej lub ignorowano, ale mimo królewskiej dumy, wiedziała, że mężczyzna miał rację i narażał życie, aby ją ratować, pobiegła więc z Ghekiem, jak kazał. Po chwili rumieniec gniewu ustąpił na jej twarzy uśmiechowi, ponieważ przypomniała sobie, że miała do czynienia z prostym, niewykształconym wojownikiem, nieobeznanym z zawilóściami dworskiej etykiety. Serce mimo to miał szlachetne, pełne odwagi i wierności, z radością wybaczyła mu więc niestosowny ton i zachowanie. Ten głos! Zatrzymała się nagle! Pantani byli prostymi ludźmi. Często zdobywali wysokie stopnie dowódcze, nie było więc nic dziwnego w tym, że potrafił mówić władcym głosem. Zaskoczyło ją coś innego, dostrzegalna wyraźnie, nieuchwytna, choć znajoma nuta. Słyszała ją już w głosie swojego pradziadka, Tardos Morsa, jeddaka Helium, kiedy wydawał rozkazy; w głosie dziadka, jeda Helium, Mors Kajaka, oraz w dźwięcznym głosie ojca, Johna Cartera, Wodza Barsoom, kiedy zwracał się do swoich wojowników.

Nie miała jednak czasu zajmować się teraz podobnie błahymi rozmyślaniami, ponieważ z tyłu rozległ się szcęk broni. To Turan starł się z czołem pogoni. Obejrząwszy się za siebie, zauważyła go jeszcze za zakrętem schodów, jak wymieniał szybkie ciosy z przeciwnikiem. Będąc córką najlepszego mistrza miecza na Barsoom, znała się dobrze na szermierce. Widziała niezgrabne natarcie kaldana i szybką, pewną ripostę pantana. Spoglądając z góry na

niemal nagie ciało wojownika, odziane tylko w najprostszą, pozbawioną ozdób uprzęż, widząc grę gibkich mięśni pod czerwono-brązową skórą oraz szybką i pełną finezji pracę miecza, poza wdzięcznością poczuła nieoczekiwane podziw, naturalny hołd dla odwagi i zręczności, a w pewnym stopniu być może również dla męskiej urody i siły.

Ostrze pantana przesunęło się trzy razy: odbił nim wściekły cios, zamarkował cięcie i wyprowadził sztych. Kiedy je cofnął, kaldan stoczył się martwy z zataczającego się bezwładnie rykora, a Turan rzucił się po schodach na spotkanie idącego za nim strażnika. Wtedy Ghek pociągnął Tarę za sobą i straciła Turana z oczu za zakrętem schodów. Nadal słyszała jednak szcęk stali uderzającej o stal, pobrzękiwanie uprzęży i przenikliwe gwizdy kaldanów. Serce nakazywało jej wrócić do boku walecznego wybawcy, ale rozsądek podpowiadał, że najlepiej pomoże mu, czuwając w gotowości przy sterach statku, kiedy dotrze na dziedziniec.

### ROZDZIAŁ 9

## NAD OBCĄ KRAINĄ

Ghek pchnął wkrótce drzwi klatki schodowej i Tara ujrzała przed sobą skąpany w blasku księżycy, ogrodzony murem dziedziniec, na którym spoczywały przy korytach bezgłowe rykory. Spojrzała na idealne ciała o mięśniach najlepszych wojowników jej ojca oraz kształtach, których pozazdrościłaby niejedna ślicznotka z Helium. Gdyby tylko mogła obdarzyć je wolą! Nie martwiłaby się wtedy o życie pantana. Ale ciała były tylko biednymi grudami gliny, a ona nie potrafiła dać im życia. Były skazane na oczekiwanie, aż weźmie je w posiadanie zimny, pozbawiony uczuć umysł kaldana. Dziewczyna westchnęła z żalu, wzdragając się równocześnie z obrzydzeniem, kiedy przestępowała między leżącymi bezwładnie postaciami w drodze do statku.

Ghek zwoolnił kotwicę i wspięli się szybko na pokład. Tara sprawdziła stery wysokości, podnosząc statek i opuszczając go na wysokość kilku stóp nad dziedzińcem. Pojazd idealnie reagował na stery. Wreszcie zeszła na ziemię i czekała. Przez otwarte drzwi dobiegały odgłosy walki, to zbliżając się, to oddalając. Dziewczyna, zdążywszy przekonać się o umiejętnościach swojego wybawcy, nie bała się o wynik starcia. Na wąskich schodach przeciwnicy musieli nacierać pojedynczo, podczas gdy pantan posiadał przewagę wysokiej pozycji, a przy tym był mistrzem miecza, w porównaniu z którym strażnicy byli niezgrabnymi fajtlapami. Posiadali nad nim jedynie przewagę liczebną, chyba że udałoby im się znaleźć sposób, aby zaatakować go od tyłu.

Na myśl o tym pobladła. Poczuliaby jeszcze większą troskę, widząc go w tej chwili, ponieważ nie korzystał wcale z licznych okazji, aby przebić się na dziedziniec. Walczył przytomnie, ale z dzikim zapamiętaniem, które wcale nie wyglądało na obronę. Co rusz przeskakiwał powalonego wroga, aby zaatakować idącego z tyłu, a raz natarł na przeciwników tak zawzięcie, że zostawił za sobą pięć martwych kaldanów. Ani walczący z nim wojownicy, ani czekająca na statku dziewczyna nie wiedzieli, że Gahan był zaabsorbowany czymś nieskończenie ważniejszym niż próba przebicia się na wolność. Mścił się za upokorzenie, jakiego doznała kobieta, którą pokochał. Po pewnym czasie uprzytomnił sobie jednak, że w ten sposób być może naraża ją niepotrzebnie. Uśmiercił więc kolejnego kaldana, obrócił się i pobiegł w górę po schodach, podczas gdy ścigający ślizgali się i zataczali na zalanej krwią podłodze.

Gahan dotarł na dziedziniec dwadzieścia kroków przed pościgiem i puścił się biegiem w stronę statku.

– Do góry! – zawołał do dziewczyny. – Wdrapię się po linie.

Mały statek oderwał się powoli od powierzchni, kiedy Gahan przeskakiwał nad leżącymi mu na drodze bezwładnymi ciałami rykorów. Pierwsi strażnicy wyskoczyli z wieży dokładnie w chwili, kiedy chwycił ciągnącą się za statkiem linę.

– Szybciej! – zawołał do góry – Albo ściągną nas w dół! – Zdawało się jednak, że statek nie poruszał się wcale, choć w istocie wznosił się tak szybko, jak można oczekiwać po jednoosobowym pojeździe niosącym ciężar trzech osób. Gahan przerzucił nogi nad szczytem muru, ale koniec liny ciągnął się jeszcze po ziemi, kiedy dotarli do niego strażnicy, wysypujący się nieprzerwanym strumieniem z wieży. Dowódca chwycił za linę.

– Szybko! – zawołał. – Łapcie ją! Ściągniemy ich tu!



Wystarczyło kilku strażników, aby wykonać jego plan. Statek zatrzymał się, a Tara zauważyła z przerażeniem, że ściągają go powoli w dół. Gahan również zauważył zagrożenie i wiedział, że musiał działać natychmiast. Uchwyciwszy się liny lewą ręką, oplótł wokół niej nogę, w prawej, swobodnej ręce trzymając miecz. Uderzył w dół, tnąc miękką głowę kaldana. Kolejnym cięciem przerwał napiętą linę w dole. Tara usłyszała przenikliwe gwizdy nieprzyjaciół, a równocześnie zauważyła, że statek znowu zaczął się wznosić. Wzbijał się powoli poza zasięg nieprzyjaciół, a po chwili przez burtę wdrapał się Turan. Po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła w sercu radosną wdzięczność, nie myślała teraz jednak o sobie.

– Jesteś ranny? – zapytała.

– Nie – odparł. – Prawie nie warto podnosić na nich miecza, ani przez chwilę nic mi tak naprawdę nie groziło.

– Z łatwością zdołaliby cię zabić – stwierdził Ghek. – Moc naszych umysłów jest tak doskonale rozwinięta, że jeszcze zanim zdążyłbyś wyprowadzić cios, wiedzieliby, gdzie musisz uderzyć, dzięki czemu mogliby swobodnie odbić twoje ciosy i znaleźć okazję, aby cię zabić.

– Ale tego nie zrobili – przypomniał mu Gahan. – Wasza teoria rozwoju jest błędna, ponieważ nie zmierza do osiągnięcia doskonałej równowagi ciała i rozumu. Wasze umysły rozwijały się kosztem ciała, a cudze dłonie nigdy nie zrobią za was tego, co bylibyście w stanie zrobić sami. Moje ręce są przyzwyczajone do miecza, a mięśnie reagują błyskawicznie z precyzyjną dokładnością, niemal mechanicznie odpowiadając na potrzeby chwili. W trakcie walki niemal nie zdaję sobie sprawy z tego, że myślę. Wykorzystuję wszelkie luki i paruję ciosy tak szybko, że wydaje się prawie, że to moje ostrze zostało obdarzone rozumem i oczami. Używając głowy kaldana i ciała rykora, nigdy nie osiągniesz tej samej sprawności, co ja. Doskonały umysł nie może być ostatecznym celem ludzkich starań. Najbogatsze i najszcześniejsze są te ludy, które zbliżą się najbardziej do idealnej równowagi ciała i umysłu, choć nawet one nie osiągną nigdy pełnego ideału. Całkowita, skończona doskonałość to zastój, monotonia i śmierć. Natura potrzebuje kontrastów: cieni i światła, smutku i szczęścia, dobra i zła, występku i cnoty.

– Zawsze uczono mnie inaczej – odparł Ghek. – Ale od kiedy poznałem przedstawicieli innego gatunku, ciebie i tę kobietę, przekonałem się, że mogą istnieć inne cele, równie wzniosłe i godne pożądaniami jak dążenia kaldanów. Choć przez chwilę zaznałem tego, co nazywasz szczęściem, i wiem, że to przyjemny stan, choć nie potrafię go wyrazić. Nie potrafię śmiać się ani uśmiechać, a jednak, kiedy ona śpiewa, rodzi się we mnie poczucie zadowolenia, które zdaje się otwierać przede mną piękne krajobrazy pełne nieodgadnionych przyjemności, przewyższających chłodną satysfakcję doskonałego umysłu. Żałuję, że nie jestem jednym z was.

Złapany przez delikatny prąd powietrzny, statek dryfował powoli na północny wschód ponad doliną Bantoom. Mijali w dole pola uprawne i, jedną po drugiej, niezwykle wieże Moaka, Nolacha i pozostałych władców rojów tej dziwnej i strasznej krainy. Na każdym dziedzińcu pełzały po ziemi rykory, odpychające bezgłowe stworzenia, równocześnie piękne i odrażające.

– Oto lekcja dla tej na szczęście małej grupy ludzi, którzy hołdują ciału, za bóstwo mając brzuch – zauważył Gahan, wskazując rykory na dziedzińcu, nad którym przelatywali. – Wiesz, o kim mowa, księżniczko. To ci, którzy potrafią ze szczegółami opowiedzieć, co jedli przed dwoma tygodniami na obiad, i jak najlepiej przyrządzić comber z thoata, lub co podawać do picia z zadem zitidara.

Tara roześmiała się.

– Ale żaden z nich nie wie, czyj obraz zdobył danego roku nagrodę jeddaka w Świątyni Piękna – powiedziała. – Podobnie jak rykorom, brak im równowagi.

– Naprawdę szczęśliwi są ci, którzy mają w sobie trochę dobra i zła, nieco znajomości wielu spraw sięgających poza ich zawód, oraz zdolność odczuwania miłości i nienawiści. Tacy potrafią odnosić się do wszystkich z wyrozumiałością, nie kierując się egotyzmem, który wypacza umysły ludzi do tego stopnia, że wszystkie ich myśli biegną tylko w jedną stronę.

Kiedy Gahan skończył, Ghek odchrząknął cicho, próbując zwrócić ich uwagę.

– Mówisz, jak ktoś, kto wiele nad tym myślał. Czy to możliwe, że myślenie sprawia czerwonym ludziom przyjemność? Znacie radość, jaka towarzyszy introspekcji? Czy logika i rozum stanowią część waszego życia?

– Z całą pewnością – odparł Gahan – choć nie do tego stopnia, aby zaprzętały nas przez cały czas, a przynajmniej nie na ogół. Ty sam, Ghek, stanowisz przykład egotyzmu, o którym wspominałem. Ponieważ trawicie całe życie, hołdując rozumowi, nabraliście przekonania, że żadne stworzenia poza wami nie potrafią myśleć. I pewnie nie robimy tego, tak jak wy to rozumiecie, mówiąc o was i waszych wielkich mózgach. Zajmują nas bowiem kwestie dotyczące dobra całego świata. Gdyby nie czerwoni ludzie, nawet kaldany zniknęłyby z Barsoom, bo choć możecie żyć bez powietrza, to potrzebują go istoty, od których zależy wasze życie. A gdyby pewien czerwony człowiek nie zaprojektował i nie zbudował wielkiej fabryki powietrza, która obdarzyła nasz świat nowym życiem, życie zniknęłoby z tego świata już przed wiekami.

– Czy jakiegokolwiek osiągnięcia umysłów wszelkich kaldanów, jakie kiedykolwiek żyły, mogą równać się z tym dziełem jednego czerwonego człowieka?

Ghek był osłupiały. Będąc kaldanem, wiedział, że ostatecznym celem rozwoju był potężny rozum, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że mógł on mieć praktyczne i pożyteczne zastosowanie. Odwrócił się i spojrzał na dolinę przodków, nad którą unosił się, dryfując na spotkanie nieznanego świata. Wiedział, że niższe stworzenia poza nią powinny widzieć w nim istnego boga, ale z niewyjaśnionych przyczyn trażyły go wątpliwości. Widział wyraźnie, że dwójka przybyszy z tamtego świata gotowa była kwestionować jego wyższość. Mimo grubej warstwy egotyzmu zaczynał podejrzewać, że spoglądali na niego z góry, a może nawet z politowaniem. Zaczął zastanawiać się nad swoim losem. Stracił dostęp do licznych, gotowych na jego rozkazy rykorów. Został mu tylko jeden, a w przypadku jego śmierci, nie miał czym go zastąpić. Gdyby się zmęczył, był skazany na niemal bezradne oczekiwanie, aż odpocznie. Żałował teraz, że w ogóle poznał Tarę. Dzięki niej zaznał wyłącznie niezadowolenia, hańby, a wreszcie i wygnania. Niedługo księżniczka zaczęła nucić jakąś melodyjkę i Ghek poczuł znowu radość.

Dryfowali łagodnie w świetle pędzących księżyców, nad szalonymi cieniami marsjańskiej nocy. Porykiwania banthów docierały do nich coraz słabiej, kiedy statek minął granice Bantoom, zostawiając za sobą koszmar tej nieszczęsnej krainy. Dokąd jednak lecieli? Dziewczyna spojrzała w stronę wojownika, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie i wpatrywał się w noc, najwyraźniej pogrążony w myślach.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała. – Dokąd lecimy?

Turan wzruszył szerokimi ramionami.

– Gwiazdy wskazują, że lecimy na północny wschód – powiedział. – Ale nie domyślam się nawet, gdzie jesteśmy i co jest przed nami. Tydzień temu przysięgłbym jeszcze, że wiem, gdzie trafię za każdym pasmem wzgórz, do którego się zbliżałem, ale teraz muszę wyznać z pokorą, że nie mam pojęcia, co znajduje się o milę stąd w dowolnym kierunku. Zgubiłem się, księżniczko. Tylko tyle mogę powiedzieć. – Uśmiechnął się.

## Szachiści Marsa

---

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem. Na jej twarzy pojawił się wyraz lekkiego zdziwienia: uśmiech pantana miał w sobie coś nieuchwytnie znajomego. Spotkała już wielu najemników, którzy pojawiali się i odchodzili, podążając za wojnami na Marsie, ale tego akurat nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Skąd pochodzisz, Turanie? – zapytała znienacka.

– Wiesz przecież, że pantan nie ma ojczyzny, księżniczko – odpowiedział. – Jednego dnia walczy pod jednym, a drugiego pod innym sztandarem.

– Ale kiedy nie walczysz, dochowujesz przecież wierności jakiemuś krajowi – naciskała.

– A zatem, pod jakimi barwami służysz teraz?

Podniósł się i stanął przed nią, po czym uklonił się nisko.

– O ile jestem godny – powiedział – będę służył pod sztandarem córki Wodza Barsoom: teraz i zawsze.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia szczupłą, brązową dłonią.

– Przyjmuję twoją służbę – oznajmiła. – I obiecuję, że jeśli dotrzemy do Helium, nagroda spełni wszelkie twoje pragnienia.

– A zatem będę służył wiernie z tą nadzieją – odpowiedział, choć Tara nie domyślała się, co miał na myśli, uważając go za zwykłego najemnika. Skąd dumna córka Johna Cartera mogła wiedzieć, że prosty pantan aspirował do jej ręki i serca?

Świt zastał ich nad nieznaną krainą. W nocy wiatr przybrał na sile i zniósł ich daleko od Bantoom. Krajobraz w dole był nierówny i niegościnnie. Nigdzie nie widzieli wody, a powierzchnię przecinały głębokie wąwozy. Okolicę porastała tylko skąpa roślinność. Nie zauważyli żadnych śladów życia, ani oznak, żeby okolica była w stanie je podtrzymać. Przez dwa dni dryfowali nad straszliwym pustkowiem, pozbawieni jedzenia i picia. Ghek na jakiś czas zszedł z rykora, poprosiwszy Turana, aby pomógł mu uwiązać go do pokładu. Im rzadziej z niego korzystał, tym mniej sił życiowych zużywał, a stworzenie zaczynało już zdradzać oznaki wycieńczenia. Ghek pełzał po statku jak olbrzymi pająk, przechodząc za burty, pod kilem i w górę drugiej burty z powrotem na pokład. Wyglądało na to, że wszędzie czuł się swojsko. Ale jego towarzyszom pokład jednoosobowego statku, za mały dla trzech osób, wydawał się ciasny.

Turan wypatrywał stale znaków obecności wody. Musieli znaleźć ją lub wodonośne rośliny, które umożliwiają życie w wielu na pozór jałowych regionach Marsa, ale od dwóch dni nic nie zauważył. Zapadła trzecia noc. Tara nie uskarżała się, ale wiedział, że na pewno cierpiała i czuł ciężar w sercu. Ghekowi pragnienie doskwierało najmniej, jak wyjaśnił – istoty jego gatunku potrafiły obywać się długo bez wody i jedzenia. Turan omal nie posłał go do wszystkich diabłów, widząc jak Tara marnieje powoli w oczach, podczas gdy szkaradny kaldan zdawał się wciąż pełen sił życiowych.

– Istnieją okoliczności, w których wielkie, mocne ciało jest mniej korzystne niż rozwinięty mózg – zauważył Ghek.

Turan zmierzył go wzrokiem, ale nie powiedział nic. Tara uśmiechnęła się słabo.

– Nie wiń go – powiedziała. – Czyż nie chępliśmy się, jak bardzo nad nim górujemy? To znaczy, dopóki mamy pełne żołądki – dodała.

– Może budowa ich ciała rzeczywiście posiada pewne zalety – zgodził się Turan. – Gdybyśmy mogli odstawić żołądki, kiedy domagają się jedzenia i picia, bez wątpienia zrobilibyśmy to.

– Na pewno nie tęskniłabym za moim – potwierdziła Tara. – To naprawdę kiepskie towarzystwo.

Nowy dzień odsłonił przed nimi mniej jałową krainę i rozbudził przygasłe nadzieje. Nagle Turan pochylił się do przodu, wskazując przed siebie.

– Patrz, Taro! – zawołał. – Miasto! Miasto, jak jestem Ga... Turan.

Daleko z przodu, w promieniach wschodzącego słońca lśniły mury, kopuły i smukłe wieże miasta. Pantan chwycił za stery i zniżył lot, ukrywając statek za pasmem niskich wzgórz oddzielającym ich od miasta. Wiedział, że musieli pozostać niezauważeni, dopóki nie przekonają się, czy miasto zamieszkiwali wrogowie czy przyjaciele. Istniała możliwość, że znaleźli się daleko od siedzib przyjaznych ludów, musieli więc zachować najwyższą ostrożność. Ale widzieli miasto, a tam, gdzie było miasto, choćby opuszczone, była też woda; a gdyby okazało się zamieszkane, istniały szanse na znalezienie jedzenia.

Woda i jedzenie, choćby w twierdzy wroga, oznaczały dla Turana możliwość nakarmienia i napojenia Tary. Był gotów przyjąć je od przyjaciół lub zdobyć na wrogu, o ile tylko mógłby w końcu jej pomóc. Tu właśnie ujawnił się jego żołnierski egotyzm, niedostrzegalny dla Turana ani Tary, wywodzącej się ze starego rodu wojowników, ale gdyby Ghek potrafił uśmiechać się, zrobiłby to teraz.

Turan podleciał bliżej dających im osłonę wzgórz, a kiedy dalszy lot groził im zauważeniem, posadził statek delikatnie w niewielkim jarze rozpadlinie, po czym zeskoczył na ziemię i uwiązał go do mocnego drzewa. Przez kilka chwil omawiali możliwy plan działania: czy lepiej było zaczekać, aż zmrok ukryje ich ruchy i wtedy podejść do miasta w poszukiwaniu wody i jedzenia, czy też wyruszyć od razu, korzystając z wszelkich możliwych kryjówek, dopóki nie dowiedzą czegoś o mieszkańcach.

Ostatecznie zdecydowali się na plan Turana. Mieli podejść do miasta tak blisko, jak pozwalała ostrożność, z nadzieją, że uda im się znaleźć za murami wodę, a może i jedzenie. Tak czy inaczej, mogli przyjrzeć się okolicy w świetle dnia, a po zapadnięciu zmroku Turan mógł podejść do miasta i stosunkowo bezpiecznie kontynuować poszukiwania.

Ruszyli w górę, aż dotarli na szczyt wzgórza, z którego mieli doskonały widok na położoną w pobliżu część miasta, osłonięci krzewem, za którym przykucnęli. Ghek dosiadł ponownie rykora, który wskutek przymusowego postu ucierpiał zdecydowanie mniej niż Tara czy Turan.

Wystarczyło jedno spojrzenie na miasto, które było teraz o wiele bliżej niż za pierwszym razem, kiedy je zauważyli, aby wiedzieli, że było zamieszkane. Na licznych masztach łopotały flagi i proporce. W okolicach bramy poruszali się ludzie. Po wysokich białych murach przechadzali się w dużych odstępach strażnicy. Na dachach wyższych budynków widać było wietrzące posłania kobiety. Przez pewien czas Turan przyglądał się wszystkiemu w milczeniu.

– Nie wiem, co to za jedni – stwierdził w końcu. – Nie mam pojęcia, co to za miasto, ale na pewno jest bardzo stare. Nie mają statków powietrznych ani broni palnej. Musi być naprawdę wiekowe.

– Skąd wiesz, że ich nie mają? – zapytała dziewczyna.

– Na dachach nie ma lądowisk: nie widać stąd ani jednego, a patrząc z tej samej perspektywy na Helium, ujrzelibyśmy ich setki. Nie mają broni palnej, ponieważ wszystkie umocnienia zbudowane są tak, aby bronić się przed włóczyniami i strzałami za pomocą włóczyń i strzał. To jakiś pradawny lud.

– W takim razie może są przyjaźnie nastawieni – podsunęła dziewczyna. – Jako dzieci uczyliśmy się przecież, że naszą planetę zamieszkiwali kiedyś przyjacini, miłujący pokój ludzie.

– Obawiam się, że miasto nie jest aż tak stare – odparł ze śmiechem Turan. – Minęły wieki, od kiedy mieszkańcy Barsoom kochali pokój.

– Mój ojciec jest miłośnikiem pokoju – odcięła się dziewczyna.

– Mimo to stale toczy wojny – stwierdził pantan.

Roześmiała się.

– Ale twierdzi, że lubi pokój.

– Wszyscy go lubimy – odpowiedział. – O ile pozwala zachować honor. Ale sąsiedzi nie chcą nam go dać, musimy więc walczyć.

– A żeby dobrze walczyć, trzeba to lubić – dodała.

– Żeby lubić walkę, trzeba umieć walczyć – stwierdził. – Ponieważ nikt nie lubi robić tego, czego nie umie.

– Lub co kto inny potrafi robić lepiej.

– A zatem zawsze będą wojny i ludzie będą walczyć – podsumował – ponieważ mężczyźni o gorącej krwi w żyłach zawsze będą zaprawiać się w sztuce wojennej.

– Rozstrzygnęliśmy ważką kwestię – powiedziała z uśmiechem dziewczyna. – Ale brzuchy nadal mamy puste.

– Twój wojownik zaniedbuje obowiązki księżniczko – odparł Turan. – I to mając nagrodę stale przed oczami!

Nie domyślała się nawet, jak dosłownie powinna go rozumieć.

– Ruszam zaraz wyrwać prowiant pradawnym ludom – ciągnął.

– Nie – zawołała, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Jeszcze nie teraz. Zabiją cię albo zamkną w lochu. Jesteś dzielny i silny, ale sam jeden nie pokonasz całego miasta.

Posłała mu uśmiech, nie zdejmując dłoni z ramienia. Poczuł, jak krew zaczęła żywiej krążyć mu w żyłach. Miał ochotę porwać ją w ramiona i przytulić do piersi. W pobliżu był co prawda Ghek, ale powstrzymało go coś o wiele silniejszego, a nienazwanego – wrodzona szlachetność, która sprawia, że niektórzy mężczyźni z natury są obrońcami kobiet.

Zauważyli, że przez bramę wyjechała grupa wojowników, która zniknęła im zaraz z oczu za zakrętem wijącej się u podnóża wzgórz utwardzonej drogi. Wojownicy mieli czerwoną skórę jak oni, i dosiadali niewielkich thoatów, hodowanych przez czerwonych ludzi pod wierzch. Ich uprzęże były pełne barbarzyńskiego przepychu, a nakrycia głowy zgodnie ze zwyczajem starożytnych Marsjan zdobiły liczne pióra. Poza uprzężami byli prawie nadzy, o ciałach pokrytych żółtą, niebieską i białą farbą. Oddział liczył może dwudziestu wojowników, uzbrojonych w miecze i długie włócznie, którzy galopując na niestrudzonych wierzchowcach prezentowali zarazem groźny i piękny widok.

– Wyglądają wspaniale – stwierdził Turan. – Nabieram ochoty, żeby wejść śmiało do miasta i poszukać w nim zajęcia.

Tara potrząsnęła głową.

– Zaczekaj – nalegała. – Co zrobisz bez ciebie? A jeśli trafisz do niewoli, jak odbierzesz nagrodę?

– Ucieknę – powiedział. – I tak spróbuję – dodał, podnosząc się z ziemi.

– Nie zrobisz tego – oznajmiła dziewczyna władczym głosem.

Turan posłał jej pytające spojrzenie.

– Wstąpiłeś na moją służbę – powiedziała lekko wyniosłym głosem. – Zgodziłeś się służyć za zapłatę i będziesz robić, co każę.

Turan usiadł obok niej z uśmiechem na wargach.

– Cokolwiek rozkażesz, księżniczko – powiedział.

Dzień mijał. Ghek, zmęczony światłem słońca, zszedł z rykora i schował się w znalezionej nieopodal jamie. Tara i Turan położyli się w skąpym cieniu niewielkiego drzewa. Obserwowali ludzi przechodzących przez bramę. Oddział jeźdźców nie wrócił. W trakcie dnia spędzono do miasta niewielkie stado zitarów, a raz zza horyzontu wyłoniła się karawana ciągniętych przez te olbrzymie zwierzęta wozów o szerokich kołach, która również zniknęła za murami. Potem nadszedł mrok i Tara wysłała pantana na poszukiwania jedzenia i

## Szachiści Marsa

---

wody, ostrzegając jednak, aby nie próbował wejść do miasta. Zanim odszedł, Turan uklonił się i ucałował jej dłoń, jak wojownik składający pocałunek na dłoni królowej.

## ROZDZIAŁ 10

### W PUŁAPCE

Turan zbliżał się do miasta pod osłoną ciemności. Nie miał wielkich nadziei na znalezienie jedzenia i wody na zewnątrz murów, ale zamierzał spróbować, a w razie niepowodzenia spróbować wejść do miasta, ponieważ Tarze potrzebny był niezwłocznie posiłek. Zauważył, że mury były słabo obsadzone, za to dość wysokie, aby próba wspięcia się na nie była skazana na porażkę. Kryjąc się za krzakami i drzewami, dotarł niezauważony do podstawy muru. Zachowując ciszę, ruszył na północ, mijając po drodze potężną bramę, która nie pozwalała zajrzeć do bronionego przez nią miasta. Miał nadzieję, że na północ od murów, z dala od wzgórz, znajdzie równy teren, a na nim ogródki mieszkańców i wodę wykorzystywaną do podlewania, ale choć zawędrował daleko wzdłuż zdającego się nie mieć końca muru, nie znalazł pól ani wody. Szukał też sposobu, aby dostać się do miasta, ale i tu doznał zawodu. Teraz zaś, milczący strażnik odprowadzał go bystrym wzrokiem, przez jakiś czas dotrzymując mu kroku na szczycie muru, po czym zszedł na chodnik i pobiegł, wyprzedzając idącego za murami przybysza.

Dotarł zaraz do mniejszej furtki, przy której stał niski budynek pilnowany przez samotnego strażnika. Powiedział szybko kilka słów, po czym wszedł do budynku, z którego wyłonił się zaraz w towarzystwie czterdziestu żołnierzy. Otworzył ostrożnie bramę i spojrzał uważnie w stronę, z której przyszedł. Najwyraźniej zadowolony, wydał żołnierzom z tyłu kilka poleceń, na co część z nich wróciła do budynku, reszta zaś przeszła ukradkiem przez furtkę i przykucnęła półkolem w krzewach na północ od otwartej furtki. Czekali w kompletnej ciszy. Nie minęło wiele czasu, kiedy pojawił się Turan, skradający się czujnie przy murach. Dotarł do furtki, a kiedy zauważył, że była otwarta, zatrzymał się na chwilę, nasłuchując, po czym podszedł i zajrzał do środka. Upewniwszy się, że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go zatrzymać, wszedł do miasta.

Znalazł się w wąskiej alejce biegnącej równoległe do muru. Po drugiej stronie ulicy wznosiły się budynki o zupełnie obcej, choć niezwykle pięknej architekturze. Choć stały upakowane ciasno jeden obok drugiego, wyglądało na to, że nie było tam dwóch choćby podobnych do siebie, zaś fasady reprezentowały wszelkie kształty, wielkości i barwy. Linie dachów przerywały iglice, kopuły, minarety i wysokie, smukłe wieże. Ściany budynków zdobiły liczne balkony, na których w miękkim świetle dalekiego Clurosa, wiszącego nisko nad zachodem, zauważył z zaskoczeniem i konsternacją sylwetki ludzi. Dokładnie przed sobą widział dwie kobiety i mężczyznę, którzy siedzieli oparci o poręcz balkonu, najwyraźniej patrząc wprost na niego. Nie zdradzali jednak niczym, czy go zauważyli.

Stojąc przed pespektywą wykrycia, Turan zawahał się przez chwilę, po czym uznawszy, że widać wzięli go za jednego ze swoich, ruszył śmiało dalej. Nie miał pojęcia, gdzie najszybciej znaleźć to, czego szukał, a nie chciał wzbudzać podejrzeń dalszym wahaniem, wobec czego skręcił zaraz w lewo i poszedł żwawym krokiem przed siebie, zamierzając zniknąć jak najszybciej z oczu nocnym obserwatorom. Wiedział na pewno, że noc była już późna, zastanawiał się więc, co ludzie robili na balkonach, zamiast w posłaniu. Początkowo wziął ich za czyichś późnych gości, ale okna z tyłu spowijał mrok i panowała w nich całkowita cisza, która przeczyła dobitnie tej teorii. Idąc dalej, przechodził obok wielu innych grup siedzących w milczeniu na balkonach. Nie zwracali na niego uwagi, zdając się nie zauważać nawet jego przejścia. Niektórzy stali pochyleni, oparci łokciem o poręcz,

złożywszy podbródek na dłoni. Inni opierali się obiema dłońmi na balkonie, patrząc na ulicę; zauważył nawet paru, którzy trzymali w dłoniach instrumenty, choć nie poruszali palcami po strunach.

Dotarł do miejsca, w którym ulica skręcała w prawo, omijając przylegający do murów budynek. Wyszedł za zakręt, wpadając prosto na dwóch wojowników stojących przy wejściu do budynku po prawej stronie. Nie mogli go nie zauważyć, mimo to żaden nie poruszył się ani nie zdradził w żaden sposób, że go widzi. Stał z dłonią na głowicy miecza, ale nie obwołali go ani nie zatrzymali. Czy możliwe, że oni również uznali go za jednego ze swoich? Nie przychodziło mu do głowy inne wyjaśnienie ich obojętności.

Kiedy Turan wszedł do miasta i niezatrzymywany poszedł przed siebie ulicą, żołnierze wrócili za furtkę i zamknęli ją za sobą. Następnie jeden wszedł na mur i śledził Turana z jego szczytu, podczas gdy drugi podążał za nim aleją, trzeci zaś przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął w jednym z budynków.

Cała reszta, oprócz strażnika przy furcie, wróciła do budynku, z którego ich wezwano. Wszyscy byli dobrze zbudowani i pokryci farbami, osłonięci przed nocnym chłodem wspaniałymi szatami owiniętymi wokół nagich ciał. Rozmawiając o intruzie, śmiali się z łatwości, z jaką dał się podejść i chichotali nadal, rzucając się na jedwabne i futrzane posłania, aby wrócić do przerwane go snu. Najwyraźniej tworzyli oddział straży wydzielony do pilnowania furty, przy której spali. Widocznie miasto i wejście do niego były pilnowane lepiej niż wydawało się Turanowi. Młody jed Gathol byłby naprawdę rozczarowany, że tak łatwo dał się wyprowadzić w pole.

Turan szedł dalej ulicą, mijając kolejnych strażników przed drzwiami, ale nie zwracał już na nich większej uwagi, ponieważ nie zatrzymywali go ani nie zdradzali w żaden sposób, że go zauważają. Jednak choć niemal za każdym załomem krętej uliczki natykał się na milczącego strażnika lub paru, nie domyślał się nawet, że mijał jednego z nich wiele razy i że każdy jego krok śledzili sprytni, cisi zwiadowcy. Ledwie minął jednego z nieruchomych wojowników, ten ożywił się nagle, przeskoczył na drugą stronę ulicy i zniknął w wąskiej szczelinie w murach miasta, po czym pobiegł ukrytym w nich korytarzem, aż wyprzedził Turana i wyszedłszy na ulicę, przybrał znowu milczącą, sztywną postawę wartownika. Gatholianin nie wiedział również, że w cieniu budynków podążał za nim drugi wojownik, a trzeci pobiegł naprzód w jakiejś pilnej sprawie.

Pantan wędrował cichymi ulicami obcego miasta w poszukiwaniu prowiantu dla ukochanej. Mężczyźni i kobiety przyglądali mu się w milczeniu z cienistych balkonów; strażnicy obserwowali, gdy ich mijał, ale nie zatrzymywali go. Niedługo usłyszał na ulicy z przodu znajomy dźwięk podzwaniających uprząży zapowiadający maszerujący oddział żołnierzy. Niemal w tej samej chwili zauważył otwarte drzwi po prawej stronie, a za nimi oświetlone słabo wnętrze budynku. Nie widział innej kryjówki, w której mógłby schować się przed nadciągającym patrolem, a choć minął niezatrzymywany paru strażników, nie miał wątpliwości, że nie uda mu się uniknąć zatrzymania i przesłuchania przez patrol straży, za który uznał zbliżający się oddział.

Za drzwiami odkrył korytarz, który skręcał mocno w prawo i niemal zaraz z powrotem w lewo. Nie zauważył nikogo, przeszedł więc ostrożnie za drugi załom korytarza, aby zyskać lepszą osłonę przed patrzącymi z ulicy. Ujrzał przed sobą długi, oświetlony słabo jak wejście, korytarz. Czekał, słysząc, jak oddział zbliżył się do budynku, po czym ktoś wszedł do kryjówki, a wreszcie drzwi, którymi tu wszedł, zatrzasnęły się. Położył dłoń na mieczu, spodziewając się usłyszeć zaraz w korytarzu zbliżające się kroki, ale w budynku panowała cisza. Podeszedł do załomu korytarza i wyjrzał: droga była wolna aż do drzwi. Ktokolwiek je zamknął, został na zewnątrz.



Turan czekał, nasłuchując. Nic nie słyszał. Potem podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Na ulicy również panowała cisza. Może zatrzasnął je nagły przeciąg, a może strażnicy musieli zajmować się takimi sprawami. Nie miało to większego znaczenia. Widocznie poszli dalej, a on mógł wrócić na ulicę i pójść dalej swoją drogą. W mieście na pewno był publiczny wodopój, gdzie mógł znaleźć wodę, a pęki suszonych warzyw i mięsa, wiszące przed wejściem niemal wszystkich widzianych przez niego uboższych domów na Marsie, dawały nadzieję, że uda mu się również znaleźć jedzenie. Szukał właśnie ubogiej dzielnicy; dlatego jego trasa wiodła z dala od głównej bramy, która na pewno nie leżała w jej pobliżu.

Spróbował otworzyć drzwi. Okazały się zamknięte od zewnątrz – stawiały opór wszelkim wysiłkom. Wpadł w niezłe tarapaty! Turan podrapał się po głowie. – Fortuna mi dziś nie sprzyja – mruknął, ale ta fortuna stała za drzwiami w postaci uśmiechniętego szeroko wymalowanego wojownika, który bez trudu zdołał oszukać nieostrożnego intruza. Oświetlone drzwi i zbliżający się patrol zostały zaplanowane i zgrane w czasie przez trzeciego wojownika, który pobiegł inną trasą, wyprzedzając Turana. Intruza zachował się zgodnie z jego przewidywaniami. Nic dziwnego, że wojownik uśmiechał się z zadowoleniem.

Odcięty od ulicy, pantan zawrócił do korytarza, posuwając się cicho i ostrożnie przed siebie. Od czasu do czasu trafiał na drzwi, które okazywały się solidnie zamknięte. W miarę jak zagłębiał się coraz dalej, korytarz stawał się coraz bardziej kręty. Na końcu drogi zagroziły mu zamknięte drzwi, ale wejście po prawej okazało się otwarte. Po drugiej stronie odkrył oświetlone słabo pomieszczenie, w którym znalazł troje kolejnych drzwi. Wypróbował wszystkie po kolei. Dwoje było zamkniętych, ostatnie prowadziły na schodzącą w dół spiralną pochylnię, widoczną tylko do pierwszego zakrętu. Kiedy wyszedł z korytarza, drzwi na końcu otworzyły się, wpuszczając wojownika, który podążył jego śladem. Na zaciśniętych w zawziętym grymasie wargach strażnika nadal błąkał się lekki uśmiech.

Turan wyjął miecz i ruszył ostrożnie w dół pochylni. Na dole odkrył krótki korytarz zakończony masywnymi, zamkniętymi drzwiami. Podszedł do nich i nasłuchiwał. Zza zagadkowych drzwi nie dobiegały żadne dźwięki. Wypróbował je delikatnie. Drzwi otworzyły się szeroko w jego stronę. Ujrzał za nimi nisko sklepione pomieszczenie o podłodze z ubitej ziemi. W ścianach zauważył kolejne drzwi, wszystkie zamknięte. Kiedy Turan wszedł ostrożnie do środka, śledzący go wojownik zszedł pochylnią na dół. Pantan przeszedł szybko na drugą stronę pomieszczenia i wypróbował jedno z drzwi. Okazały się zamknięte na klucz. Usłyszał za sobą cichy stuk i odwrócił się z mieczem w dłoni. Nie zobaczył nikogo, ale drzwi, którymi tu wszedł, były zamknięte: usłyszał trzask zamykanego zamka.

Przesadził pomieszczenie jednym susem i spróbował otworzyć drzwi, ale na próżno. Nie starał się zachować ciszy, ponieważ wiedział, że nie mogły zamknąć się przypadkiem. Natarł całym ciężarem ciała na solidne, drewniane deski, ale twarde drewno, z którego je zrobiono, wytrzymałoby nawet uderzenie tarana. Z korytarza dobiegł go cichy śmiech.

Zbadał pospiesznie pozostałe wyjścia. Wszystkie były pozamykane na klucz. Rozejrzał się po piwnicy, odkrywając drewniany stół i ławę. W ścianach osadzono kilka ciężkich pierścieni z przymocowanymi do nich łańcuchami, które aż nadto wyraźnie wskazywały, do czego wykorzystywano te podziemia. Na podłodze pod ścianą zauważył dwa czy trzy otwory przypominające wyloty nory: bez wątplenia siedziby olbrzymich marsjańskich szczurów. Tyle zdążył dostrzec, kiedy światło zgasło bez ostrzeżenia, pozostawiając go w całkowitej, nieprzeniknionej ciemności. Macał wokół siebie rękami. Znalazł ławę i stół. Przysunął ławę do ściany, przyciągnął stół do siebie i usiadł, ściskając przed sobą miecz. Nie zamierzał poddać się bez walki.

Przez jakiś czas siedział tak, czekając nie wiadomo na co. W lochu panowała zupełna cisza. Obracał powoli w myślach wydarzenia tego wieczoru: otwartą, niestrzeżoną furtkę; oświetlone drzwi, jedyne na całej ulicy; pojawienie się wojowników dokładnie w chwili, kiedy nie mógł znaleźć innej kryjówki ani uciec; pozamykane drzwi w korytarzach i komnatach, które doprowadziły go wreszcie do tego podziemnego więzienia.

– Na przodków! – zaklął. – To było naprawdę proste, a ja okazałem się naiwny. Dałem się złapać jak dziecko! Pojmali mnie, nie ryzykując nawet draśnięcia, ale po co?

Żałował, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. Potem wrócił myślami do dziewczyny, która czekała na niego na wzgórzu za miastem, a on miał już do niej nie wrócić. Znał obyczaje dzikich ludów Barsoom. Z całą pewnością powrót nie był mu pisany. Nie posłuchał jej. Uśmiechnął się na wspomnienie rozkazu, jaki usłyszał z tych drogich warg. Nie posłuchał jej i stracił nagrodę.

Ale co z nią? Jaki los czekał przymierającą głodem przed obcym i wrogim miastem, z nieludzkim kaldanem za towarzystwo? Narzuciła mu się kolejna, straszna myśl. Tara opowiadała mu o koszmarach, jakie widziała w kopcach kaldanów, i wiedział, że jadły ludzkie mięso. Ghek również umierał z głodu. Zjadłszy rykora, byłby bezbronny, ale... istniało źródło pożywienia dla nich obu, rykora i kaldana. Turan przeklął własną głupotę. Dlaczego ją opuścił? O wiele lepiej zrobiłby, zostając z nią i umierając przy niej, gotów bronić jej do końca, niż zostawiając ją na łasce odrażającego stwora z Bantoom.

Znienacka wyczuł w powietrzu ciężką woń i poczuł przytłaczającą senność. Próbował wstać, żeby pokonać ogarniający go z wolna bezwład, ale nogi ugięły się pod nim i opadł z powrotem na ławę. Po chwili wypuścił miecz z dłoni i położył się na stole, kładąc głowę na rękach.

\*

W miarę, jak noc mijała, a Turan nie wracał, Tara czuła coraz większy niepokój. Kiedy wstał świt, a po pantanie nadal nie było ani śladu, domyśliła się, że nie udało mu się. Poczula w sercu żal i osamotnienie, wzbudzone nie tylko jej własnym, godnym politowania położeniem. Zdała sobie sprawę, że pantan zapewniał jej nie tylko ochronę, ale i towarzystwo. Odczuwała boleśnie jego brak, a tym samym uświadomiła sobie nagle, że był dla niej kimś więcej niż zwykłym najemnikiem. Czuła się, jakby utraciła starego, dobrego przyjaciela. Podniosła się w kryjówce, żeby lepiej przyjrzeć się miastu.

U-Dor, dwar 8. utanu jeddaka Manator, O-Tara, wracał do miasta wczesnym rankiem z wypadu do sąsiedniej wioski. Objężdżając wzgórze na południe od miasta, uchwycił bystrym wzrokiem jakiś ruch w krzakach przy szczycie najbliższego wzgórza. Zatrzymał narowistego wierzchowca i przyjrzał się uważnie. Zauważył odwróconą tyłem postać, która patrzyła ze szczytu w stronę Manator.

– Za mną! – zasygnalizował swoim żołnierzom, po czym puścił się pędem w górę wzgórza. Dwudziestu wojowników poszło za jego przykładem. Miękkie łapy wierzchowców padały niemal bezgłośnie na miękką trawę. Dopiero szczęk broni i uprząży sprawił, że Tara obróciła się w ich stronę, widząc dwie dziesiątki jeźdźców zmierzających w jej stronę z nastawionymi lancami.

Zerknęła na Gheka. Co mógł pomóc człekopajak w nagłej potrzebie? Zobaczyła, że podpełzł do rykora i usadowił się na nim. Ożywione znów i świadome, piękne ciało podniosło się zaraz. Wyglądało na to, że szykuje się do ucieczki. Cóż, to niewiele znaczyło. W walce ze zbliżającymi się żołnierzami, samotny szermierz o kiepskich zdolnościach Gheka był chyba gorszy niż żaden.

– Pospiesz się, Ghek! – ponagliła go. – Wracaj na wzgórze! Może uda ci się ukryć. – Ale kaldan zasłonił ją przed zbliżającymi się jeźdźcami, sięgając po długi miecz.

– To bez sensu – powiedziała, widząc, że zamierza jej bronić. – Co zdołał sam przeciw tak wielu?

– Raz się żyje i raz umiera – odparł kaldan. – Ty i twój pantan uratowaliście mnie przed Luudem. Robię tylko to, co zrobiłby on sam, gdyby tu był.

– Odważny jesteś, ale bez sensu – powiedziała. – Schowaj miecz. Może nie zamierzają nas skrzywdzić.

Ghek opuścił ostrze ku ziemi, ale nie schował go. Stali, czekając, aż U-Dor zatrzyma thoata. Dwudziestu wojowników utworzyło wokół nich nierówny krąg. Przez dłuższą chwilę dwar siedział w ciszy, mierząc wzrokiem najpierw Tarę, a potem jej szpetnego towarzysza.

– Coście za jedni? – zapytał wreszcie. – I czego szukacie u bram Manator?

– Pochodzimy z dalekich krain – odpowiedziała dziewczyna. – Zabłądziliśmy i umieramy z głodu. Prosimy tylko o wodę i jedzenie, oraz pozwolenie, abyśmy mogli pójść dalej swoją drogą, szukając naszych domów.

U-Dor uśmiechnął się ponuro.

– Tylko Manator i wzgórze, które je otaczają, wiedzą jak stare jest nasze miasto – powiedział. – A mimo to w naszych kronikach nie ma wzmianki, aby przez wszystkie wieki, jakie minęły od jego założenia, obcemu przybyszowi udało się stąd odejść.

– Ale ja jestem księżniczką, a mój kraj nie prowadzi z waszym wojny – odpowiedziała dumnie Tara. – Macie obowiązek zapewnić pomoc mi oraz moim towarzyszom, oraz umożliwić nam powrót do ojczyzny. Takie jest prawo Barsoom.

– Manator rządzi się własnymi prawami – odparł U-Dor. – Pójdziecie z nami. Zabierzemy cię do miasta, a skoro jesteś tak piękna, nie masz czego się bać. Sam zostanę twoim obrońcą, jeśli tak zechce O-Tar. Co do twojego towarzysza... Zaraz! Powiedziałaś tobie i twoim towarzyszom. Jest was więcej?

– Tylu, ilu widzisz – rzuciła wyniośle Tara.

– Skoro tak mówisz – stwierdził U-Dor. – Jeśli masz innych, nie uda im się stąd uciec. Ale, jak mówiłem, o ile twój towarzysz potrafi walczyć, może i jemu uda się przeżyć, ponieważ O-Tar jest sprawiedliwym władcą, a prawa naszego miasta są słuszne. W drogę!

Ghek wzbraniał się.

– To na nic – powiedziała dziewczyna, widząc, że zamierzał stawić opór. – Pojedźmy z nimi. Po co mierzyć się żalonym ostrzem z zaprawionymi w boju wojownikami, skoro możesz użyć potężnego umysłu, by ich przechrzyć? – dodała zaraz szeptem.

– Masz rację, księżniczko – stwierdził i schował miecz.

I tak ruszyli w dół wzgórze w stronę bram Manator: Tara, księżniczka Helium, i kaldan Ghek, otoczeni dzikimi, wymalowanymi wojownikami U-Dora, dwara 8. utanu jeddaka Manator.

### ROZDZIAŁ 11

## DECYZJA TARY

Oślepiające światło marsjańskiego dnia spowiło Manator wspaniałą aureolą, kiedy dziewczyna wjeżdżała pod strażą do miasta przez Bramę Nieprzyjaciół. Mur miał tu jakieś pięćdziesiąt stóp grubości, a ściany bramy wyłożone były od dołu do góry murowanymi półkami. W środku, na długich, poziomych wnękach, stały rzędy niewielkich przedmiotów, przypominających groteskowe figurki ludzi, o długich, czarnych włosach, które spływały im pod stopy, a czasem na półkę w dół. Figury miały niecałą stopę wysokości, a gdyby nie małe rozmiary, mogłyby być zmumifikowanymi ciałami niegdyś żywych ludzi. Dziewczyna zauważyła, że przejeżdżając obok, jeźdźcy salutowali im włóczniami, jak robią wojownicy Barsoom oddając honory. Następnie wyjechali na majestatyczną, szeroką ulicę, prowadzącą do wschodniej części miasta.

Po obu stronach widziała wielkie budynki o wspaniałej architekturze. Liczne ściany ozdobione były przepięknymi, starymi malowidłami, o barwach wyblakłych i rozmytych przez wieki oddziaływania słońca. Na chodniku zaczynało się właśnie życie rozbudzonego ze snu miasta. Ubrane wspaniale kobiety, wystrojone w pióra wojownicy o pokrytych farbami ciałach, uzbrojeni rzemieślnicy w nieco mniej krzykliwych strojach, krzatali się wokół codziennych obowiązków. Olbrzymi zitar w bogatej uprzęży ciągnął z hukiem wóz po kamieniach w stronę Bramy Nieprzyjaciół. Życie, barwy i piękno łączyły się w obraz, który wypełnił oczy Tary podziwem, widziała bowiem przed sobą scenę z zamierzchłej przeszłości Marsa. Tak wyglądały miasta jej rasy, zanim największy z oceanów, Throxus, zniknął z powierzchni świata. Scenie przyglądali się w milczeniu mężczyźni i kobiety na balkonach po obu stronach ulicy.

Przechodnie oglądali się na więźniów, zwłaszcza na szkaradnego Gheka, i krzyczeli głośno, komentując jego wygląd lub wypytyując strażników, ale obserwatorzy na balkonach milczeli; żaden nie odwrócił nawet głowy, aby wskazać, że zauważył ich przejazd. Każdy budynek posiadał liczne balkony, a na każdym widać było milczącą grupę mężczyzn i kobiet w bogatych strojach, wśród których tu i ówdzie można było zauważyć dzieci. Ale nawet one trwały w tej samej ciszy i bezruchu, co ich rodzice. Kiedy zbliżali się do centrum miasta, Tara zauważyła na dachach grupy beczynnych gapiów, wystrojonych jak na przyjęcie z muzyką i tańcami. Z milczących warg nie rozlegał się jednak żaden śmiech, a instrumenty, które wielu ścisnęło w obsypanych klejnotami palcach, milczały.

Ulica stała się szersza, aż wreszcie przeszła w rozległy plac, za którym ujrzała majestatyczną budowlę, lśniącą dziewczęcą bielą marmuru wśród otaczających ją malowanych budynków, szkarłatnych trawników i zielonych krzewów obsypanych kwiatami o wesołych barwach. U-Dor poprowadził jeńców i straż w stronę wielkiej łukowej bramy, przed którą drogę zastąpiło im pół setki jeźdźców. Kiedy dowódca straży rozpoznał dwara, strażnicy rozstąpili się, tworząc szerokie przejście, którym przejechał oddział. Po obu stronach bramy były prowadzące do góry pochylnie. U-Dor skręcił w lewo i powiodł ich na drugie piętro, a następnie długim korytarzem. Po drodze mijali innych jeźdźców, w salach po obu stronach korytarza widzieli kolejnych. Od czasu do czasu przejeżdżali obok kolejnej pochylni prowadzącej w górę lub w dół. Z jednej z nich wypadł pędem jakiś jeździec, który oddalił się galopem w jakiejś misji.

Tara nie zauważyła jeszcze w tym pałacu pieszego człowieka, ale kiedy U-Dor wprowadził ich za załomem korytarza na trzecie piętro, zauważyła po drodze pomieszczenia, w których stało wiele nieosiodłanych thoatów, oraz przylegające do nich pokoje, gdzie żołnierze odpoczywali lub grali w rozmaite gry zręcznościowe i hazardowe. Wielu grało w jetana. Oddział wjechał wreszcie do długiej i szerokiej sali, jednej z najwspanialszych widzianych przez księżniczkę potężnego Helium. Łukowe sklepienie, rozjarzone niezliczonymi lampami radowymi, obejmowało całą jej długość. Potężne przęsła sięgały od ściany do ściany, nie szpecąc szerokiej posadzki żadną kolumną. Łuki wycięto w całości w blokach białego marmuru, osadzonych w całości w murze. Między nimi, wokół lamp radowych, osadzono w suficie powłokę z kamieni szlachetnych, których roziskrzony błysk, barwy i piękno wypełniały całą salę. Klejnoty sięgały nieregularną linią na kilka stóp w dół ścian, gdzie wisiały niczym olśniewające kotary na tle śnieżnej bieli ścian. Powłoka marmuru kończyła się około sześciu czy siedmiu stóp nad podłogą, zastąpiona pokrywającymi ścianę płytami litego złota. Sama podłoga zrobiona była z intarsjowanego złotem marmuru. Zgromadzone w tej sali bogactwo odpowiadało całym zasobom niejednego potężnego miasta.

Ale uwagę dziewczyny, bardziej niż bajeczny przepych ozdób, przykuły szeregi wojowników we wspaniałych uprzężach, zasiadających w ponurej ciszy i bezruchu na thoatach po obu stronach przejścia, rząd za rzędem, aż do ścian. Kiedy strażnicy przejeżdżali obok nich, żaden nie mrugnął choć okiem, a żaden z thoatów nie poruszył nawet uchem.

– To Sala Wodzów – szepnął jeden ze strażników, widocznie zauważywszy jej zaciekawienie. W głosie żołnierza pobrzmiwała duma i cichy podziw. Następnie minęli wielkie drzwi i znaleźli się w sporym, kwadratowym pomieszczeniu, gdzie tuzin strażników tkwił beczynnym w siodłach.

Na widok U-Dora z oddziałem wojownicy wyprostowali się zaraz i uformowali szereg przed drzwiami po drugiej stronie. Dowodzący nimi padwar zsalutował U-Dorowi, który zatrzymał się wraz z oddziałem.

– Poślij kogoś do O-Tara z wiadomością, że przywożę mu dwoje godnych uwagi jeńców – oznajmił U-Dor. – Niespotykanej urody kobietę i niesłychanie szkaradne stworzenie.

– O-Tar naradza się właśnie z wodzami – odparł padwar – ale przekażę mu twoje słowa. – Odwrócił się i wydał polecenie stojącemu za nim żołnierzowi.

– Z jakiego ludu pochodzi ten mężczyzna? – zapytał U-Dora. – Niemożliwe, żeby oboje należeli do tej samej rasy.

– Znaleźliśmy ich razem na wzgórzach na południe od miasta – wyjaśnił U-Dor. – Twierdzą, że pobił ich i umierają z głodu.

– Kobieta jest rzeczywiście piękna – stwierdził padwar. – Nie będzie musiała zebrać. – Następnie przeszli do rozmowy o innych sprawach: życiu w pałacu i wyprawie U-Dora, dopóki nie wrócił goniec z wieścią, że O-Tar kazał przyprowadzić jeńców do siebie.

Przejechali przez ciężkie drzwi, za którymi ujrzeli wielką salę tronową jeddaka Manator, O-Tara. Przez całą długość sali ciągnęło się od drzwi przejście, kończące się u stóp marmurowego podwyższenia, gdzie zasiadał na okazałym tronie jakiś człowiek. Po obu stronach przejścia stały rzędy rzeźbionych wymyślnie biurek i krzeseł z twardego, dekoracyjnego drewna skeel. Zajęte były tylko nieliczne, w przednim rzędzie, zaraz przy podwyższeniu.

Tuż przy drzwiach U-Dor zsiadł z thoata razem z czterema żołnierzami, którzy ustawili się wokół jeńców, po czym poprowadzili ich do stóp tronu, idąc parę kroków za dwarem. Kiedy zatrzymali się przed marmurowymi schodami, Tara spoczęła dumnym spojrzeniem na człowieku siedzącym na tronie. Był to mężczyzna w swobodnej, wyprostowanej pozycji, ubrany z barbarzyńskim przepychem, ukochanym przez wodzów Barsoom. Przedstawiał sobą

ście władczą postać: rosły, o przystojnej twarzy, której doskonale rysy psuło wyniosłe, zimne spojrzenie i nazbyt wąskie wargi, sugerujące okrucieństwo. Nawet mniej spostrzegawczy ludzie nie musieliby przyglądać mu się uważnie, aby wiedzieć, że mieli do czynienia z prawdziwym władcą ludzi, jeddakiem wojownikiem, otoczonym czcią, ale nie miłością, dla którego najmniejszej łaski wojownicy gotowi byli na spotkanie śmierci. Był to jeddak Manator, O-Tar, a ujrawszy go po raz pierwszy Tara musiała przyznać się przed sobą do pewnej dozy podziwu dla dzikiego wodza, który tak żywo ucieleśniał pradawne cechy boga wojny.

U-Dor wymienił z jeddakiem proste marsjańskie pozdrowienie, po czym zdał mu szczegółową relację o tym, jak znalazł i schwytał jeńców. Słuchając opowiadania dwara, O-Tar mierzył Tarę i Gheka badawczym wzrokiem, w żaden sposób wyrazem twarzy nie zdradzając, co działo się za nieprzeniknionym spojrzeniem w jego myślach. Kiedy oficer skończył, jeddak utkwiał wzrok w Gheku.

– Ty! Do jakiej rasy należysz? – zapytał. – Skąd pochodzisz? I co robisz w Manator?

– Należę do rasy kaldanów – odpowiedział Ghek. – Nasza rasa to korona stworzenia na Barsoom. Jestem umysłem, ty – materią. Pochodzę z Bantoom. Znalazłem się tu, ponieważ zabłądziliśmy i szukamy pożywienia.

– A ty? – O-Tar odwrócił się zniecierpliwiony do Tary. – Ty też jesteś kaldanem?

– Jestem księżniczką Helium – odpowiedziała dziewczyna. – Więziono mnie w Bantoom. Uratował mnie ten kaldan wraz z wojownikiem mojej rasy, który opuścił nas, udając się na poszukiwanie wody i jedzenia. Na pewno wpadł w ręce twoich ludzi. Proszę byś go uwolnił, dał nam jedzenie i wodę, i pozwolił odejść. Jestem prawnuczką jeddaka i córką jeddaka jeddaków, Johna Cartera. Proszę tylko, abys potraktował nas tak, jak obszedłby się z tobą lub twoimi ludźmi mój lud.

– Helium – powtórzył O-Tar. – Nie znam Helium, a jego jeddak nie rządzi w Manator. To ja, O-Tar, jestem tu władcą. Sprawuję rządy sam i chronię mój lud. Nigdy nie widziano, aby jakaś kobieta lub wojownik z Manator zostali więźniami w Helium! Dlaczego miałbym chronić lud innego jeddaka? To jego powinność. Jeśli nie potrafi jej wypełnić, jest słabeuszem, a jego lud padnie ofiarą silnych. Ja jestem silny. Zatrzymam was tu. Czy to coś potrafi walczyć? – wskazał Gheka.

– Nie brak mu odwagi – stwierdziła Tara. – Ale nie jest tak sprawny w boju jak moi rodacy.

– A zatem nie masz obrońcy? – spytał O-Tar. – Sprawiedliwość nie jest nam obca – ciągnął, nie czekając na odpowiedź. – Gdybyś znalazła kogoś gotowego do walki za ciebie, mógłby wywalczyć dla was obojga wolność.

– Ale U-Dor zapewniał mnie, że jeszcze nikomu obcemu nie udało się opuścić Manator – odpowiedziała.

O-Tar wzruszył ramionami.

– To nie przeczy słuszności naszych praw – stwierdził. – Dowodzi raczej, że nasi wojownicy są niepokonani. Gdyby pojawił się ktoś, kto zdołałby ich pobić, odzyskałby wolność.

– Jeśli sprowadzisz tu mojego wojownika – zawołała wyniosłe Tara – ujrzysz taki pokaz władania mieczem, jakiego na pewno nie widziały murszejące mury waszego podupadającego miasta, a jeśli w twojej propozycji nie kryje się żadne oszustwo, to właściwie już jesteście wolni.

O-Tar uśmiechnął się jeszcze szerzej. U-Dor uśmiechnął się wraz z nim, a obserwujący ich wodzowie i wojownicy poszturchiwali się i szeptali ze śmiechem. Tara przekonała się, że pod płaszczykiem ich sprawiedliwości krył się podstęp, ale choć jej położenie zdawało się

rozpaczliwe, nie porzuciła nadziei: była przecież córką Johna Cartera, którego słynne „jeszcze nie zginąłem!” rzucone w twarz losowi, pozostało ostatnią obroną przed pogrążeniem się w rozpacz. Na myśl o swoim ojcu, Tara zadarła nieco arystokratyczny podbródek. Gdyby wiedział, gdzie się znalazła, nie miałyby czego się bać. Armie Helium stanęłyby zaraz u bram Manator; żądni łupów, dzicy zielonoskórzy sojusznicy Johna Cartera wyroiliby się z dna wyschłych mórz, a majestatyczne okręty jej ukochanej floty zawisłyby nad bezbronnymi wieżami i minaretami skazanego miasta, które uratowałyby jedynie niezwłoczna kapitulacja i wysoki okup.

Ale John Carter nie wiedział! Istniał tylko jeden człowiek, u którego mogła szukać pomocy: jej pantan, Turan, ale gdzie on przepadł? Widziała go w walce i rozpoznała w nim mistrza szermierki, a kto mógł znać się na sztuce władania mieczem lepiej niż ta, która poznała ją w trakcie lekcji pobieranych od samego Johna Cartera. Znała sztuczki, które pozwalały pokonać o wiele silniejszego przeciwnika, oraz pewien cios, który mógł być zarazem przedmiotem rozpacz i zazdrości najbardziej przebiegłych wojowników. Powróciła myślami do Turana, nie tylko z powodu ochrony, jaką mógł jej zapewnić. Od kiedy ją opuścił, zdała sobie sprawę, że zaistniała między nimi pewna więź, której brak boleśnie teraz odczuwała. Miał w sobie coś, co zdawało się przekraczać dzielącą ich otchłań. Przy nim nie zważała na to, że był pantanem, a ona księżniczką – byli towarzyszami. Zdała sobie sprawę, że brakowało jej nie tylko jego miecza. Odwróciła się do O-Tara.

– Gdzie jest mój wojownik, Turan? – zapytała.

– Wojowników ci nie zabraknie – odparł jeddak. – Kobieta o twojej urodzie znajdzie wielu gotowych o nią walczyć. Może nawet nie będziesz musiała szukać dalej niż u mnie. Przypadłaś mi do gustu, kobieto. Co powiesz na taki zaszczyt?

Księżniczka Helium zmierzyła jeddaka Manator wzrokiem spod zwężonych powiek, od przystrojonego piórami nakrycia głowy do obutych w sandały stóp i z powrotem.

– Zaszczyt! – zawtórowała z pogardą w głosie. – Podobam ci się, tak? A zatem dowiedz się, wieprzu, że ty mi się wcale nie podobasz. Córką Johna Cartera nie jest dla takich jak ty!

Wśród zgromadzonych wodzów zapadła nagła, pełna napięcia cisza. Krew odpłynęła powoli ze ściągniętej w złowieszczym grymasie twarzy O-Tara, spowijając ją barwą chorobliwej purpury. Zwęził oczy w szparki, zaciskając wargi w wąską, pełną wrogości rysę. Przez chwilę w sali tronowej panowała absolutna cisza, po czym jeddak odwrócił się do U-Dora.

– Zabierz ją stąd – powiedział spokojnym głosem, klóącym się z wściekłą miną. – Zabierz ją. Podczas kolejnych igrzysk będzie nagrodą w grze dla kryminalistów i pospolitych wojowników.

– A co z tym? – zapytał U-Dor, wskazując Gheka.

– Do lochu aż do kolejnych igrzysk – rzucił O-Tar.

– A zatem to jest wasza okrzyczana sprawiedliwość! – zawołała Tara. – Skazujecie bez sądu dwoje obcych, którzy nie zrobili wam nic złego, a jedno z nich jest na domiar złego kobietą? Wieprze z Manator są równie sprawiedliwe, co waleczne.

– Wyprowadzić ją! – krzyknął O-Tar. Na znak U-Dora, żołnierze ustawili się wokół więźniów i wyprowadzili ich z sali.

Na zewnątrz pałacu, Tara i Ghek zostali rozdzieleni. Dziewczynę poprowadzono długimi ulicami w stronę centrum miasta, a tam do niskiej budowli, zwieńczonej masywnymi, strzelistymi wieżami. Tu przekazano ją wojownikowi noszącemu insygnia dwara, czyli kapitana.

– O-Tar chce, żebyś zamknął ją tu do kolejnych igrzysk, w których zagrają o nią kryminaliści i pospolici wojownicy – wyjaśnił U-Dor. – Gdyby nie miała języka jak thout,

byłaby nagrodą godną najszlachetniejszej stali – westchnął. – Może uda mi się jeszcze namówić go, żeby ją ułaskawił. Żal byłoby patrzeć, jak taka ślicznotka przypada jakiemuś szarakowi. Zaszczyciłbym ją i sam o nią walczył.

– Jeśli masz zamknąć mnie w więzieniu, to zrób to – powiedziała dziewczyna. – Nie pamiętam, żeby skazano mnie na wysłuchiwanie zniewag z ust każdego podle urodzonego gbura, którego zachwyciła przypadkiem moja uroda.

– Sam widzisz, jaki ma język, A-Korze – powiedział głośno U-Dor. – Dokładnie w ten sam, a nawet gorszy sposób zwracała się do jeddaka.

– Rozumiem – odparł A-Kor, ledwo powstrzymując uśmiech. – Chodź ze mną, kobieto. Znajdziemy ci lokum w Wieżach Jetana... zaraz, co ci jest?

Dziewczyna zachwiała się i upadłaby, gdyby nie złapał jej w ramiona. Próbowwała odzyskać panowanie nad sobą i stanąć bez podparcia. A-Kor spojrział w stronę U-Dora.

– Wiedziałaś, że jest chora? – zapytał.

– To chyba z braku jedzenia – odparł dwar jeźdźców. – Zdaje się, że wspominała, że ona i jej towarzysze nie jedli od kilku dni.

– Dzielni są wojownicy O-Tara, a ich gościnność nie zna granic – sarknął A-Kor. – U-Dor, właściciel niezliczonych bogactw, i nasz waleczny jeddak, trzymający swoje thoaty w marmurowych salach, gdzie żrą ze złotych koryt, nie mogą podzielić się skórką od chleba z przymierającą głodem dziewczyną.

Czarnowłosa U-Dor nachmurzył się.

– Twój język kiedyś cię zabije, synu niewolnicy! – wypalił. – Pewnego dnia wystawisz cierpliwość O-Tara na próbę o jeden raz za często. Od dziś lepiej, żebyś pilnował swojej mowy tak dobrze jak tych wież.

– Nie próbuj drwić ze mnie z powodu mojej matki – oznajmił A-Kor. – To właśnie jej krew napelnia mnie dumą, a jedynym powodem do wstydu jest fakt, że jestem też synem twojego jeddaka.

– Czy O-Tar to słyszał? – zapytał U-Dor.

– I to z moich własnych ust – odparł A-Kor. – A i niejedno poza tym.

Okręcił się na pięcie i otoczywszy talię Tary pomocnym ramieniem, na pół poprowadził ją, na pół wniósł do Wież Jetana. Tymczasem U-Dor okręcił thoata i popędził z powrotem w stronę pałacu.

W głównym wejściu do budynku stało beczynnie pół tuzina wojowników. A-Kor zwrócił się do jednego z nich.

– Poślij po Lan-O i każ jej przynieść jedzenie i picie na najwyższy poziom Wieży Thurii. – Następnie uniół półprzytomną dziewczynę w ramionach i wniósł ją po pochylni na górny poziom.

Gdzieś podczas długiej wspinaczki Tara straciła przytomność. Odzyskała ją w wielkiej, okrągłej sali, w której kamiennych murach wybito w regularnych odstępach okna. Spoczywała na stercie jedwabnych i futrzanych posłań, a nad nią pochylała się młoda kobieta, która zwilżała jej spieczone wargi jakimś chłodzącym napojem. Tara podniosła się na łokciu i rozejrzała. W pierwszych chwilach po odzyskaniu przytomności zapomniała całkiem o wydarzeniach ostatnich kilku tygodni. Zdawało jej się, że obudziła się w pałacu w Helium. Zmarszczyła brwi, przyglądając się badawczo pochylonej nad sobą obcej twarzy.

– Kim jesteś? – zapytała. – Gdzie jest Uthia?

– Jestem Lan-O, niewolnica – odpowiedziała dziewczyna. – Nie znam żadnej Uthii.

Tara uniosła się wyżej. Szorstkie kamienne mury nie przypominały marmurów w pałacu ojca.

– Gdzie ja jestem? – zapytała.



– W Wieży Thurii – odpowiedziała dziewczyna, po czym widząc, że Tara nadal jej nie rozumie, domyśliła się prawdy. – Zostałaś zamknięta w Wieżach Jetana w Manator – wyjaśniła. – Przyniósł cię tu, osłabioną i nieprzytomną, nadzorca wież, A-Kor, który dzięki czułem sercu posłał mnie do ciebie z jedzeniem i pićm.

– Teraz pamiętam – powiedziała powoli Tara. – Przypomniałam sobie. Gdzie mój wojownik, Turan? Czy mówili coś o nim?

– Nie słyszałam o nikim innym – odparła Lan-O. – Przywieźli tu tylko ciebie. Masz szczęście, bo w całym Manator nie ma szlachetniejszego człowieka niż A-Kor. Zawdzięcza to krwi matki, która była niewolnicą z Gathol.

– Gathol! – zawołała Tara. – Czy to daleko stąd?

– Dość daleko, ale to i tak najbliższej położony kraj – odpowiedziała dziewczyna. – Znajduje się o jakieś dwadzieścia dwa stopnie [\[8\]](#) na wschód.

– Gathol! – wymamrotała Tara. – Odległe Gathol!

– Ale ty stamtąd nie pochodzisz – stwierdziła niewolnica. – Twoja uprząż jest inna.

– Pochodzę z Helium – powiedziała Tara.

– Z Helium daleko do Gathol – powiedziała niewolnica. – Ale w szkole uczyli nas o tym, jakie jest wielkie, nie wydawało się więc wcale takie odległe.

– Ty też pochodzisz z Gathol? – zapytała Tara.

– Wielu tutejszych niewolników stamtąd pochodzi – odpowiedziała dziewczyna. – To najbliższy kraj, więc wojownicy Manator tam najczęściej szukają niewolników. Co trzy do siedmiu lat wyruszają wielkimi oddziałami, czyhając przy drogach prowadzących do stolicy, i porywają całe karawany, nie zostawiając nikogo, kto mógłby zanieść do Gathol wieści o tym, co się stało. A nikomu nie udało się stąd uciec, aby zawiadomić o naszym losie naszego jeda, Gahana.

Tara jadła powoli w milczeniu. Słowa dziewczyny przywołały wspomnienie ostatnich godzin spędzonych w pałacu ojca i wielkiego balu, na którym poznała Gahana z Gathol. Do tej pory rumieniła się na wspomnienie jego śmiałych zalotów.

Rozmyślenia przerwał jej dźwięk otwieranych drzwi, w których pojawił się przysadzisty wojownik: zwalisty mężczyzna o grubych wargach i nieprzyjemnej twarzy o pożądlwym wyrazie. Lan-O zerwała się na nogi, stając przodem do niego.

– Co to ma znaczyć, E-Medzie? – zawołała. – A-Kor życzył sobie, żeby nie niepokoić tej kobiety!

– A-Kor może sobie życzyć! – parsknął szyderczo wojownik. – Jego życzenie nic nie znaczy tutaj ani nigdzie indziej. Trafił do lochów O-Tara, a dwarem wież jestem teraz ja.

Tara ujrzała, że twarz dziewczyny pobladła, a do jej oczu zakradła się groza.

### ROZDZIAŁ 12

## PSOTY GHEKA

Kiedy Tarę prowadzono do Wież Jetana, Ghek został odeskortowany do pałacowych podziemi, gdzie zamknięto go w słabo oświetlonej celi. Został tam ławę i stół ustawione pod ścianą na ubitej ziemi. W murze osadzono kilka pierścieni, z których zwisały krótkie łańcuchy. U podstawy ściany zauważył kilka dziur w podłodze. Ze wszystkich rzeczy w pomieszczeniu tylko one zwróciły jego uwagę. Usiadł na ławie i czekał w ciszy, nasłuchując. Wkrótce zgasły światła. Ghek uśmiechnąłby się, gdyby potrafił, ponieważ po ciemku widział równie dobrze jak przy świetle, a może nawet lepiej. Obserwował ciemne otwory w podłodze i czekał. Po krótkim czasie zauważył, że powietrze w celi zmieniło się: stało się pełne dziwnej, ciężkiej woni. I znów kaldan uśmiechnąłby się, gdyby wiedział jak.

Mogli wypompować z celi całe powietrze, zastępując je śmiercionośnymi oparami – dla Gheka, który nie posiadając płuc, nie potrzebował też powietrza, nie miało to żadnego znaczenia. Inaczej miała się sprawa z rykorem. Pozbawiony powietrza, zginąłby; ale jeśli do celi wpuszczono tylko tyle gazu, aby otumanić zwykłego człowieka, nie miałyby to większego wpływu na rykora, który praktycznie nie posiadał umysłu, który można by otępić. Dopóki zawartość dwutlenku węgla we krwi nie wzrosła na tyle, aby zatrzymać pracę serca, rykor doświadczyłby najwyżej niewielkiego osłabienia, ale nadal reagowałby na impulsy płynące z umysłu kaldana.

Ghek kazał rykorowi usiąść plecami do ściany, gdzie mógł zostawić go bez opieki. Następnie zwolnił połączenie z rdzeniem kręgowym, ale pozostał na barkach stworzenia, czekając i obserwując z zaciekawieniem. Nie czekał długo, kiedy włączono znowu światła i jedne z drzwi otworzyły się, wpuszczając do celi pół tuzina strażników. Żołnierze podeszli zaraz do niego i zabrali się do pracy. Najpierw zabrali mu całą broń, po czym zakuwszy jedną z nóg rykora w kajdany, przymocowali je do końca wiszącego na ścianie łańcucha. Następnie przeciągnęli stół w nowe miejsce, gdzie przymocowali go do podłogi w ten sposób, że więzień miał przed sobą nie środek, a koniec. Na stole postawili przed nim wodę i jedzenie, a po drugiej stronie położyli klucz do kajdan. Wreszcie otworzyli wszystkie drzwi i wyszli.

\*

Odzyskawszy przytomność, Turan poczuł przenikliwy ból w przedramieniu. Działanie gazu minęło równie szybko, jak nastąpiło, więc otworzywszy oczy był już w pełni przytomny. Światło znowu się paliło, a w blasku lamp ujrzał sylwetkę siedzącego na stole olbrzymiego marsjańskiego szczura, który gryzł go w ramię. Cofnął rękę, sięgając po miecz, a szczur, warcząc, próbował ugryźć go znowu. Dopiero wtedy Turan zauważył, że zabrano mu całą broń: długi i krótki miecz, sztylet i pistolet. Szczur rzucił się na niego. Wojownik odepchnął go dłonią i cofnął się, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby zadać zwierzęciu silniejszy cios. Szczur zaatakował znowu, a kiedy Turan cofnął się, żeby uniknąć groźnych szczęk, coś szarpnęło go za prawą nogę. Cofnął lewą stopę, żeby złapać równowagę, zaczepił piętą o napięty łańcuch, i padł do tyłu dokładnie w chwili, kiedy szczur skoczył mu na pierś, szukając zębami gardła.

Marsjańskie szczury to obrzydliwe i groźne stworzenia. Posiadają kilka nóg i są zupełnie bezwłose, a ich skóra przypomina odrażającą skórę noworodka myszy. Pod względem

## Szachiści Marsa

---

wielkości i wagi można porównać je ze sporym Airedale terierem. Drobne oczka są blisko osadzone, prawie całkiem schowane w głębokich, cielistych oczodołach. Ale najgroźniejszym i najbardziej odpychającym elementem wyglądu tych zwierząt są ich kościste szczęki, wystające o kilka cali przed resztę ciała, z których sterczy od góry i od dołu po pięć ostrych, łopatomatych zębów, całość zaś przypomina ludzaco gnijącą twarz, z której zdążyła złuszczyć się spora część ciała.

Jedno z tych stworzeń skoczyło właśnie pantanowi do piersi, celując zębami w tętnicę szyjną. Turan dwa razy strącał je z siebie, próbując się podnieść, ale za każdym razem atakowało znowu z większą zawziętością. Jedyłą bronią zwierzęcia były zęby, ponieważ osadzone na szerokich, rozcapierzonych łapach pazury są tępe. Sterczące do przodu szczęki służą im do kopania tuneli, łapami zaś spychają ziemię do tyłu. Turan musiał zatem unikać tylko zębów zwierzęcia, aż wreszcie udało mu się chwycić szczura za gardło. Koniec walki był już kwestią chwil. Podniósłszy się w końcu, odrzucił truchło jak najdalej od siebie, wzdrygając się z obrzydzenia.

Zajął się teraz pospieszną oceną swojej sytuacji. Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, co zaszło. Uśpiono go i zabrano mu broń, a obudziwszy się odkrył, że był przykuty za nogę do osadzonego w ścianie łańcucha. Rozejrzał się po celi. Wszystkie drzwi były szeroko otwarte! Widocznie strażnicy zamierzali uprzykrzyć mu niewolę jeszcze bardziej, zostawiając stale przed oczami nieosiągalną drogę do wolności. Na końcu stołu zauważył w zasięgu rąk wodę i jedzenie. Przynajmniej ich mógł dosięgnąć, a na widok posiłku wysuszony żołądek zdawał się niemal wołać głośno o jedzenie. Z trudem udało mu się zachować umiar przy stole.

Pochłaniając posiłek, wędrował wzrokiem po więzieniu, aż zatrzymał go nagle na przedmiocie po drugiej stronie stołu. To był klucz. Uniósł zakutą nogę i przyjrzał się uważnie zamkowi. Nie było wątpliwości! Leżący na stole klucz na pewno pasował do zamka. Któryś nieuważny wojownik położył go tam i odszedł, zapomniawszy o nim.

Gahan, albo Turan, poczuł przypływ nadziei. Omiótł otwarte drzwi ukradkowym spojrzeniem. Nikogo nie było widać. Gdyby tylko zdołał się uwolnić! Na pewno znalazłby sposób, żeby wydostać się z tego wstrętnego miasta i wrócić do Tary, której nie opuściłby już, dopóki nie zapewniłby jej bezpieczeństwa lub nie zginął przy tym.

Podniósł się i ruszył ostrożnie w stronę drugiego końca stołu. Kajdany zatrzymały go po pierwszym kroku, ale wyciągnął się na błącie, sięgając niecierpliwymi palcami w stronę zdobyczy. Prawie już go dotknął, jeszcze trochę i miał go złapać. Napinał się i wyciągał, ale klucz nadal był poza zasięgiem. Rzucił się do przodu, dopóki kajdany nie wpiły się w ciało, ale wszystko na nic. Wrócił na ławę i wpatrywał się spode łba w otwarte drzwi i klucz. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że był częścią przemyślanego planu wyrafinowanych tortur, wcale nie mniej dokuczliwych przez to, że nie polegały na cierpieniu fizycznym.

Przez chwilę poddał się bezcelowej rozpacz i czarnym myślom, po czym zebrał się w sobie, rozchmurzył czoło i powrócił do przerwane go posiłku. Nie zamierzał dawać strażnikom satysfakcji z wiedzy, że udało im się dotkliwie go zranić. Kiedy jadł, przyszło mu do głowy, że przesuwając stół mógłby przyciągnąć klucz do siebie, ale kiedy spróbował to zrobić, okazało się, że kiedy był nieprzytomny, mebel przymocowano solidnie do podłogi. Gahan uśmiechnął się znowu i jadł dalej.

\*

Kiedy strażnicy opuścili celę, w której zamknięto Gheka, kaldan zszedł z karku rykora na stół. Napił się nieco, po czym pokierował dłońmi rykora do jedzenia i reszty wody. Bezrozumne stworzenie rzuciło się na nie łapczywie. Kiedy jadło, Ghek przeszedł jak pajak

na drugi koniec stołu, gdzie leżał klucz do kajdan. Ujął go szczypcami, zeskoczył na podłogę i pomknął w stronę otworu jednej z nor, w którym zniknął. Od dawna przyglądał się wejściom do podziemnych nor. Nie tylko przemawiały do jego upodobań, ale sugerowały dobry schowek na klucz, a wreszcie źródło jedyne go rodzaju pożywienia, jakie sprawiało mu przyjemność: świeżego mięsa i krwi.

Ghek nigdy nie jadł ulsio, ponieważ olbrzymie marsjańskie szczury, których mięso i krew stanowiły przysmak kaldanów, już dawno temu wyginęły w Bantoom. Posiadał za to w niemal niezmiennym stanie wspomnienia wszystkich swoich przodków, stąd wiedział, że to ulsio zamieszkiwał tunele i że jego mięso było smaczne. Wiedział też, jak wygląda, i jakie ma zwyczaje, choć nie widział nigdy ani samego zwierzęcia ani nawet jego obrazu. Podobnie jak my hodujemy zwierzęta, starając się rozwijać w nich pożądane cechy fizyczne, kaldany przekazują sobie z pokolenia na pokolenie określone cechy umysłu, w tym pamięć i wspomnienia, dzięki którym wytworzyły coś w rodzaju instynktu sięgającego ponad poziom indywidualnego umysłu, którym posługiwały się i kierowały dzięki wspomnieniom przodków. My sami, bez wątpienia, nosimy w sobie wiele odczuć i doświadczeń naszych ojców, docierających do nas tylko w snach lub niejasnych, uporczywych przeczuciach, że doświadczyliśmy już kiedyś chwilowej fazy obecnego życia. Gdybyśmy tylko potrafili przywołać je na zawołanie! Ujrzelibyśmy przed sobą zapomnianą historię zaginionych epok poprzedzających nasze istnienie. Moglibyśmy nawet przechadzać się w towarzystwie Boga pod gwiazdami w Jego ogrodzie, kiedy ludzie byli dopiero pomysłem w Jego głowie.

Ghek zszedł nachylonym ostro tunelem przez jakieś dziesięć stóp, po czym znalazł się w rozkosznie zawiłym labiryncie! Poczul się podekscytowany. To dopiero było życie! Zupełnie bez lęku zmierzał prosto do celu, jak ty byś szedł do kuchni w domu. Cel był położony nisko w sferycznej jamie wielkości mniej więcej sporej beczki. Tutaj, w gnieździe ze strzępów pogryzionych futer i jedwabi, spoczywało sześć małych ulsio.

Kiedy wróciła matka, było już tylko pięć małych i wielkie, podobne do pająka stworzenie, na które rzuciła się natychmiast. Potężne szczypce pochwyciły ją i unieruchomiły, ciągnąc powoli za szyję w stronę okropnej paszczy. Po chwili była już martwa.

Ghek mógłby zostać w gnieździe przez dłuższy czas, ponieważ miał tu zapas pożywienia na wiele dni; zamiast tego jednak, zajął się badaniem labiryntu. Odkrył, że tunele prowadzą do wielu cel w podziemiach Manator, a wędrując ścianami w górę dotarł do pomieszczeń nad powierzchnią. Po drodze natknął się na wiele wymyślnych pułapek, zatrute jedzenie i inne ślady nieustającej walki, toczonej przez mieszkańców miasta z odrażającymi stworzeniami żyjącymi w podziemiach ich domów i budynków publicznych.

Podczas wypraw nie tylko zbadał ogromną sieć tuneli sięgających wszystkich części miasta, ale przekonał się też, że większość z nich była bardzo stara. Ulsio musiały wynieść stąd całe tony ziemi. Dość długo zastanawiał się, w jaki sposób się jej pozbyły, aż zszedłszy długim i szerokim tunelem, wyczuł przed sobą pędzącą z hukiem wodę i stanął zaraz na brzegu wielkiej, podziemnej rzeki, niewątpliwie dopływającej przez cały świat w stronę podziemnego Morza Omean. To w jej rwący nurt niezliczone pokolenia szczurów kopiących rozległy labirynt zrzuciły piach.

Ghek nie zatrzymywał się dłużej nad rzeką, ponieważ w swoich na pozór bezcelowych wędrówkach kierował się konsekwentnie realizowanym celem. Wybierał tunele, które zdawały się prowadzić do lochów lub innych pomieszczeń w mieście, i badał je, zwykle ukryty w wylocie, dopóki nie przekonał się, że nie znalazł tego, czego szukał. Przemieszczał się szybko na pajęczych nogach, pokonując w krótkim czasie niezwykle odległości.

Kiedy poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem, postanowił wrócić do celi, w której zostawił rykora i zająć się jego potrzebami. Podeszedł do końca tunelu prowadzącego do celi, zwolnił i zatrzymał się tuż przed wylotem, aby przyjrzeć się pomieszczeniu. Zauważył, że w drzwiach po drugiej stronie celi pojawił się zniecała jakiś wojownik. Rykor leżał na stole, macając dłońmi na oślep w poszukiwaniu jedzenia. Ghek ujrzał, że wojownik przystanął i ogarnięty nagłym zdumieniem, wpatrywał się w rykora. Otworzył przy tym szeroko oczy, a miedziany brąz skóry na policzkach ustąpił szarej bladości. Wojownik cofnął się, jakby ktoś uderzył go w twarz. Stał przez chwilę, obezwładniony grozą, po czym wydał zdławiony okrzyk, odwrócił się i uciekł. Ghek po raz kolejny żałował, że nie potrafił się uśmiechać.

Wszedł szybko do celi, wpełzł na blat stołu i usadowił się na barkach rykora, po czym czekał. Kto wie, czy Ghek, choć nie potrafił się uśmiechać, nie posiadał przypadkiem poczucia humoru? Siedział tak przez pół godziny, aż dotarły do niego odgłosy ludzi zbliżających się kamiennym korytarzem. Słyszał szcęk broni uderzającej o skalne ściany, wskazujący, że strażnicy poruszali się biegiem. Tuż przed wejściem do celi zwolnili jednak i zaczęli iść ostrożniejszym krokiem. Prowadził jakiś oficer; tuż za nim szedł z otwartymi szeroko oczami i wciąż lekko pobladłą twarzą wojownik, który niedawno wybiegł z lochu. Zatrzymali się w wejściu. Oficer odwrócił się do wojownika ze srogą miną, wskazując Gheka palcem.

– Przecież to stworzenie tam siedzi! Jak śmiałeś okłamać swojego dwara?

– Przysięgam, że powiedziałem prawdę – zawołał wojownik. – Jeszcze przed chwilą ten stwór leżał bez głowy na stole! Przodkowie, niech zginę na miejscu, jeśli mówię nieprawdę!

Oficer wyglądał na zbitego z tropu. Marsjanie rzadko, o ile w ogóle, kłamią. Podrapał się po głowie, po czym zwrócił się do Gheka.

– Od jak dawna tu jesteś? – zapytał.

– To wiedzą chyba najlepiej ci, którzy wtrącili mnie tu i przykuli do ściany – usłyszał w odpowiedzi.

– Widziałeś tego wojownika, kiedy wszedł tu parę minut temu?

– Widziałem go – odparł Ghek.

– I siedziałeś tam, gdzie teraz? – ciągnął oficer.

– Widzisz ten łańcuch?! Gdzie indziej mógłbym siedzieć? – zawołał Ghek. – Czy wszyscy ludzie w tym mieście to durnie?

Za stojącą z przodu dwójką stłoczyło się trzech innych wojowników, którzy wyciągali szyję, żeby przyjrzeć się więźniowi, równocześnie śmiejąc się z zakłopotania towarzysza. Oficer posłał Ghekowi ponure spojrzenie.

– Masz równie jadowity język jak ta samica bantha, którą jeddak zesłał do Wież Jetana – oznajmił.

– Mówisz o młodej kobiecie, którą złapano wraz ze mną? – zapytał kaldan, którego bezbarwny głos i pozbawiona wyrazu twarz nie zdradzały w żaden sposób odczuwanego zaciekawienia.

– Owszem, o niej – odpowiedział dwar, po czym odwrócił się do wojownika, który go wezwał. – Wracaj do koszar. Zostaniesz tam do następnych igrzysk. Może do tego czasu twój wzrok przestanie płatać ci figle.

Strażnik omiół Gheka jadowitym spojrzeniem i odwrócił się. Oficer pokręcił głową.

– Nie rozumiem – mruknął. – U-Van zawsze był prawdomównym, godnym zaufania żołnierzem. A może...? – utkwiał w kaldanie przeszywające spojrzenie. – Twoja głowa dziwnie nie pasuje do reszty ciała – stwierdził. – Nasze legendy mówią o pradawnych istotach, które potrafiły wywoływać zwidy w umysłach ludzi. Może jesteś jedną z nich, a U-

Van padł ofiarą twoich ciemnych mocy. W takim razie O-Tar będzie wiedział, co z tobą zrobić. – Okręcił się na pięcie i gestem kazał wojownikom pójść za sobą.

– Zaczekaj! – zawołał Ghek. – Przyślij mi jedzenie, chyba że chcecie mnie tu zagłodzić.

– Przecież jadłeś – rzucił w odpowiedzi wojownik.

– Zamierzacie karmić mnie tylko raz dziennie? – zapytał kaldan. – Muszę jeść częściej. Przyślij mi posiłek.

– Dostaniesz go – odparł oficer. – Nikt nie powie, że więźniowie w Manator są źle karmieni. Prawa naszego miasta są słuszne. – I odszedł.

Zaledwie ucichły odgłosy towarzyszące ich przejściu, Ghek zszedł z karku rykora i pomknął do nory, w której schował klucz. Przyniósł go i zdjął kajdany z nogi stworzenia, zapiął je puste i ukrył klucz znowu, nieco głębiej. W końcu wrócił na miejsce na karku bezrozumnego stworzenia. Po chwili usłyszał w korytarzu zbliżające się kroki. Podniósł się wtedy i ukrył w jednym z pozostałych tuneli. Czekał, nasłuchując. Usłyszał, jak strażnik wszedł do celi i zatrzymał się. Dobiegł go zduszony okrzyk, po którym rozległ się brzęk metalowych naczyń, kiedy wojownik rzucił tacę na stół, a wreszcie oddalające się szybko kroki, które zaraz ucichły.

Ghek wrócił niezwłocznie do celi, wyciągnął klucz z nory i ponownie zapiął kajdany na nodze rykora. Potem schował klucz w norze i usiadł na stole obok bezgłowego ciała, pomagając mu znaleźć jedzenie. Kiedy rykor posilał się, Ghek nasłuchiwał nieuniknionego szurania sandałów i szczęku broni. Nie musiał długo czekać. Usłyszawszy je, wspiął się na kark rykora. W celi znów zjawił się oficer wezwany wcześniej przez U-Vana, w towarzystwie trzech wojowników. Zaraz za nim stał najwyraźniej ten, który przyniósł jedzenie, ponieważ ujrawszy siedzącego przy stole Gheka, otworzył szeroko oczy, a kiedy dwar obrzucił go surowym spojrzeniem, zrobił naprawdę głupią minę.

– Było, jak mówiłem – zawołał. – Nie było go tu, kiedy przyniosłem jedzenie.

– Ale teraz jest – odpowiedział twardym głosem oficer. – A kajdany są zapięte. Patrz! Nikt ich przecież nie otwierał... ale gdzie jest klucz? Powinien być naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu. Gdzie jest klucz, ty nędzna kreaturo? – ryknął na Gheka.

– Czy ja, więzień, mam wiedzieć lepiej niż mój dozorca, gdzie podziwia się klucz do moich kajdan? – odciął się kaldan.

– Leżał tutaj – stwierdził oficer, wskazując drugi koniec stołu.

– Widziałeś go tam? – zapytał Ghek.

Oficer zawahał się.

– Nie, ale musiał tam być – zripostował.

– Widziałeś, żeby leżał tam jakiś klucz? – zapytał Ghek, wskazując kolejnego wojownika.

Zapytany potrząsnął głową.

– A ty? Może ty? – ciągnął kaldan, zwracając się do pozostałych.

Obaj przyznali, że nie widzieli wcale klucza.

– A nawet gdyby tam był, w jaki sposób miałbym go osiągnąć? – mówił dalej.

– Owszem, to niemożliwe – przyznał oficer. – Ale dość tego! I-Zav, będziesz pełnił straż przy więźniu, dopóki nie zostaniesz zluźowany.

I-Zav nie wyglądał na uszczęśliwionego i obrzucił Gheka podejrzliwym spojrzeniem, podczas gdy dwar i pozostali wojownicy odwrócili się, zostawiając go niefortunnemu losowi.

### ROZDZIAŁ 13

## CZYN ROZPACZY

E-Med ruszył przez komnatę w stronę Tary i niewolnicy Lan-O. Brutalnie chwycił księżniczkę za ramię.

– Wstań! – polecił. Tara strąciła jego dłoń, podniosła się z posłania i cofnęła.

– Ręce precz od księżniczki Helium, bydlaku! – ostrzegła.

E-Med roześmiał się głośno.

– Myślisz, że zagram o ciebie, nie przekonawszy się wpierw, czy nagroda jest tego warta? – zapytał. – Chodź no tu!

Dziewczyna wyprostowała się, składając ręce na piersi. E-Med nie zauważył, że wsunęła szczupłe palce prawej dłoni pod szeroki skórzany pas uprząży na lewym ramieniu.

– Pożalujesz tego, jeśli O-Tar się dowie – zawołała niewolnica. – Nie ma takiego prawa, które pozwalałoby ci ją mieć, dopóki nie wygrasz jej w uczciwej walce.

– A co go obchodzi jej los? – odparł E-Med. – Może nie słyszałem, że znieważyla jeddaka, obsypując go wyzwiskami? Na przodków, może nawet mianowałby tego, kto ją poskromi, jedem. – Ruszył znowu w stronę Tary.

– Zaczekaj! – powiedziała dziewczyna cichym, spokojnym głosem. – Może nie wiesz, co robisz. Kobiety Helium są w naszym kraju świętością. Sam jeddak sięgnąłby po miecz w obronie honoru choćby najniższej urodzonej, a dla mojej matki, Dejah Thoris, toczyliśmy wojny z największymi mocarstwami Barsoom. Jesteśmy tylko śmiertelnikami i można nas zabić, ale nie możemy sobie pozwolić na utratę honoru. Możesz o mnie grać, ale choćbyś nawet wygrał, nigdy nie odbierzesz nagrody. Możesz naciskać dalej, jeśli zależy ci na moich zwłokach, ale musisz wiedzieć, że nie na darmo płynie w moich żyłach krew Wodza Barsoom. To tyle.

– Nie wiem nic o Helium, a naszym wodzem jest O-Tar – odparł E-Med. – Wiem za to, że wolałbym przyjrzeć się nagrodzie, zanim o nią zagram. Chcę spróbować warg kobiety, która po kolejnych igrzyskach zostanie moją niewolnicą, a musisz wiedzieć, że nie warto pobudzać mnie do gniewu. – Mówiąc to zwięził oczy, upodabniając się do warczącego zwierzęcia. – Jeśli w to wątpisz, zapytaj niewolnicy.

– To prawda – wtrąciła się Lan-O. – Nie wystawiaj go na próbę, jeśli ci życie miłe.

Ale Tara nie zareagowała. Powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Stała w milczeniu, obrócona przodem do zbliżającego się, krępego wojownika. Podszedł bliżej, złapał ją z nienacka i pochylił, próbując przyciągnąć jej wargi do swoich.

Lan-O zauważyła, że księżniczka Helium odwróciła się lekko i szybkim ruchem wyrwała prawą dłoń spod uprząży na piersi. Przesunęła ją pod ręką E-Meda i uniosła nad jego barkiem. Dopiero teraz niewolnica zauważyła, że Tara trzymała w niej długie, wąskie ostrze. Wargi wojownika zbliżały się do ust księżniczki, ale nie zdążył ich dotknąć, ponieważ wyprostował się nagle z krzykiem na ustach, po czym opadł bezwładnie, niczym zrzucone okrycie, i legł skulony na podłodze. Tara pochyliła się i wytarła ostrze w jego uprząż.

Lan-O wpatrywała się w zwłoki zdjeta grozą, szeroko otwartymi oczami.

– Zabiją nas obie za to – powiedziała głośno.

– Kto chciałby żyć jako niewolnik w Manator? – spytała Tara.

– Nie jestem taka odważna jak ty – powiedziała niewolnica – a życie jest słodkie, poza tym zawsze jest jakaś nadzieja.

## Szachiści Marsa

---

– Owszem, życie jest słodkie – zgodziła się Tara. – Ale honor to świętość. Nie bój się, kiedy przyjdą, powiem prawdę, że nie przyłożyłaś do tego ręki i nie miałaś szans mnie powstrzymać.

Przez chwilę niewolnica zastanawiała się głęboko. Nagle w jej oczach pojawił się błysk.

– Może jest sposób, żeby oddalić od nas podejrzania – powiedziała. – Przy pasie ma klucz do tej celi. Otworzymy drzwi i wyciągniemy go stąd. Może nawet uda nam się gdzieś go schować.

– Dobrze! – zawołała Tara. Od razu przystąpiły do realizacji planu Lan-O. Znalazły klucz i otworzyły drzwi, po czym we dwójkę na pół wyniosły, na pół wyciągnęły zwłoki E-Meda z celi i po schodach na niższe piętro, gdzie zdaniem niewolnicy mogły znaleźć puste pomieszczenia. Pierwsze drzwi, które wypróbowały, okazały się otwarte i dziewczęta wniosły makabryczny ciężar do niewielkiego pomieszczenia z jednym oknem. Pokój, umeblowany z pewną dozą wygody, a nawet luksusu, wskazywał, że wykorzystywano go raczej w roli salonu niż celi. Ściany na wysokość około siedmiu stóp od podłogi pokrywała boazeria, a sufit i tynki zdobiły wyblakłe malowidła z przeszłości.

Wędrując wzrokiem po pomieszczeniu, Tara zaciekała się fragmentem boazerii, który zdawał się odstawać od sąsiedniego panelu. Podeszła szybkim krokiem do ściany i odkryła, że pionowy bok panelu wystawał o jakieś pół cala przed pozostałe. Możliwe wyjaśnienie tego faktu zastrzyło jej ciekawość. Działając pod jej wpływem, chwyciła za odstający bok i pociągnęła. Płyta obróciła się powoli w jej stronę, odsłaniając ciemny otwór w murze.

– Spójrz, Lan-O! – zawołała. – Patrz, co znalazłam: dziurę, gdzie schowamy to coś, co leży na podłodze.

Lan-O podeszła do niej. Zbadały razem ciemny otwór, za którym odkryły niewielki podest prowadzący na wąską pochylnię nikałą w dół w nieprzeniknionym mroku. Podłogę przy wejściu zalegała gruba warstwa kurzu, wskazująca, że minęło dużo czasu, od kiedy ludzka stopa dotknęła ukrytego przejścia, zapomnianego przez współczesnych mieszkańców Manator. Zaciągnęły zwłoki E-Meda na podest i zostawiły je tam. Kiedy opuszczały ciemną i groźną wnękę, Lan-O chciała zatrzaskać panel, ale Tara powstrzymała ją w samą porę.

– Zaczekaj! – powiedziała i zaczęła badać ramę i słupek drzwi.

– Pospiesz się! – szepnęła niewolnica. – Jeśli ktoś tu wejdzie, będzie po nas.

– Wiedza, jak otworzyć te drzwi, może się nam jeszcze przydać – odparła Tara, po czym dotknęła nagle stopą fragmentu rzeźbionej podstawy na prawo od odchylonej płyty. – Tak! – westchnęła z satysfakcją w głosie i docisnęła panel, który zamknął się bez śladu. – Chodźmy! – rzuciła, ruszając w stronę wyjścia z komnaty.

Dotarły niezauważone do swojej celi, po czym Tara zamknęła drzwi od środka i schowała klucz w ukrytej kieszeni uprząży.

– Niech przyjdą – powiedziała. – Niech pytają! Skąd dwie biedne, przetrzymywane tu kobiety mają wiedzieć, gdzie podział się ich szlachetny dozorca? No skąd, Lan-O?

– Pojęcia nie mam – przyznała Lan-O, odpowiadając uśmiechem.

– Opowiedz mi o mężczyznach z Manator – powiedziała zaraz Tara. – Czy wszyscy są tacy jak E-Med? A może niektórzy przypominają A-Kora? Zrobił na mnie wrażenie dzielnego i szlachetnego człowieka.

– Nie różnią się zbyt wiele od mieszkańców innych krain – odpowiedziała Lan-O. – Zdarzają się wśród nich i dobrzy, i źli. To dzielni i silni wojownicy, którzy wobec rodaków potrafią zachować się szlachetnie i honorowo, ale w kontaktach z obcymi znają tylko prawo siły. Dla słabych i niefortunnych mieszkańców innych krajów czują wyłącznie pogardę, która rozbudza w nich najgorsze odruchy, co tłumaczy niewątpliwie sposób w jaki traktują swoich niewolników.



– Ale dlaczego pogardzają ludźmi, którzy mieli nieszczęście wpaść w ich ręce? – zapytała Tara.

– Nie wiem – oznajmiła Lan-O. – Zdaniem A-Kora to dlatego, że ich kraj nigdy nie doznał udanego najazdu. Podczas swoich skrytych wypadów nigdy nie zaznali klęski, ponieważ nie czekali, aby zmierzyć się z większymi siłami wroga. Stąd zaczęli uważać się za niezwycięzonych i gardzić innymi ludami, które mają ponoć ustępować im bitnością i umiejętnościami wojowników.

– Przecież A-Kor jest jednym z nich – stwierdziła Tara.

– Owszem, jest synem jeddaka, O-Tara – odparła Lan-O. – Ale jego matką była uwięziona tu księżniczka Gathol. A-Kor szczyli się tym, że w jego żyłach płynie wyłącznie krew matki. Rzeczywiście różni się od pozostałych. Mimo że z natury jest bardziej szlachetny i łagodny, nawet najwięksi wrogowie nie ośmielają się kwestionować jego odwagi, a jego sprawność w walce na miecze i włócznie, oraz w ujeżdżaniu thoatów, słynie w całym Manator.

– Jak myślisz, co z nim zrobią? – zapytała Tara.

– Każą mu wziąć udział w igrzyskach – odpowiedziała Lan-O. – Może, jeśli O-Tar nie rozgniewał się zbyt mocno, będzie musiał zagrać tylko w jednej partii. Wtedy może uda mu się zachować życie. Ale jeśli jeddak zechce pozbyć się go na dobre, skaże go na udział w całych igrzyskach, a jeszcze nikt nie przeżył wszystkich dziesięciu partii, a może raczej nikt, kto musiał brać w nich udział z wyroku O-Tara.

– Co to za igrzyska? Nie rozumiem – powiedziała Tara. – Słyszałam, jak wspominali coś o jetanie, ale przecież w tej grze nikt nie ginie. W domu często w nią gramy.

– Ale nie w ten sam sposób, co w Manator – oświadczyła Lan-O. – Podejdz do okna.

Zbliżyły się obie do okna wychodzącego na wschód.

Tara ujrzała pod sobą rozległe pole, zamknięte ze wszystkich stron niskim budynkiem i strzelistymi wieżami, z których jedna była jej więzieniem. Arenę otaczały rzędy siedzeń, ale uwagę księżniczki przykuła przede wszystkim olbrzymia plansza do jetana, wytyczona na powierzchni pola przez wielkie czarne i pomarańczowe pola.

– Tu gra się żywymi figurami o wielkie stawki, zwykle o kobietę, którą jest niewolnica o wyjątkowej urodzie. O-Tar zagrałby o ciebie sam, gdybyś go nie rozgniewała, ale teraz będziesz nagrodą w otwartej grze dla kryminalistów i niewolników. Oddadzą cię temu, kto zwycięży – nie jednemu wojownikowi, a wszystkim graczom, którzy przeżyją grę.

Tara błysnęła oczami, ale nie powiedziała nic.

– Kierujący grą wcale nie muszą brać w niej udziału – ciągnęła dziewczyna. – Zwykle siedzą na tych dwóch tronach po obu stronach planszy, skąd kierują ruchami graczy.

– Co w tym groźnego? – zapytała Tara. – Zbitą figurę zdejmuje się po prostu z planszy, to zasada niemal tak stara jak cywilizacja na Barsoom.

– Ale w Manator, gdzie gra się żywymi ludźmi, ulega zmianie – wyjaśniła Lan-O. – Kiedy jeden z graczy trafia na pole zajęte przez figurę przeciwnika, walczą ze sobą na śmierć i życie, a pole przypada zwycięzcy. Każdy z graczy ma na sobie strój przedstawiający figurę, którą udaje. Poza tym nosi też znak wskazujący, czy jest niewolnikiem, skazańcem odbywającym wyrok, czy ochotnikiem. Jeśli wykonuje wyrok, pokazana jest również liczba partii, w których musi wziąć udział. Stąd kierujący grą wiedzą, którymi figurami mogą ryzykować, a które powinni zachować. Ponadto, na szanse graczy ma duży wpływ przydzielona im pozycja. Ci, których chcą się pozbyć, dostają zwykle rolę Pantanów, która daje najmniejsze szanse na przeżycie.

– Czy kierujący grą czasem biorą w niej udział? – zapytała Tara.

## Szachiści Marsa

---

– Owszem – powiedziała Lan-O. – Zdarza się często, że dwóch wojowników, choćby i o wysokiej pozycji, pokłóci się ze sobą. O-Tar każe im wtedy rozstrzygnąć sprawę na arenie. Włączają się wtedy do gry i z mieczem w ręku kierują figurami z pozycji Wodza. Zwykle dobierają drużynę spośród najlepszych wojowników i niewolników, o ile posiadają dość władzy, by ich posiadać; mogą też poprosić o pomoc przyjaciół lub użyć więźniów z podziemi. Podobne gry to najwspanialsze widowisko, jakie można tu zobaczyć. Często giną sami wodzowie.

– A zatem to tu wymierza się w Manator sprawiedliwość? – zapytała Tara.

– Na ogół – odparła Lan-O.

– Jak w takim razie więzień może odzyskać wolność? – dopytywała księżniczka.

– Jeśli jest mężczyzną, musi przeżyć dziesięć partii – odpowiedziała Lan-O.

– Ale nikomu się to nie udało? – spytała Tara. – A co z kobietami?

– Żaden przybysz spoza Manator nie przeżył dziesięciu partii – oznajmiła dziewczyna. – O ile wolą dożywotnią służbę od walki, wolno im wybrać niewolę. Oczywiście, jak wszyscy zdolni do noszenia broni, mogą zostać wezwani do wzięcia udziału w grze, ale ich szanse na przeżycie wzrastają wtedy, ponieważ nie mogą już zdobyć wolności.

– Opowiedz mi o kobietach – naciskała Tara. – W jaki sposób może odzyskać wolność kobieta?

Lan-O roześmiała się.

– To bardzo proste – zawołała drwiącym głosem. – Musi tylko znaleźć wojownika, który weźmie za nią udział w dziesięciu kolejnych grach i przeżyje.

– Słuszne są prawa Manator – zacytowała Tara, z szyderstwem w głosie.

Usłyszała kroki na zewnątrz celi. Chwilę później w zamku obrócił się klucz i drzwi uchyliły się. Stał w nich jakiś wojownik.

– Widziałyście dwara E-Meda? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Tara. – Był tu jakiś czas temu.

Mężczyzna omiół spojrzeniem pustą celę, po czym przyjrzał się badawczo Tarze, a następnie Lan-O. Minę miał coraz bardziej zdziwioną. Podrapał się po głowie.

– Dziwne – stwierdził. – Co najmniej dwudziestu ludzi widziało, jak wchodził do tej wieży. Prowadzi z niej tylko jedno strzeżone wyjście, ale nikt nie widział, jak wyszedł.

Tara zamaskowała ziewnięcie wierzchem dłoni.

– Księżniczka Helium zgłodniała, dobry człowieku – zaintonowała przeciągle. – Poinformuj swojego pana, że mam ochotę na posiłek.

Po godzinie przyniesiono jej jedzenie. Służącej towarzyszył oficer i kilku wojowników. Dowódca przeszukał starannie celę, ale nie znalazł żadnych dowodów, aby stało się tu coś złego. Na szczęście dla Tary, rana, dzięki której wysłała E-Meda na spotkanie z przodkami, nie krwawiła.

– Widziałas dwara ostatnia, kobieto – powiedział oficer, zwracając się do Tary. – Powiedz prawdę: czy widziałas, jak stąd wychodził?

– Widziałam – odpowiedziała Tara.

– Dokąd się udał?

– Skąd mam wiedzieć? Sądzisz, że potrafię przeniknąć przez zamknięte drzwi? – w głosie dziewczyny słychać było drwinę.

– Tego nie wiem – stwierdził oficer. – Dziwne rzeczy działy się w celi twojego towarzysza w podziemiach. Może potrafisz przeniknąć przez zamknięte drzwi równie łatwo, jak on dokonuje pozornie niemożliwych rzeczy.

– O kim mówisz? – zawołała. – Moim pantanie, Turanie? A zatem żyje? Powiedz mi, jest cały i zdrowy?

– Mówię o stworzeniu zwanym Ghek, które twierdzi, że jest kaldanem – odpowiedział dowódca.

– Ale co z Turanem! Powiedz, padwarze, słyszałeś coś o nim? – dopytywała Tara nagłym tonem, nachylając się w stronę oficera i rozchylając usta w oczekiwaniu.

W oczach obserwującej ją Lan-O pojawił się miękki blask zrozumienia, ale dowódca zignorował pytanie Tary. Cóż obchodził go los jakiegoś niewolnika?

– Ludzie nie rozplývają się w powietrzu – warknął. – A jeśli E-Med nie znajdzie się wkrótce, sprawą może zająć się osobiście O-Tar. Ostrzegam cię, kobieto; wielu uważa, że ten stwór Ghek to jeden z Korfali, którzy potrafią rozkazywać złowrogim duchom zmarłych, aby zdobyć władzę nad żywymi. Jeśli i ty jesteś jednym z nich, to wiedz, że O-Tar nie okaże ci litości, jeśli nie przywołasz z powrotem E-Meda.

– Co to za brednie? – zawołała dziewczyna. – Powtarzałam dziesiątki razy, że jestem księżniczką Helium. Nawet gdyby te osławione Korfale istniały naprawdę, w co wierzą chyba tylko najbardziej naiwni, legendy mówią, że opętywały tylko najpodlejszych przestępców. Jesteś głupcem, człowieku, tak samo jak wasz jeddak i wszyscy jego ludzie! – Odwróciła się do padwara plecami, patrząc przez okno ponad amfiteatrem i dachami miasta w stronę niskich wzgórz, i leżącej za nimi równiny oraz wolności.

– Skoro aż tyle wiesz o Korfalach – stwierdził oficer – to wiesz też na pewno, że choć zwykli ludzie nie mogą ich skrzywdzić, mogą zginąć z ręki jeddaka!

Dziewczyna nie odpowiedziała i mimo pogroźek oficera i okazywania gniewu nie zamierzała już nic dodać. Wiedziała, że z wyjątkiem jeddaka, nikt w Manator nie ośmieliłby się jej teraz skrzywdzić. Po chwili padwar wyszedł, zabierając ze sobą żołnierzy. Kiedy odeszli, Tara stała przez dłuższy czas, przypatrując się miastu i zastanawiając się, jakie jeszcze okrutne niespodzianki szykował jej los. Stała pogrążona w tych cichych rozmyśleniach, kiedy z dołu dotarły do niej strzępy marszowej muzyki: głębokie, łagodne tony trąb jeźdźców, czyste i dźwięczne nuty trąbek maszerującej piechoty. Dziewczyna uniosła głowę i rozejrzała się, nasłuchując. Stojąca przy zachodnim oknie po drugiej stronie celi Lan-O przywołała ją gestem. Miały stamtąd widok na ulice miasta aż do Bramy Nieprzyjaciół, przez którą wchodziły właśnie do Manator oddziały żołnierzy.

– To wielki jed – powiedziała Lan-O. – Nikt inny nie ośmieliłby się wjechać do Manator przy dźwięku trąb. To U-Thor, jed Manatos, drugiego co do wielkości miasta kraju. Wszyscy nazywają go wielkim jedem, a ponieważ lud go uwielbia, O-Tar darzy go nienawiścią. Dobrze poinformowani twierdzą, że wystarczy najmniejsza prowokacja, aby popchnąć obu do wojny. Nikt nie wie, jak skończyłoby się takie starcie, bo chociaż lud Manator szanuje swojego jeddaka, to nie kocha go. U-Thora kochają, ale nie jest jeddakiem. – Tara zrozumiała, jak tylko mieszkaniec Barsoom potrafi, ile znaczenia kryło się w tym prostym zdaniu.

Lojalność Marsjan wobec ich jeddaka jest niemal instynktowna, ponadto jest uznawana za ważniejszą od instynktu samozachowawczego, co nie dziwi wcale w przypadku rasy, której religia obejmuje kult przodków, rodziny potrafią prześledzić swoje korzenie aż do prehistorii, a jeddak zasiada na tronie zajmowanym od tysięcy lat przez jego przodków, którzy rządili bezpośrednimi przodkami jego własnych poddanych. Zdarzało się, że złych władców strącano z tronu, ale choć prawo Barsoom daje jedom przywilej wyboru jeddaka, rzadko zastępował ich ktoś spoza rodziny panującej.

– Czy U-Thor to wobec tego dobry i sprawiedliwy człowiek? – zapytała Tara.

– Nie ma lepszego – odparła Lan-O. – W Manatos do gry w jetana zmuszają tylko kryminalistów zasługujących na śmierć, a i wtedy gra jest uczciwa i daje im się szansę zdobycia wolności. Pozwalają też grać ochotnikom, ale wtedy walka nie toczy się na śmierć i

życie. Rozstrzyga pierwsza krew, a czasem nawet punkty za walkę na miecze. Tam widzą w tej grze sztukę walki, tu wyłącznie okazję do krwawej jatki. U-Thor sprzeciwia się również odwiecznym wyprawom po niewolników oraz polityce, która utrzymuje Manator w wiecznej izolacji od pozostałych ludów Barsoom. Ale to nie on jest jeddakiem, więc nic się nie zmienia.

Dziewczyny obserwowały w milczeniu kolumnę wojska przesuwaną się szeroką aleją od Bramy Nieprzyjaciół w stronę pałacu O-Tara. Widziały pełen przepychu, barbarzyński pochod: pokrytych farbami wojowników o wysadzanych klejnotami uprzężach i rozkołysanych pióropuszech, złośliwe, kwiczące głośno thoaty przykryte wyszywanymi bogato derkami, którym łopotały nad głowami proporce osadzone na włóczniach jeźdźców, piechurów maszerujących równym krokiem po trotuarze, cichych dzięki sandałom ze skóry zitidara. Za każdym utanem ciągnęła kolumna barwnych wozów zaprzężonych w olbrzymie zitidary, które wiozły sprzęt oddziału, któremu były przydzielone. Wielką bramę mijali jeden oddział za drugim, a mimo to, kiedy czoło kolumny dotarło do pałacu, nie wszyscy żołnierze zdążyli wejść do miasta.

– Spędziłam tu wiele lat – powiedziała Lan-O – ale jeszcze nie widziałam, żeby wielki jed sprowadził do Manator aż tylu ludzi.

Tara przyglądała się maszerującemu wojsku spod wprzymkniętych powiek, próbując zobaczyć w nim armię ukochanego Helium przybywającą na ratunek swojej księżniczce. Tą wspaniałą postacią na grzbiecie wielkiego thoata mógł być sam John Carter, za którym podążały oddziały gwardii królewskiej. Dziewczyna otworzyła oczy, spojrzała na armię pokrytych farbami, strojnych w pióra barbarzyńców i westchnęła. Mimo to, obserwowała ich nadal, zafascynowana tym bojowym pochodem. Ponownie rzuciły się jej w oczy grupki milczących postaci na balkonach. Nikt nie witał sprzymierzonych wojsk machaniem chusteczek, głośnymi okrzykami ani deszczem kwiatów czy klejnotów, które zobaczyłaby na pewno w Helium.

– Wygląda na to, że ludzie nie są zbyt przyjaźnie nastawieni do wojowników z Manatos – odnotowała. – Nie zauważyłam, żeby choć jeden z ludzi na balkonach próbował ich jakoś powitać.

Niewolnica spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– To ty nie wiesz?! – zawołała. – Przecież to... – ale nie dane jej było dokończyć. Drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich oficer.

– O-Tar, jeddak, wzywa do siebie niewolnicę Tarę! – oznajmił.

### ROZDZIAŁ 14

## Z WOLI GHEKA

Turan czuł coraz większe rozdrażnienie. Czas włókł mu się w łańcuchach, minuty spędzone w monotonnej ciszy celi stawały się godzinami. Niepewność losów ukochanej kobiety sprawiała, że każda godzina zdawała się wiecznością spędzoną w piekle. Nasłuchiwał niecierpliwie odgłosu zbliżających się kroków, żeby zobaczyć żywą istotę i porozmawiać z nią, a przy okazji być może dowiedzieć się czegoś na temat Tary. Po pełnym udręki wyczekiwaniu usłyszał wreszcie szcęk broni i uprzęży. Zbliżali się jacyś ludzie! Wstrzymał oddech w oczekiwaniu. Może byli to wysłani do niego zabójcy: mimo wszystko, przywitałby ich z radością. Próbowałby ich wypytać o księżniczkę, a gdyby okazało się, że o niej nie słyszeli, zachowałby dla siebie położenie kryjówki, w której ją zostawił.

Do celi wszedł oficer w asyście sześciu wojowników prowadzących nieuzbrojonego człowieka, niewątpliwie innego więźnia. Turan przekonał się o tym, kiedy zaprowadzili go pod ścianę i przykuli do pierścienia osadzonego w murze obok. Pantan, nie zwlekając, wziął dowódcę straży na spytki.

– Powiedz – zapytał – czemu mnie tu trzymacie i czy od mojego wejścia do miasta złapano jeszcze jakichś obcych.

– To znaczy kogo? – zapytał oficer.

– Kobiętę i mężczyznę o dziwnej głowie – odparł Turan.

– Możliwe – stwierdził oficer. – Mieli jakieś imiona?

– Kobieta to Tara, księżniczka Helium, a mężczyzna to Ghek, kaldan z Bantoom.

– Znasz ich? – zapytał dowódca.

– Tak – odpowiedział Turan.

– To właśnie chciałem wiedzieć – stwierdził oficer, i poleciwszy żołnierzom iść za sobą, odwrócił się i wyszedł z celi.

– Opowiedz mi o nich! – zawołał w ślad za nim Turan. – Powiedz, co wiesz o Tarze! Czy jest bezpieczna? – Ale żołnierz nie odpowiedział i oddalające się odgłosy kroków wkrótce ucichły.

– Księżniczka była bezpieczna jeszcze jakiś czas temu – powiedział przykuty obok więzień.

Pantan odwrócił się w jego stronę. Ujrzał rosłego, przystojnego mężczyznę, pełnego godności i szlachetnej postawy.

– Widziałeś ją? – zapytał. – Złapali ją? Czy coś jej grozi?

– Trzymają ją w Wieżach Jetana jako nagrodę w następnych igrzyskach – odparł nieznajomy.

– A ty, kim jesteś? – zapytał Turan. – I jak tu trafiłeś?

– Nazywam się A-Kor i jestem dwarem Wież Jetana – odpowiedział więzień. – Znalazłem się tu, bo ośmieliłem się powiedzieć prawdę o naszym jeddaku jednemu z jego oficerów.

– Jaki jest twój wyrok? – zapytał Turan.

– Nie wiem. O-Tar jeszcze nie zdecydował. Ale na pewno skaże mnie na udział w igrzyskach; może nawet we wszystkich dziesięciu partiach. Nasz jeddak nie darzy syna miłością.

– O-Tar jest twoim ojcem? – zapytał Turan.

– Owszem. Jestem synem jego i niewolnicy, Haji z Gathol, która w swoim kraju była księżniczką.

Turan przyjrzał mu się uważnie. Syn księżniczki Haji! Siostrzeniec jego matki! Ten człowiek był jego kuzynem! Gahan dobrze pamiętał tajemnicze zaginięcie księżniczki z całym oddziałem straży osobistej. Podczas powrotu do stolicy z wizyty w odległym mieście, Haja rozplynęła się w powietrzu z całą eskortą. A zatem to było rozwiązaniem tej na pozór nierozwikłanej zagadki? Niewątpliwie tłumaczyło też inne, podobne zaginięcia, które sięgały początków historii Gathol. Turan zmierzył towarzysza badawczym spojrzeniem. Teraz widział wiele podobieństw do rodziny matki. A-Kor był może dziesięć lat młodszy od niego, ale podobne różnice wieku są właściwie nieistotne wśród ludzi, którzy dożywają tysiąca lat, a po osiągnięciu dojrzałości rzadko lub wręcz wcale się nie starzeją.

– Gdzie leży Gathol? – zapytał.

– Prawie prosto na wschód od Manator – odparł A-Kor.

– Jak daleko?

– Od Manator do stolicy Gathol jest jakieś dwadzieścia jeden stopni – powiedział A-Kor.

– Ale granice obu krajów dzieli od siebie niewiele ponad dziesięć stopni. Za to kraina między nimi to pełne poszarpanych skał i przepastnych czeluści pustkowie.

Gahan dobrze znał ten rejon, graniczący od zachodu z jego krajem. Nawet statki powietrzne unikały go z powodu zdradliwych prądów wznoszących wydobywających się z głębokich przepaści i niemal całkowitego braku bezpiecznych lądowisk. Teraz orientował się w położeniu Manator i po raz pierwszy od tygodni wiedział, gdzie szukać rodzinnego Gathol. Na dodatek miał przed sobą człowieka, w którego żyłach płynęła krew jego przodków: człowieka, który znał Manator, jego lud, zwyczaje i okolicę. Człowieka, który mógł wesprzeć go, choćby radą, podczas układania planu ratowania Tary i ucieczki. Ale czy mógł poruszyć ten temat w rozmowie z A-Korem? Mógł przynajmniej spróbować.

– Sądysz, że O-Tar zamierza skazać cię na śmierć? – zapytał. – Dlaczego?

– Taką ma ochotę – odparł A-Kor. – Lud burzy się pod jego rządami żelaznej ręki, i dochowuje mu wierności tylko z powodu lojalności do długiej linii sławnych jeddaków, z której się wywodzi. To zawistny człowiek. Znalazł sposób, żeby pozbyć się większości ludzi, których pochodzenie mogło dać im tytuł do tronu, a którzy cieszyli się wśród ludu sławą dającą im jakiegokolwiek znaczenie. Ponieważ jestem synem niewolnicy, zesłał mnie na mało ważne w jego oczach stanowisko. Mimo to, wciąż jestem jego synem i mam takie samo prawo jak on, aby zasiąść na tronie. Do tego dochodzi fakt, że ostatnimi laty cieszę się rosnącym oddaniem ludzi, zwłaszcza wśród młodszych wojowników, co gotów jestem przypisać określonym cechom charakteru i wykształceniu, jakie otrzymałem od matki. O-Tar uznał jednak, że to skutek moich aspiracji do jego tronu. Jestem przekonany, że wykorzysta to, iż skrytykowałem sposób, w jaki obszedł się z Tarą, aby się mnie pozbyć.

– A gdyby udało ci się uciec i dotrzeć do Gathol? – podsunął Turan.

– Zastanawiałem się nad tym – odparł A-Kor. – Ale czy znalazłbym się w lepszym położeniu? W oczach Gatholian nie byłbym jednym z nich, a kimś obcym. Niewątpliwie obszliby się ze mną tak samo, jak my postępujemy z obcymi w Manator.

– Gdyby udało ci się przekonać ich, że jesteś synem księżniczki Haji, z pewnością przyjęliby cię dobrze – powiedział Turan. – Poza tym, po krótkim okresie pracy w kopalniach diamentów, mógłbyś zdobyć wolność i obywatelstwo.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał A-Kor. – Myślałem, że pochodzisz z Helium.

– Jestem pantanem – stwierdził Turan. – Służyłem w wielu krajach, również w Gathol.

– Dokładnie to samo mówili niewolnicy z Gathol i moja matka, zanim O-Tar odesłał ją do Manatos – rzekł z namysłem A-Kor. – Sądzę, że obawiał się jej wpływów wśród Gatholian i ich potomków, których w całym kraju jest około milion.

– Czy ci niewolnicy posiadają jakąś organizację? – zapytał Turan.

Zanim A-Kor udzielił odpowiedzi, przez dłuższą chwilę patrzył mu prosto w oczy.

– Jesteś człowiekiem honoru – oznajmił. – Widzę to w twojej twarzy, a rzadko myślę się w ocenie ludzi, ale... – Nachylił się w stronę Turana. – ...ściany mają uszy – szepnął, odpowiadając tym samym na pytanie.

Później tego wieczoru zjawili się strażnicy, którzy zdjęli kajdany z nogi Turana i zabrali go do O-Tara. Prowadzili go do pałacu wąskimi, krętymi uliczkami i szerokimi alejami, a wszędzie przyglądały im się w milczeniu z balkonów nieprzebrane szeregi mieszkańców miasta. Pałac okazał się pełen wrzawy i życia. W korytarzach i na łączących piętra pochylniach roiło się od jeźdźców galopujących w tę i z powrotem: Turan odniósł wrażenie, że w całym budynku pieszo poruszali się tylko niewolnicy. W okazałych komnatach stały pokwikujące i walczące ze sobą thoaty, podczas gdy jeźdźcy w chwilach wolnych od służby grali w jetana rzeźbionymi w drewnie figurami.

Turan odnotował wspaniałą wystrój sal, inkrustowanych szczerze drogocennymi klejnotami i metalami, zachwycające malowidła ścienne, przedstawiające niemal wyłącznie sceny walki, przede wszystkim pojedynki staczane na olbrzymich planszach do gry w jetana. Liczne kapitele podpierających sufit kolumn w mijanych salach i korytarzach wyrzeźbiono w kształt używanych w grze figur. Wydawało się, że wszystko wokół nawiązuje do gry. Turan szedł do sali tronowej tą samą trasą, co wcześniej Tara, a kiedy trafił do Sali Wodzów i ujrzał szeregi posągowych jeźdźców we wspaniałym rynsztunku, zaciekawienie wojownika przerodziło się w podziw i zdumienie. Uznał, że jeszcze nigdy nie widział równie groźnych postaci ani tak dobrze wyszkolonych thoatów, zdolnych do trwania w absolutnym bezruchu. Nie drgnął ani mięsień, żaden ogon nie poruszył się nawet, a jeźdźcy trwali równie nieruchomo jak wierzchowce, utkwivszy wojownicze spojrzenie przed sobą i pochylając olbrzymie włócznie pod tym samym kątem. Widok wypełniłby serce każdego wojownika podziwem i szacunkiem, czego doświadczył Turan prowadzony do wielkich drzwi, gdzie miał czekać na wezwanie przed oblicze władcy.

\*

Kiedy Tarę wprowadzono do sali tronowej, ta okazała się pełna wodzów i oficerów O-Tara i U-Thora, który zajmował należne mu honorowe miejsce u stóp tronu. Dziewczynę zaprowadzono przed tron, gdzie stanęła przed jeddakiem, mierzącym ją spod ściągniętych gniewnie brwi groźnym, okrutnym spojrzeniem.

– Prawa Manator są sprawiedliwe – stwierdził O-Tar, zwracając się do niej. – Dlatego wezwano cię tu po raz kolejny, aby osądził cię najwyższy sąd w mieście. Doszły mnie słuchy, że podejrzewają, iż jesteś Korfałem. Co powiesz na swoją obronę?

Odpowiadając na nedorzeczne oskarżenie o czary, Tara ledwie powstrzymała się od drwiącego uśmiechu.

– Cywilizacja mojego ludu jest tak stara – oznajmiła – że kroniki milczą na temat sposobów obrony przed zarzutami, które wedle naszej wiedzy możliwe były tylko wśród prymitywnych i zabobonnych, nieświadomych ludów z przeszłości. Nie istnieje argument, który przekonałby podobnie niedouczonego ludzi o błędzie, w jakim tkwią, wierząc nadal w istnienie Korfałów. Tylko wieki cywilizacji zdołałyby uwolnić ich z niewoli przesądu. Skończyłam.

– Nie przecyzysz oskarżeniom – zauważył O-Tar.

– Nie są tego warte – odpowiedziała wyniośle.

– Na twoim miejscu, kobieto – usłyszała z boku głęboki głos – spróbowałbym, mimo wszystko.

Tara odwróciła się, spoglądając prosto w utkwione w niej oczy U-Thora, wielkiego jeda Manatos. Przyglądał się jej śmiało, choć bez śladu chłodu czy okrucieństwa w spojrzeniu. O-Tar zabębnił niecierpliwie palcami o poręcz tronu.

– Zapominasz, że to ja tu jestem jeddakiem, U-Thorze – powiedział głośno.

– Pamiętam, że prawa Manator pozwalają oskarżonemu zasięgnąć rady przed obliczem sądu – odparł jed Manatos.

Tara widziała, że mężczyzna z jakiegoś powodu chciał jej pomóc, postąpiła więc zgodnie z jego radą.

– Zaprzeczam oskarżeniom – powiedziała. – Nie jestem Korfałem.

– O tym się jeszcze przekonamy – uciął O-Tar. – U-Dorze, gdzie są ludzie, którzy widzieli, co potrafi ta kobieta?

U-Dor przywołał kilku żołnierzy, którzy przedstawili nieliczne znane szczegóły zaginięcia E-Meda, oraz paru innych, którzy zdali relację z pojmania Gheka i Tary, sugerując, że skoro ujęto ich razem, musieli mieli dość wspólnego, aby można było uznać ze sporą pewnością, że jedno było równie złe jak drugie. Wystarczało zatem udowodnić czary jednemu, aby skazać ich oboje. Na to O-Tar wezwał Gheka, wprowadzonego zaraz przez żołnierzy, nie kryjących wcale lęku, jakim napawało ich to wstrętne stworzenie.

– Ty! – rzucił O-Tar zimnym, oskarżycielskim tonem. – Dowiedziałem się dość na twój temat, aby uzasadnić egzekucję przez samego jeddaka. Słyszałem, że odebrałeś rozum U-Vanowi, tak że wydawało mu się, że widział twoje żywe, mimo braku głowy, ciało. Sprawileś też, że kolejny żołnierz uznał, iż uciekłeś, pod wpływem twoich mocy widząc zamiast ciebie pustą ławę i nagi mur.

– To jeszcze nic, O-Tarze! – zawołał młody dowódca oddziału, który przyprowadził Gheka. – To, co zrobił obecnemu tu I-Zavowi, wystarczy, żeby udowodnić mu winę.

– Co takiego zrobił? – zapytał O-Tar. – Mów, I-Zav!

Wspomniany wojownik, potężny człowiek o olbrzymich ramionach i grubym karku, zbliżył się do tronu. Był blady i nadal trząsł się, jak pod wpływem wstrząsu.

– Przysięgam na przodków, że nie kłamię, O-Tarze – zaczął. – Zostawiono mnie na straży tego stworzenia, które siedziało na ławie, przykute do ściany. Stałem w otwartych drzwiach po drugiej stronie celi. Nie mógł mnie dosięgnąć, jeddaku, ale niech mnie Iss pochłonie, jeśli nie przyciągnął mnie do siebie wzrokiem, bezradnego jak niewyklute jajo! Spojrzał mi prosto w oczy, sprawił, że podszedłem do niego i odłożyłem miecze i sztylet na stół, po czym cofnąłem się w kąt. Wtedy jego głowa, nie spuszczać ze mnie wzroku, zeszła na sześciu krótkich nogach z ciała na podłogę i weszła do nory ulsio, ani na chwilę nie odrywając ode mnie spojrzenia. Wróciła zaraz z kluczem do kajdan i usadowiłszy się z powrotem na karku, odpięła kajdany, znowu kazała mi podejść i usiąść na jego miejscu. Następnie zapiął mi kajdany na nodze, a ja byłem zupełnie bezradny z powodu władzy, jaką dawało mu nade mną jego spojrzenie oraz fakt, że miał oba moje miecze i sztylet. Wreszcie głowa schowała klucz w szcurzej norze, a wróciwszy, wdrapała się z powrotem na ciało, po czym więzień stanął w drzwiach, pilnując mnie, aż do pojawienia się padwara, który miał go tu przyprowadzić.

– Dość! – rzucił surowo O-Tar. – Zabiję obydwój. – Podniósł się z tronu i sięgnął po długi miecz, po czym ruszył marmurowymi schodami w stronę więźniów. Dwóch krzepkich wojowników ujęło Tarę i Gheka za ręce z każdej strony, trzymając ich przodem do jeddaka.



## Szachiści Marsa

---

– Stój, sprawiedliwy władco! – zawołał U-Dor. – Trzeba osądzić jeszcze kogoś. Zanim zginą, skonfrontuj ich z człowiekiem, który twierdzi, że jest pantanem o imieniu Turan.

– Dobrze! – zawołał O-Tar, stając w połowie schodów. – Sprowadzić niewolnika Turana!

Do sali wprowadzono Turana, który zatrzymał się na lewo od Tary, nieco bliżej tronu. O-Tar zmierzył go złowróżbnym wzrokiem.

– Ty jesteś Turan? – zapytał. – Ich towarzyszy i przyjaciel?

Pantan miał już odpowiedzieć, kiedy odezwała się Tara.

– Nie znam tego człowieka – oznajmiła. – Kto śmie podawać się za przyjaciela księżniczki Helium?

Turan i Ghek spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Na pierwszego nawet nie podniosła wzroku, drugiemu zaś posłała szybkie, ostrzegawcze spojrzenie, jakby każąc mu zachować spokój.

Pantan nie próbował zgadywać, dlaczego to powiedziała. Rozum niewiele pomoże, kiedy serce próbuje go zastąpić. Wiedział tylko, że jego ukochana nie przyznała się do niego, a choć próbował o tym nie myśleć, niemądre serce podsuwało mu tylko jedno wyjaśnienie: wyparła się znajomości z nim, aby nie dać się wciągnąć w jego kłopoty.

O-Tar mierzył wzrokiem to jedno z nich, to drugie, ale oboje milczeli.

– Czy ujęto ich razem? – zadał pytanie U-Dorowi.

– Nie – odrzekł dwar. – Mężczyznę zauważono, kiedy próbował wejść do miasta, i zwabiono do lochów. Pozostałą dwójkę znalazłem nazajutrz na wzgórzu za Bramą Nieprzyjaciół.

– Ale znają się i podróżują wspólnie – zapewnił pewien młody padwar. – Pantan wypytywał mnie o pozostałą dwójkę, nazywając ich z imienia. Twierdził przy tym, że są jego przyjaciółmi.

– Wystarczy – stwierdził O-Tar. – Cała trójka zginie. – Zszedł o kolejny stopień.

– Za co chcesz nas zabić? – zapytał Ghek. – Tyle gadacie o sprawiedliwych prawach Manator, a zamierzacie uśmiercić trzech obcych przybyszów, nie mówiąc im nawet, o co są oskarżeni.

– To prawda – powiedział głębokim głosem U-Thor, wielki jed Manatos. O-Tar spojrział na niego i ściągnął gniewnie brwi, ale w wielu miejscach sali rozległy się już głosy popierające żądanie sprawiedliwości.

– Dobrze, dowiesz się tego, choć i tak nic wam już nie pomoże – powiedział głośno O-Tar. – Całej waszej trójce udowodniono czary, a ponieważ tylko jeddak może uśmiercić bezkarnie takich, jak wy, za chwilę dostąpię zaszczytu skosztowania mojej stali.

– Głupcze! – krzyknął Turan. – Nie wiesz, że w żyłach tej kobiety płynie krew dziesięciu tysięcy jeddaków, a w swoim kraju posiada większą władzę niż twoja? To Tara, księżniczka Helium, prawnuczka Tardos Morsa, córka Johna Cartera, Wodza Barsoom. Nie może być Korfałem, tak samo jak nie jest nim obecny tu Ghek, ani ja. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, udowodnię, że powinieneś wysłuchać mnie i uwierzyć moim słowom, o ile pozwolisz mi rozmówić się z księżniczką Hają z Gathol, której syna poznałem w podziemiach pałacu jego rodzonego ojca!

Po tych słowach U-Thor podniósł się z miejsca i stanął przed O-Tarem.

– Co to ma znaczyć, O-Tarze? – zapytał. – Czy to prawda? Zamknąłeś syna Haji w lochu?

– Co obchodzi jeda Manatos, kogo trzyma w lochu jego władca? – zapytał gniewnie O-Tar.

– Obchodzi, i to bardzo – odparł U-Thor głosem niewiele głośniejszym od szeptu, choć słyszalnym w całej sali. – Odesłałeś do mnie niewolnicę, Haję, dawniej księżniczkę Gathol,

obawiając się jej wpływów wśród pochodzących stamtąd niewolników. Wyzwoliłem ją i wzięłem za żonę; tym samym stała się księżniczką Manatos, a jej syn jest teraz moim synem. Chociaż jesteś moim jeddakiem, O-Tarze, zapowiadam, że odpowiesz przede mną za każdą krzywdę, jaka go spotka.

O-Tar obrzucił go długim spojrzeniem, ale nie odpowiedział. Po chwili odwrócił się znów do Turana.

– Wystarczy, że jedno z was jest Korfalem – stwierdził – aby uznać, że wszyscy nimi jesteście. Po tym, czego dokonało to stworzenie – wskazał na Gheka – widać, że zna się na czarach, ponieważ żaden śmiertelnik nie posiada takich mocy. A zatem, ponieważ wszyscy jesteście czarownikami, musicie zginąć. – Zrobił kolejny krok w dół, kiedy odezwał się Ghek.

– Żadne z nich nie posiada takich mocy jak ja – oświadczył. – To tylko biedne, bezrozumne istoty, takie jak ty. Dopuściłem się wszystkiego, o czym opowiadali twoi naiwni wojownicy, ale świadczy to tylko o tym, że należę do wyższego gatunku, co akurat jest prawdą. Nie jestem Korfalem, a kaldanem. Moje dokonania nie mają w sobie nic tajemniczego ani nadprzyrodzonego, poza tym, że głupcom wydają się takimi wszystkie sprawy, których nie rozumieją. Z łatwością mógłbym uciec twoim wojownikom i opuścić lochy, ale zostałem w nadziei, że uda mi się pomóc dwóm niemądrym stworzeniom, które nie mają dość rozumu, aby uciec sami. Uratowali mi życie i obdarzyli przyjaźnią, mam więc wobec nich dług wdzięczności. Nie zabijaj ich, są zupełnie nieszkodliwi. Jeśli chcesz, zabij mnie. Poświęcę życie, jeśli w ten sposób uda mi się uśmierzyć twój nierozumny strach. Nie mogę wrócić do Bantoom, więc nie zależy mi na życiu, skoro obcowanie poza moją doliną ze szpecącymi świat wątlymi umysłami nie sprawia mi przyjemności.

– Szykuj się na śmierć, odrażające stworzenie – powiedział O-Tar. – I nie próbuj wpływać na moje decyzje. Wydałem już wyrok: cała wasza trójka posmakuje mojego ostrza. Skończyłem!

Zrobił kolejny krok w dół, po czym stało się coś dziwnego. O-Tar stanął ze wzrokiem utkwionym w oczach Gheka. Wypuścił miecz z pozbawionych czucia palców, kołysząc się lekko w przód i w tył. Któryś z jedów wstał, żeby pójść mu z pomocą, ale Ghek osadził go w miejscu.

– Stać! – zawołał. – Życie waszego jeddaka jest w moich rękach. Sądzicie, że jestem Korfalem, a zatem wiecie, że tylko on może mnie zabić. Wasze miecze nic mi nie zrobią. Nie próbujcie nas skrzywdzić ani podejść bliżej, dopóki wam nie pozwolę, inaczej zabiję go. Uwolnijcie tych dwoje i pozwólcie im do mnie podejść! Chcę porozmawiać z nimi na osobności. Szybko! Róbcie, co mówię! Nie zmuszajcie mnie, żebym zabił O-Tara. Zachowałem go przy życiu tylko po to, żebyście uwolnili moich przyjaciół. Spróbujcie mi przeszkodzić, a zginie.

Strażnicy cofnęli się. Po chwili rozwiązali Tarę i Turana, którzy podeszli do Gheka.

– Róbcie szybko, co powiem – szepnął kaldan. – Nie utrzymam dłużej kontroli nad nim, a nie zdołam go w ten sposób zabić. Zmagam się z wieloma umysłami i wkrótce opadnę z sił, a O-Tar dojdzie do siebie. Korzystajcie z okazji, póki możecie. Za gobelinem z tyłu tronu znajdziecie ukryte przejście, a dalej korytarz prowadzący do spiżarni w podziemiach pałacu. Niewielu się tam zapuszcza. Stamtąd biegają tunele, którymi można trafić do wszystkich części miasta. Pójdziecie prosto na zachód: w ten sposób traficie do Bramy Nieprzyjaciół. Reszta zależy już tylko od was. Nie zrobię nic poza tym. Szybko, zanim opuszczą mnie siły. Nie jestem tak silny jak Luud. On potrafiłby kontrolować tego człowieka przez całą wieczność. Szybko! Idźcie!

### ROZDZIAŁ 15

## STARZEC Z PODZIEMI

– Nie zostawię cię, Ghek – stwierdziła otwarcie Tara.

– Idź! No już! – szepnął kaldan. – Nie pomożesz mi. Idź, albo wszystko pójdzie na marne.

Tara potrząsnęła głową.

– Nie mogę – powiedziała.

– Zabij ją – powiedział Ghek do Turana. Pantan, rozdarty między lojalnością wobec dziwnej istoty, która poświęciła dla niego życie, a miłością do ukochanej kobiety nie wahał się długo. Uniósł Tarę w ramionach i pobiegł schodami do tronu Manator. Uchylił wiszącą za nim zasłonę i znalazł ukryte przejście, w którym zniknął z dziewczyną. Następnie ruszył długim wąskim korytarzem i krętą pochylnią, prowadzącą na niższy poziom, aż dotarł do podziemi pałacu. Tu odkrył istny labirynt sal i korytarzy, w którym mógł znaleźć tysiące kryjówek.

Kiedy Turan pomknął z Tarą w górę schodów, dwudziestu wojowników rzuciło się, żeby odciąć im drogę.

– Stać! – zawołał Ghek. – Albo wasz jeddak zginie! – Zatrzymali się, czekając na to, co zrobi to niesamowite stworzenie.

Po pewnym czasie Ghek oderwał spojrzenie od O-Tara. Jeddak wzdrygnął się, jakby otrząsając się z koszmaru, po czym wyprostował się, nadal lekko oszołomiony.

– Patrzcie! – powiedział Ghek. – Nie zabiłem waszego władcy, ani nie skrzywdziłem nikogo z ludzi, których mógłbym z łatwością uśmiercić, kiedy znajdowali się w mojej władzy. Ani ja, ani moi przyjaciele w niczym nie zaszkodziliśmy mieszkańcom Manator. Dlaczego więc próbujecie nam zaszkodzić? Zwróćcie nam naszą wolność.

O-Tar, odzyskawszy do reszty panowanie nad sobą, schylił się i podniósł miecz. W sali zapadła cisza. Wszyscy czekali na werdykt jeddaka.

– Prawa Manator są sprawiedliwe – oznajmił wreszcie. – Być może w słowach tego intruza kryje się prawda. Zabrać go z powrotem do lochów i ścigać pozostałych, dopóki ich nie złapiecie. Zezwalam im podjąć próbę odzyskania wolności podczas następnych igrzysk.

Kiedy wyprowadzano Gheka, jeddak nadal miał pobladłą twarz. Przypominał człowieka zawróconego ze skraju wieczności, który spojrzał w nią nie z męską odwagą, a ze strachem. Wielu obecnych w sali wiedziało, że egzekucja została tylko odłożona w czasie, a odpowiedzialność za nią złożono na innych. Należał do nich U-Thor, wielki jed Manatos, którego skrzywiony wyraz twarzy zdradzał pogardę dla władcy, który wolał upokorzenie od śmierci. Wiedział, że przez te kilka chwil O-Tar utracił więcej szacunku niż mógł zdobyć przez całe życie. Mieszkańcy Barsoom bardzo poważnie podchodzą do kwestii osobistej odwagi wodzów, którym nie wolno unikać trudnych powinności ani iść na kompromis w sprawach honoru. Ponure spojrzenia i milczenie świadczyły, że w sali byli inni ludzie, którzy podzielali pogląd U-Thora.

O-Tar rozejrzał się szybko. Wyczuwał chyba wrogość i domyślał się jej przyczyn, ponieważ rozsierdził się nagle i jakby dodając sobie animuszu porywczymi słowami, ryknął wyzywająco:

– Prawa Manator i wola jeddaka są sprawiedliwe i nieomyłne! U-Dor, wyślij ludzi na poszukiwania niewolników! Niech przetrząsną pałac, miasto i podziemia, i odprowadzą ich z

powrotem do cel. Co do ciebie, U-Thorze, czy sądzisz, że wolno ci bezkarnie grozić jeddakowi i podważać jego prawo do karania zdrajców i tych, którzy podlegają do zdrady? Co mam pomyśleć o lojalności człowieka, który pojął za żonę kobietę, wygnaną z mego dworu za spiskowanie przeciw swojemu władcy i jeddakowi? Ale znaj moją sprawiedliwość. Wytlumacz się i pogódź ze mną, zanim będzie za późno.

– Nie mam nic do tłumaczenia ani nie próbuję wszczynać wojny – odparł jed Manatos. – Mam za to prawo, które przysługuje każdemu z jedów i wojowników, aby domagać się u władcy sprawiedliwości dla tych, których uważam za niesłusznie prześladowanych. Od kiedy O-Tar przywłaszczył sobie wbrew woli księżniczkę Haję, zaczął z coraz większą surowością nękać niewolników z Gathol. Nawet jeśli rzeczywiście żywili myśl o zemście i ucieczce, niczego innego nie można spodziewać się po dumnych i walecznych ludziach. Zawsze doradzałem ci bardziej sprawiedliwe traktowanie niewolników, z których wielu zajmowało w swoich krajach wysokie stanowiska i pozycję dające im wielką władzę, ale drwiłeś arogancko z wszelkich moich sugestii. Choć w niczym nie przyczyniłem się do tego, iż ta kwestia znów wypłynęła, cieszę się, że do tego doszło. Nadszedł czas, aby jedowie Manator zażądali od ciebie szacunku i uwagi należnej im od człowieka, piastującego swój urząd za ich przyzwoleniem. Posłuchaj zatem, O-Tarze: musisz uwolnić niezwłocznie dwara A-Kora lub osądzić go sprawiedliwie przed zgromadzeniem jedów Manator. Skończyłem.

– Dobra i konkretna przemowa, U-Thorze – zawołał głośno O-Tar. – Nareszcie ujawniłeś przede mną i pozostałymi wodzami otchłań nielojalności, którą od dawna w tobie podejrzewałem. A-Kor został już osądzony i skazany przez najwyższy trybunał Manator: samego jeddaka. Ten sam nieomylny sąd wymierzy sprawiedliwość tobie. Do tego czasu zostaniesz zatrzymany. Do lochu z nim! Do lochu z fałszywym jedem! – Klasnął w dłonie, wzywając stojących wokół żołnierzy do wykonania rozkazu. Dwudziestu wojowników, głównie członków straży pałacowej, skoczyło, aby ująć U-Thora. Równocześnie dwudziestu innych ruszyło mu na odsiecz. Zwarli się wśród szczęku stali u stóp stopni do tronu Manator, na których stał z mieczem w dłoni O-Tar, gotów przyłączyć się do walki.

Zaalarmowani odgłosami walki strażnicy nadbiegli z innych części pałacu, aż obrońcy U-Thora stanęli przed dwukrotnie liczniejszym przeciwnikiem. Oddział jeda Manatos zaczął wycofywać się powoli, przebijając się przez komnaty i korytarze na ulicę. Tu dołączyła do niego mała armia, która weszła z nim do miasta. Wycofywali się z wolna wśród rzędów przypatrujących im się z balkonów milczących ludzi do Bramy Nieprzyjaciół, gdzie zajęły pozycje obronne w obrębie murów.

Tymczasem w słabo oświetlonej komorze pod pałacem Turan opuścił Tarę na ziemię i spojrzał jej w oczy.

– Przepraszam, że złamałem twoje rozkazy, księżniczko, i zostawiłem Gheka samego, ale nie miałem innego wyjścia. Zastąpiłbym go, gdyby to on mógł cię uratować. Wybaczysz mi?

– Czy mogłabym postąpić inaczej? – odpowiedziała z wdziękiem. – Choć porzucenie przyjaciela na śmierć wydaje się mimo wszystko tchórzostwem.

– Byłoby inaczej, gdybyśmy wszyscy byli wojownikami – oznajmił. – Moglibyśmy zostać razem i zginąć w walce, ale rozumiesz chyba, że nie wolno mi narażać cię na niebezpieczeństwo, choćbym ryzykował przy tym utratę honoru.

– Wiem, Turanie – odpowiedziała. – Ale nikt, kto zna twój honor i odwagę, nie powie, że naraziłeś je na uszczerbek.

Słowa Tary zaskoczyły go. Po raz pierwszy usłyszał z jej ust coś, co nie smakowało dystansem księżniczki wobec pantana, choć różnica dostrzegalna była bardziej w tonie jej

głosu niż samych słowach, choć i one dalekie były od jej niedawnego wyparcia się go! Nie potrafił tego zrozumieć, zadał więc pytanie, które nie dawało mu spokoju, od kiedy oświadczyła przed O-Tarem, że go nie zna.

– Twoje słowa to balsam na ranę, jaką zadałaś mi przed obliczem jeddaka, księżniczko – powiedział. – Dlaczego powiedziałaś, że mnie nie znasz?

Spojrzała mu z lekką przyganą prosto w oczy.

– Nie domyśliłaś się, że wyparłam się ciebie tylko ustami, nie sercem? – zapytała. – O-Tar chciał mnie zabić tylko dlatego, że znałam Gheka, bez jakichkolwiek dowodów przeciwko mnie. Wiedziała, że gdybym przyznała się do ciebie, ty również byś zginął.

– A zatem chciałaś mnie ocalić? – zawołał z rozpromienionym obliczem.

– Chciałam ocalić mojego dzielnego pantana – powiedziała cicho.

– Taro – oznajmił, przyklękając przed nią. – Twoje słowa to pokarm dla mojego głodnego serca. – Ujął jej palce i podniósł do ust.

Podniosła go delikatnie.

– Nie musisz klęczeć, żeby mi to powiedzieć – oznajmiła miłym głosem.

Wstał, nadal trzymając jej dłoń w swojej. Stali blisko siebie, a pamięć dotyku jej ciała, kiedy niósł ją z sali tronowej, sprawiała, że nadal się rumienił. Patrząc na piękną twarz dziewczyny, jej spuszczone wzrok i rozchylone wargi, za które oddałby królestwo, poczuł, jak serce wali mu w piersi, a w żyłach zaczyna pulsować gorąca krew. Przyciągnął ją do siebie i przycisnąwszy do piersi, zasypał jej wargi pocałunkami.

Trwało to tylko chwilę. Dziewczyna rzuciła się na niego jak tygrysyca, bijąc go i odpychając. Cofnęła się, unosząc wysoko głowę i ciskając oczami błyski.

– Jak śmiesz? – zawołała. – Jak śmiesz hańbić w ten sposób księżniczkę Helium?

Spojrzał prosto w jej oczy, bez śladu żalu czy wstydu.

– Owszem, ośmielałam się – powiedział. – Ośmielałam się kochać cię, Taro, choć nie odważyłbym się zhańbić cię pocałunkiem, który nie płynąłby z nieskalanej miłości. – Podeszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach. – Spójrz mi w oczy – powiedział. – Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie chcesz mojej miłości.

– Nie chcę jej! – zawołała, wyrrywając się mu. – Nienawidzę cię! – Odwróciła się, ukryła twarz w zgięciu ręki i rozplakała się.

Turan zrobił krok w jej stronę, jakby zamierzał ją pocieszyć, kiedy powstrzymał go chrapliwy śmiech z tyłu. Okręciwszy się, ujrzał w wejściu do sali niezwykły, rzadko spotykany na Barsoom widok: człowieka w podeszłym wieku, naznaczonego wyraźnymi oznakami starości. Pochylony i pomarszczony, wyglądał bardziej jak mumia niż jak człowiek.

– Miłość w lochach O-Tara! – zawołał, po czym ciszę podziemi zakłócił znowu jego rżący śmiech. – Dziwne miejsce na zaloty! Naprawdę dziwne! Za moich czasów spacerowaliśmy w ogrodach pod olbrzymimi pimaliami i całowaliśmy się w ulotnym cieniu Thurii. Nie schodziliśmy w mrok lochów, żeby wyznawać sobie miłość. Ale czasy i zwyczaje się zmieniają, choć nie sądziłem, że pożyję dość długo, żeby zobaczyć, jak zmieniają się sprawy między kobietami i mężczyznami. Ech, wtedy dopiero całowaliśmy! A jeśli nie chciały? No, co? Całowaliśmy jeszcze mocniej. To były czasy! – znowu roześmiał się głośno.

– Dobrze pamiętam pierwszą, którą pocałowałem, a było ich wiele. Cud-dziewczyna, ale próbowała pchnąć mnie sztyletem. To były czasy! I tak ją pocałowałem. Nie żyje już od tysiąca lat, ale nikt tak nie całował, ani póki żyła, ani po jej śmierci. No i była ta druga... – Ale Turan, przeczuwając nadciągającą falę wspomnień pocałunków z ponad tysiąca lat, przerwał mu.

## Szachiści Marsa

---

– Nie opowiadaj o całowaniu, a o sobie, starcze – rzucił. – Kim jesteś? I co robisz w tych lochach?

– Mógłbym spytać cię o to samo młodzieńcze – odparł starzec. – Poza nieboszczykami niewiele tu trafia, oprócz moich uczniów! No przecież! Jesteście nowymi uczniami! Świetnie! Ale jeszcze nigdy nie przysłali tu kobiety, żeby uczyła się sztuki od największego artysty. Cóż, czasy się zmieniają. Za moich dni kobiety nie musiały pracować: miały tylko kochać i całować. To były kobiety! Pamiętam taką, którą złapaliśmy na południu. Istna diablina, ale jak ona potrafiła kochać! Piersi z marmuru i serce z ognia. Naprawdę...

– Tak, tak – uciął Turan. – Jesteśmy twoimi uczniami i wręcz palimy się do nauki. Prowadź, a my pójdziemy za tobą.

– A tak, tak! Chodźcie! Wszyscy się spieszą, jakbyśmy nie mieli przed sobą niezliczonych wieków. A tak, tak, i tyle samo za sobą. Minęło dwa tysiące lat, od kiedy wyszedłem z jaja, a wszyscy wciąż spieszą się i spieszą, choć nie widać, żeby coś im to dało. Manator jest takie samo jak wtedy, poza dziewczynami. Wtedy to były dziewczyny. Na przykład ta, którą wygrałem w jetana. Gdybyście ją widzieli...

– Prowadź! – zawołał Turan. – Opowiesz nam o niej przy pracy.

– A tak, tak – powiedział starzec i ruszył, powłócząc nogami, słabo oświetlonym korytarzem. – Chodźcie za mną!

– Pójdziemy z nim? – zapytała Tara.

– Dlaczego nie? – odparł Turan. – Nie wiemy, gdzie jesteśmy, i nie znamy drogi do wyjścia z podziemi, ponieważ straciłem tu orientację. Za to on bez wątplenia zna drogę do wyjścia, a jeśli okażemy dość sprytu, może uda nam się wyciągnąć z niego to, czego potrzebujemy. Jakkolwiek by było, nie możemy wzbudzić jego podejrzeń. – Poszli więc za starcem, pokonując kręte korytarze i liczne sale, aż dotarli do pomieszczenia, w którym ujrzeli kilka marmurowych płyt umieszczonych na postumentach o jakieś trzy stopy nad podłogą. Na każdej z nich leżały ludzkie zwłoki.

– No, jesteśmy na miejscu! – zawołał starzec. – Te ciała są świeże i wkrótce trzeba będzie się nimi zająć. Obecnie pracuję nad nowym nabytkiem do Bramy Nieprzyjaciół. Uśmiercił wielu naszych wojowników i naprawdę zasłużył sobie na to miejsce. Tędy, zaraz go wam pokażę.

Zaprowadził ich do sąsiedniej sali. Na podłodze wewnątrz leżało wiele świeżych, ludzkich kości, zaś na marmurowym cokole spoczywała bezkształtna bryła mięsa.

– Później pokażę wam, jak to się robi – oznajmił starzec – ale nie zaszkodzi, jeśli popatrzycie sobie teraz. Nieczęsto zdarza mi się preparować kogoś w ten sposób, i może upłynąć wiele czasu, zanim nadarzy się okazja, żeby zobaczyć kolejny okaz przygotowywany do Bramy Nieprzyjaciół. Widzicie, najpierw usuwam kości, starając się nie uszkodzić przy tym skóry. Czaszka jest najtrudniejsza, ale wprawny artysta zdoła ją usunąć. Popatrzcie, wystarczył mi jeden otwór. Zasyję go teraz, a potem zawieszę ciało, o tak – uwiązał trupa za włosy do odcinka liny i podwiesił na osadzonym w suficie pierścieniu. Następnie zdjął pokrywę z umieszczonego dokładnie pod nimi okrągłego otworu, odsłaniając studnię wypełnioną jakąś czerwawą cieczą. – Teraz włożę go do tej mikstury, której skład poznacie we właściwym czasie. Przywiążemy go od dołu do pokrywy, którą zasuniemy na miejsce. Za rok będzie gotowy, ale do tego czasu trzeba sprawdzać go od czasu do czasu i pilnować, żeby głowa znajdowała się poniżej poziomu płynu. Gotowy, będzie wspaniale wyglądał.

– Macie naprawdę szczęście, bo akurat dzisiaj jednego mam wyciągnąć. – Przeszedł na drugi koniec sali i odsunął inną pokrywę, po czym sięgnął do środka i wyciągnął z otworu

groteskową postać. Okazały się nią ludzkie zwłoki, które poddane działaniu chemikaliów, skurczyły się do wielkości ledwie przekraczającej stopę.

– No, nie jest piękny? – powiedział głośno starzec. – Jutro postawią go w Bramie Nieprzyjaciół. – Osuszył zwłoki ręcznikami i włożył je starannie do koszyka. – Chcecie obejrzeć dzieło mojego życia? – zapytał i nie czekając na potwierdzenie, zaprowadził ich do kolejnej, sporych rozmiarów sali, w której ujrzeni jakies pół setki ludzi. Wszyscy stali lub siedzieli cicho pod ścianami, z wyjątkiem rosłego wojownika na thoacie w samym środku pomieszczenia. Wszyscy trwali w bezruchu. Tara i Turan przypomnieli sobie w jednej chwili szeregi nieruchomych ludzi na balkonach ponad ulicami oraz dostojnych jeźdźców z Sali Wodków. Obojgu przyszło do głowy to samo, choć żadne nie ośmieliło się wypowiedzieć swoich podejrzeń głośno, aby swoją ignorancją nie zdradzić, że byli w mieście obcymi, a tym samym tylko podawali się za uczniów preparatora zwłok.

– Wspaniale – powiedział Turan. – Na pewno wymagało to wielkiej wprawy, cierpliwości i mnóstwa czasu.

– Owszem – odparł starzec. – Chociaż zajmuję się tym już tak długo, że pracuję szybciej niż większość pozostałych, a moje figury są najbardziej naturalne. Powiedziałbym, że jeśli chodzi o sam wygląd, to nawet żona tego wojownika nie mogłaby rzec z całą pewnością, że jest martwy – wskazał jeźdźca na thoacie. – Oczywiście wielu trafia do mnie mocno poturbowanych lub wyniszczonych, wtedy muszę ich naprawiać. Potrzeba do tego sporej wprawy, ponieważ każdy chciałby, żeby jego zmarli wyglądali, jak za najlepszych lat życia, ale nauczycie się wszystkiego: ustawiać ich, malować, łątać, a od czasu do czasu sprawiać, że nawet brzydał zacznie ładnie wyglądać. Preparowanie własnych krewnych to wielka pociecha. O tak, od tysiąca pięciuset lat sam ich przygotowuję, bez niczyjej pomocy.

– Zrobiło się ich wielu, balkony są pełne, ale dla żon mam specjalny pokój, w którym trzymam je wszystkie, od pierwszej zaczynając. Ho, ho, spędziłem tam niejeden cichy, przyjemny wieczór. A radość przygotowywania ich i okazja, by sprawić, że po śmierci wyglądają jeszcze piękniej niż za życia, częściowo wynagradza stratę. Pracując z nimi, nie spieszę się nigdy, równocześnie rozglądając się zawsze za nową żoną. Kiedy nie jestem pewny jakiejś kandydatki, zabieram ją do nich i porównuję jej wdzięki z poprzednimi. Fakt, że nie sprzeciwiają mi się nigdy, daje mi wielką satysfakcję, bo kocham zgodę w rodzinie.

– To ty spreparowałeś wszystkich wojowników w Sali Wodków? – zapytał Turan.

– A tak, preparuję ich i reperuję – odparł starzec. – O-Tar nie ufa nikomu innemu. W sali obok mam właśnie dwóch uszkodzonych, których mi przyniesiono. O-Tar niechętnie rozstał się z nimi, ponieważ zostały mu w sali dwa puste thoaty, ale niedługo ich odzyska. Woli mieć wszystkich na miejscu, na wypadek, gdyby pojawiła się jakaś ważka kwestia, której obecni jedowie nie potrafią rozstrzygnąć albo nie zgadzają się z jego zdaniem. Podobne sprawy zanoszą jedom z Sali Wodków. Zamyka się wtedy samotnie z wielkimi wojownikami, którzy dostąpili mądrości po śmierci. Twierdzi, że wspaniale dogaduje się z nimi, bez tarć i nieporozumień. Mówi też, że to najlepsze ciało ustawodawcze na Barsoom, o wiele bardziej inteligentne niż złożone z żywych ludzi. Ale dość tego, bierzmy się do pracy. Przejdźmy do sali obok, zaraz zacznie się nauka.

Zaprowadził ich do pomieszczenia, w którym na marmurowych płytach leżało kilka ciał. Podeszedł do szafki i założył wielkie okulary, po czym zaczął wyjmować z przegródki rozmaite narzędzia. Skończywszy, odwrócił się do swoich uczniów.

– Niech no wam się przyjrzę – powiedział. – Mój wzrok nie jest już taki, jak kiedyś, i potrzebuję tych szkieł, żeby widzieć wyraźnie ludzkie rysy.

Omiótł spojrzeniem stojącą przed nim dwójkę. Turan wstrzymał oddech, ponieważ wiedział, że starzec na pewno zauważył brak oznak Manator na ich uprzączach. Zastanawiał

się wcześniej, dlaczego preparator nie zauważył tego do tej pory, nie wiedział bowiem, że starzec był na pół ślepy. I-Gos przyjrzał się bacznie ich twarzom, zatrzymując wzrok dłużej na twarzy Tary, po czym powędrował wzrokiem ku ich uprężom. Turanowi wydało się, że zauważył, jak starzec wzdrygnął się wyraźnie, ale nawet jeśli ten zauważył cokolwiek, nie zdradził tego słowami.

– Chodź ze mną – rzucił do pantana. – Pomożesz przynieść parę rzeczy z pokoju obok. Zostań tu, kobieto. Nie będzie nas tylko przez chwilę.

Poszedł z nim do jednych z kilku drzwi w pomieszczeniu. Stał w nich przed Turanem i wskazując na stertę jedwabi i futer po drugiej stronie pokoju, polecił mu je przynieść. Pantan podszedł do nich i pochylał się właśnie, żeby podnieść naręcze jedwabnych posłań, kiedy usłyszał z tyłu stuk zamka. Obrócił się błyskawicznie. Został sam, a jedyne drzwi były zamknięte. Podbiegł do nich i spróbował otworzyć. Na próżno, był uwięziony.

I-Gos wyszedł z pokoju i obrócił klucz w zamku, po czym zwrócił się do Tary.

– Zdradziły was wasze stroje – powiedział, zanosząc się chrapliwym śmiechem. – Próbowaliście mnie oszukać, ale przekonacie się teraz, że choć mój wzrok jest słaby, to umysł mam jeszcze sprawny. Nie skrzywdzę cię. Jesteś piękna, a ja kocham piękne kobiety. W innym miejscu nie miałbym szans cię zdobyć, ale tu nikt mi cię nie zabierze. Niewielu schodzi do tych podziemi poza tymi, którzy przynoszą tu swoich zmarłych i odchodzą jak najszybciej. Nikt się nie dowie, że trzymam tu wśród trupów taką ślicznotkę. Nie pytam cię o nic, bo nie wiedząc czyja jesteś, nie będę musiał cię oddać. A kiedy umrzesz, przygotuję cię ślicznie i postawię z resztą moich kobiet. Prawda, że to miłe? – Podchodził coraz bliżej, aż stanął przy zdjętej groź dziewczynie. – Chodź! – zawołał, chwytając ją za rękę. – Chodź tu do mnie!



### ROZDZIAŁ 16

## POD NOWYM IMIENIEM

Turan rzucił się na drzwi swojego więzienia, nadaremnie próbując przebić się przez twarde deski z drzewa skeel do Tary, której z pewnością groziło niebezpieczeństwo. Ale ciężkie drzwi wytrzymały, posiniaczył tylko barki i ramiona. Wreszcie poniechał prób wyważenia ich i zaczął przeszukiwać pokój w poszukiwaniu innej drogi ucieczki. Kamienne mury pokoju nie skrywały innych drzwi, odkrył za to kolekcję najróżniejszych ubrań, broni, ozdób i uprząży, oraz sporo posłań. Znalazł wśród nich miecze, włócznie oraz kilka wielkich, dwusiecznych toporów bojowych, o głowicach łudząco podobnych do śmigła niewielkiego statku powietrznego. Chwyciwszy jeden z nich, natarł ze świeżą furią na drzwi. Spodziewał się, że I-Gos zareaguje na ten akt wandalizmu, ale zza drzwi nie doszedł go żaden dźwięk. Uznał, że były widocznie zbyt grube, żeby przebił się przez nie ludzki głos, ale był gotów założyć się, że starzec musiał go słyszeć. Każde uderzenie ciężkiego topora wrywało z twardego drewna kolejne drzazgi, ale praca szła ciężko i powoli. Wkrótce musiał odpocząć. Miał wrażenie, że trwało to godzinami: rąbał prawie do wyczerpania, po czym odpoczywał parę minut. Za to otwór stale rósł, choć nie widział jeszcze pokoju z powodu zasłony, zaciągniętej przez I-Gosa przed drzwiami, kiedy zamknął Turana w środku.

W końcu jednak wyrąbał w drzwiach dziurę, w której się zmieścił, i chwyciwszy zabrane ze sterty broni długi miecz, przecisnął się do pomieszczenia obok.

Odrzucił zasłonę na bok i stanął z mieczem w dłoni, gotów ruszyć Tarze na pomoc, ale nie było jej w pokoju. Na podłodze pośrodku leżały zwłoki I-Gosa, lecz po dziewczynie nie było ani śladu.

Turan był kompletnie zaskoczony. Przecież to na pewno ona zabiła starca, a mimo to nie spróbowała nawet go uwolnić. Przypomniały mu się jej ostatnie słowa: „Nie chcę twojej miłości! Nienawidzę cię!” i pojął prawdę. Skorzystała z pierwszej okazji, żeby od niego uciec. Odwrócił się, przybity. Co miał robić? Odpowiedź była tylko jedna. Póki oboje żyli, musiał poruszyć niebo i ziemię, żeby pomóc jej uciec i wrócić do ojczyzny. Ale jak to zrobić? Nie potrafił nawet wydostać się z tego podziemnego labiryntu. Jak miał ją znaleźć? Podszedł do najbliższych drzwi. Okazało się, że prowadziły do sali, w której stały zwłoki jeźdźca, czekającego na przeniesienie na balkon, ponurej sali umarłych. Omiótł wzrokiem pokrytą farbą rosłą postać wojownika, a na widok sprawnej broni i wspaniałej uprząży w przyémionych od bólu oczach pantana pojawił się nowy blask. Podszedł szybkim krokiem do martwego jeźdźca i ściągnął go z wierzchowca. Odarł go sprawnie z broni i uprząży, po czym zerwał z siebie własny ekwipunek, zastępując go strojem jeźdźca. Następnie pobiegł do pokoju, w którym zamknął go I-starzec, aby uzupełnić przebranie. Wyjął zaraz z szafy, w której je wcześniej znalazł, słoiczki barwników wykorzystywanych przez I-Gosa do malowania zimnych twarzy martwych wojowników szerokimi pasami barw wojennych.

Po paru chwilach Gahan z Gathol wyszedł stamtąd, w żadnym szczególnie stroju, broni i ozdób nie różniąc się od wojowników z Manator. Pozbył się tylko ze stroju jeźdźca insygniów jego rodu i rangi, aby móc uchodzić za szeregowego wojownika, nie wzbudzając przy tym większych podejrzeń.

Szukanie Tary w rozległym, ciemnym labiryncie podziemi wydawało mu się rozpaczliwym, skazanym na porażkę przedsięwzięciem. Rozsądniej było wyjść na powierzchnię, gdzie mógł dowiedzieć się, czy ją złapano. Gdyby do tego nie doszło, zawsze

mógł wrócić do podziemi i wszcząć poszukiwania. Wędrował długo na oślep podziemnymi salami i tunelami, próbując wydostać się z labiryntu, ponieważ nie miał pojęcia, gdzie i jak daleko mógł znaleźć wyjście. Właściwie nie zdołałby nawet wrócić po własnych śladach na sto jardów do miejsca, w którym zagłębili się z Tarą w mrok lochów, zamiast tego poszedł więc przed siebie z nadzieją, że natknie się przypadkiem na księżniczkę albo na wyjście z lochów.

Przez jakiś czas mijał kolejne sale pełne spreparowanych zwłok mieszkańców Manator, w wielu przypadkach ułożonych rzędami jak drewno na opał. Po drodze zauważył, że nad każdym wejściem, skrzyżowaniem i rozwidleniem tuneli umieszczono hieroglify. Przyjrząwszy się im bliżej, doszedł do wniosku, że wskazywały kierunek, w jakim biegł korytarz, umożliwiając szybkie i sprawne przemieszczanie się w podziemiach ludziom, którzy potrafili je odczytać. Niestety, Turan nie rozumiał pisma Manator, a nawet gdyby potrafił odcyfrować wskazówki, mogły one okazać się nieprzydatne komuś nie znającemu miasta. Nie potrafił ich jednak odczytać, ponieważ choć na Barsoom istnieje tylko jeden język mówiony, rodzajów pisma jest tyle, co narodów. Mimo to, wkrótce widział wyraźnie jedno: umieszczony nad wlotem korytarza hieroglif pozostawał niezmienny aż do jego końca.

Wkrótce na podstawie przebytej drogi wysnuł wniosek, że lochy stanowiły część rozległej sieci, obejmującej prawdopodobnie całe miasto. Tak czy owak, nabrał przekonania, że znalazł się poza pałacem. Od czasu do czasu wygląd sal i korytarzy ulegał zmianie; wszystkie były teraz oświetlone, na ogół dość słabo, za pomocą lamp radowych. Przez dłuższy czas nie zauważył żadnych oznak życia poza przypadkowymi spotkaniami z ulsio, aż za jednym z licznych punktów przecięcia tuneli natknął się niespodziewanie na jakiegoś wojownika. Żołnierz obrzucił go spojrzeniem, skinął głową i poszedł dalej. Turan westchnął z ulgą, uświadomiwszy sobie, że jego przebranie okazało się skuteczne. Otrzeźwiło go jednak zawołanie wojownika, który zatrzymał się i odwrócił w jego stronę. Pantan cieszył się, że miał przy sobie miecz, przeciwnik był tylko jeden i obaj znajdowali się w mrocznym zakątku lochów, ponieważ czas był na wagę złota.

– Słyszałeś coś o drugim zbiegu? – zawołał do niego żołnierz.

– Nie – odparł Turan bez najmniejszego pojęcia, o czym była mowa.

– Nie ucieknie – stwierdził strażnik. – Kobieta wręcz wbiegła nam w ręce, ale zaklinała się, że nie wie, dokąd poszedł.

– Zabrali ją do O-Tara? – zapytał Turan, który domyślił się już, o kim mówił żołnierz, i pragnął usłyszeć więcej.

– Trafi do Wież Jetana – odparł wojownik. – Igrzyska zaczynają się już jutro. Na pewno będą o nią grać, choć mimo jej urody wątpię, czy ktoś ją zechce. Nie boi się nawet O-Tara. Na Clurosa! Trudno byłoby ją ujarzmić! To istna samica bantha, nie dla mnie. – Ruszył dalej, potrząsając głową.

Turan pobiegł przed siebie, szukając wyjścia na ulicę, kiedy dotarł niespodziewanie do otwartych drzwi celi, w której zastał przykutego do ściany człowieka. Rozpoznałszy A-Kora i przekonawszy się, że przypadkiem udało mu się wrócić do celi, w której go przetrzymywano, Turan wydał cichy okrzyk radości i zdziwienia. A-Kor podniósł na niego pytające spojrzenie, nie rozpoznając dawnego współwięźnia. Turan podszedł do stołu, nachylił się ku niemu i szepnął:

– To ja, Turan. Trzymali mnie tu z tobą.

A-Kor przyjrzał mu się uważnie.

– Rodzona matka by cię nie poznała! – powiedział. – Opowiadaj, co się z tobą działo, od kiedy cię zabrali?

## Szachiści Marsa

---

Turan zdał mu relację z zajęć w sali tronowej O-Tara i podziemiach pałacu.

– Teraz muszę znaleźć te wieże – ciągnął – i zobaczyć, co mogę zrobić, żeby uwolnić księżniczkę.

A-Kor potrząsnął głową.

– Byłem nadzorcą wież przez wiele lat – powiedział – i powiem ci, że równie dobrze mógłbyś próbować samotnie zrównać Manator z ziemią, jak wyciągnąć stamtąd więźnia.

– Ale muszę to zrobić – odparł Turan.

– Powiedziałeś, że jesteś nieprzeciętnie dobry w walce na miecze? – spytał po jakimś czasie A-Kor.

– Tak o mnie mówią – oznajmił Turan.

– A zatem jest pewien sposób... Pst! – Zamilkł nagle, wskazując podłogę pod ścianą po drugiej stronie celi.

Turan podążył wzrokiem za jego ręką i ujrzał wielkie szczypce i wypukłe oczy, wystające ze szczurzej nory.

– Ghek! – zawołał. Kaldan wyczołgał się zaraz z nory i podpełzł do stołu. A-Kor cofnął się z cichym okrzykiem obrzydzenia. – Nie bój się – dodał mu otuchy Turan. – To przyjaciel, o którym ci opowiadałem, ten sam, który zatrzymał O-Tara, żebym mógł uciec z Tarą.

Ghek wdrapał się na blat stołu i usiadł między nimi.

– Możesz spokojnie uznać, że pod względem sprawności we władaniu mieczem, w całym Manator nie ma lepszego od Turana – zwrócił się do A-Kora. – Słyszałem waszą rozmowę. Mów dalej.

– W obecności przyjaciela mogę wytłumaczyć jedyny sposób na uratowanie księżniczki – ciągnął A-Kor. – Zrobili ją nagrodą w igrzyskach, a ponieważ odtrąciła O-Tara, jeddak rozkazał, aby grali o nią niewolnicy i pospolici wojownicy. Zamierza ją w ten sposób ukarać, bowiem dostanie ją nie jeden człowiek, a wszyscy gracze zwycięskiej drużyny, którym uda się przeżyć. Przed rozgrywką można jednak spłacić pozostałych graczy. Mógłbyś to zrobić, a wtedy – o ile udałoby wam się wygrać, a ty byś przeżył – księżniczka zostałaby twoją niewolnicą.

– Ale jak ma to zrobić ktoś tu obcy, a na domiar złego ścigany jako zbieg? – zapytał Turan.

– Nikt cię nie rozpozna. Pójdiesz jutro do nadzorca wież i zgłosisz się do gry, w której nagrodą będzie Tara. Powiesz, że przyjechałeś z Manataj, najbardziej oddalonego miasta kraju. Gdyby cię wzięli na spytki, możesz twierdzić, że widziałeś, jak wjeżdżała do miasta. Jeśli wygrasz i zdobędziesz ją, możesz wziąć thoaty z moich stajni. Dam ci znak, dzięki któremu dostaniesz do dyspozycji cały mój majątek.

– Ale jak zdołam spłacić innych graczy, nie mając pieniędzy? – powiedział Turan. – Nie mam przy sobie nic, nawet waluty mojego kraju.

A-Kor otworzył torbę i wyciągnął pęk banknotów Manator.

– Wystarczy z nawiązką, żeby ich spłacić – powiedział, wręczając część pliku Turanowi.

– Dlaczego robisz to dla obcego człowieka? – zapytał pantan.

– Moja matka jest księżniczką, która była więźniem w tym mieście – odparł A-Kor. – Robię dla twojej księżniczki dokładnie to, czego by sobie życzyła.

– W tych okolicznościach nie pozostaje mi nic innego, jak przyjąć twoją hojność w imieniu Tary z Helium, z nadzieją, że dożyję dnia, kiedy będę mógł ci się odwdziżyć – oświadczył Turan.

– Musisz już iść – poradził A-Kor. – Strażnicy mogą się tu zjawić w każdej chwili. Pójdiesz na ulicę Bramną, która otacza całe miasto, zaraz przy murze. Znajdziesz na niej wiele noclegowni, poznasz je po głowie thoata nad drzwiami. Powiesz, że przyjechałeś z

## Szachiści Marsa

---

Manataj na igrzyska. Przedstaw się jako U-Kal. Nie będziesz wzbudzać podejrzeń, o ile tylko będziesz unikał rozmów. Z samego rana idź do nadzorcy więz. Niech ci sprzyjają przodkowie!

Pożegnawszy się z Ghekiem i A-Korem, pantan kierując się wskazówkami tego ostatniego poszedł w stronę ulicy Bramnej, którą bez trudu znalazł. Po drodze natknął się na kilku żołnierzy, ale poza zdawkowym skinieniem głowy, nie zwrócili na niego uwagi. Z łatwością udało mu się znaleźć nocleg w tłumie przyjezdnych z innych miast kraju, a ponieważ nie spał od zeszłej nocy, rzucił się od razu na posłanie, aby zapewnić sobie odpoczynek, potrzebny mu, jeśli nazajutrz miał walczyć w służbie Tary.

Obudził się rano, wstał, zapłacił za nocleg i znalazł jakąś jadłodajnię. Zaraz potem udał się do Wież Jetana, które znalazł bez trudu, podążając za tłumem ludzi idących na igrzyska. Nowy nadzorca Wież, który zastąpił E-Meda, był zbyt zajęty, żeby przyglądać się uważnie zgłaszającym udział graczom, ponieważ oprócz nich musiał zająć się również dziesiątkami więźniów i niewolników, zmuszonych do udziału w grze przez władze lub właścicieli. Zapisywał imię każdego, wraz z przydzieloną mu pozycją, oraz numerem rozgrywki lub rozgrywek, w których brał udział. Przypisywał również zastępców każdemu z graczy zgłoszonemu do więcej niż jednej partii, po jednym do każdej rozgrywki, aby w razie śmierci lub okaleczenia gracza nie doszło do opóźnień.

– Godność? – zapytał pisarz, kiedy Turan stanął przed nim.

– U-Kal – odparł pantan.

– Skąd jesteś?

– Manataj.

Stojący obok nadzorcy obrzucił Turana spojrzeniem.

– Przybywasz z daleka, żeby zagrać – powiedział. – Mieszkańcy Manataj nieczęsto pojawiają się na innych igrzyskach poza organizowanymi co dziesięć lat. Co tam u O-Zara? Przyjedzie za rok? To był wojownik. Jeśli władasz mieczem choć w połowie tak dobrze jak on, Manataj zasłynie dziś jeszcze bardziej. No co tam u niego?

– Wszystko w porządku – odpowiedział bez zająknięcia Turan. – Kazał pozdrowić przyjaciół w Manator.

– Świetnie! – stwierdził głośno nadzorca. – To do której gry cię zapisać?

– Chcę grać o tę księżniczkę z Helium – odparł Turan.

– Człowieku, ta kobieta to nagroda dla kryminalistów i niewolników! – powiedział głośno nadzorca. – Nie chcesz chyba brać udziału w takiej grze!

– Owszem, chcę – oświadczył Turan. – Widziałem, jak wjeżdżała do miasta, i obiecałem sobie, że będzie moja.

– Ale jeśli wygrasz, będziesz musiał podzielić się nią z resztą drużyny – oponował nadzorca.

– Może uda mi się przemówić im do rozsądku – obstawał przy swoim Turan.

– I narazisz się na gniew O-Tara, który nie pała miłością do tej dzikuski – dodał Manatorianin.

– Kiedy ją wygram, O-Tar się jej pozbędzie – stwierdził Turan.

Nadzorca pokręcił głową.

– Nierozważny jesteś – powiedział. – Szkoda, że nie mogę odwieść przyjaciela mojego druha O-Zara od tego szaleństwa.

– Chciesz oddać przyjacielowi O-Zara przysługę? – zapytał Turan.

– Chętnie! – zawołał nadzorca. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Postaw mnie na pozycji Czarnego Wodza i daj mi graczy wyłącznie spośród niewolników z Gathol. Słyszałem, że to wspaniali wojownicy – oznajmił pantan.

---

## Szachiści Marsa

---

– Dziwna prośba – stwierdził nadzorca. – Ale dla mojego przyjaciela, O-Zara, zrobiłbym i więcej, choć oczywiście... – zawahał się. – Zwyczaj każe, aby gracz, który chce być Wodzem, wniósł niewielką opłatę.

– Oczywiście – zapewnił pospiesznie Turan. – Pamiętam o tym. Miałem właśnie spytać, jaka jest zwyczajowa suma.

– Dla przyjaciela mojego przyjaciela będzie symboliczna – odparł nadzorca, wymieniając kwotę, która Gahanowi, nawykłemu do drożyzny w bogatym Gathol, wydała się śmiesznie niska.

– Kiedy będą o nią grać? – powiedział, wręczając strażnikowi pieniądze.

– To druga z dzisiejszych rozgrywek. A teraz chodź, dobierzesz sobie drużynę.

Turan poszedł za nadzorcą na spory dziedziniec między wieżami a polem do gry, na którym zebrały się setki wojowników. Wyznaczeni już Wodzowie wybierali właśnie graczy i przydzielali im role, choć w głównych rozgrywkach były one ustalone od tygodni. Strażnik zaprowadził go do części dziedzińca, gdzie zebrała się większość niewolników.

– Wybieraj spośród tych, którzy nie są jeszcze przydzieleni do żadnej gry – powiedział. – Kiedy skompletujesz zespół, przejdziecie na pole. Tam jeden ze strażników wskaże ci miejsce, w którym zaczekacie, aż zapowiem początek drugiej gry. Powodzenia, U-Kal, choć z tego, co słyszałem, więcej szczęścia będziesz miał, jeśli uda ci się nie wygrać tej niewolnicy.

Kiedy strażnik zniknął, Turan podszedł do niewolników.

– Potrzebuję dobrych fehmistrzów do drugiej gry – ogłosił. – Szukam tylko ludzi z Gathol, bo słyszałem, że to wspaniali wojownicy.

Jeden z niewolników wstał i podszedł do niego.

– Wszystko mi jedno, kiedy zginę, w drugiej partii czy innej – oznajmił. – Mogę zagrać dla ciebie jako pantan.

Po nim podszedł następny.

– Nie jestem z Gathol – powiedział. – Pochodzę z Helium i chcę bić się o honor naszej księżniczki.

– Dobrze! – zawołał Turan. – Czy w Helium byłeś znanym szermierzem?

– Służyłem jako dwar pod wielkim Wodzem, walcząc u jego boku w dziesiątkach bitew od Złotych Klifów aż po Jaskinie Trupów. Nazywam się Val Dor. Kto zna Helium, słyszał na pewno o moim męstwie.

Imię nie było obce Gahanowi, który słyszał o nim podczas ostatniej wizyty w Helium wraz ze wzmiankami o sławie wielkiego wojownika i jego tajemniczym zaginięciu.

– Nie wiem nic o Helium – powiedział. – Ale jeśli jesteś tak dobry, jak twierdzisz, możesz zagrać dla mnie jako Statek. Co ty na to?

Mężczyzna spojrzał na niego z zaskoczeniem. Obrzucił Turana czujnym spojrzeniem, przyglądając się bacznie jego uprząży, po czym podszedł blisko, tak żeby nikt poza pantanem nie słyszał jego słów.

– Wydaje mi się, że znasz Helium lepiej niż Manator – szepnął.

– Co masz na myśli? – zapytał Turan, próbując odgadnąć przyczyny wiedzy, domysłów lub inspiracji niewolnika.

– Chcę powiedzieć, że nie jesteś z Manator i jeśli zamierzasz to ukryć, to lepiej, żebyś w rozmowie z mieszkańcami miasta nie nazywał figury, którą mi przydzieliłeś, jak to zrobiłeś przed chwilą: Statkiem! – odparł Val Dor. – W Manator nie ma statków i w jetanie nie używają figury o tej nazwie. Zamiast tego, figurę stojącą obok Wodza lub Księżniczki nazywają Odwarem. Ruchy i waga są te same, co u Statku w wersji gry poza Manator. Pamiętaj o tym i wiedz, że twój sekret jest bezpieczny w mojej pieczy.

Turan nie odpowiedział, zajmując się za to selekcją pozostałych graczy. Val Dor i Floran, ochotnik z Gathol pomagali mu, wykazując się znajomością większości wybranych przez niego ludzi. Rozdzielili go na pozycje, Turan zaprowadził drużynę na wyznaczone miejsce przy polu do gry, gdzie mieli czekać na swoją kolej. Rozgłosił zaraz, że gra szła nie tylko o stawkę, jaką obiecał wypłacić za księżniczkę w razie wygranej. Zawodnicy zgodzili się na nią, wiedział więc, że po zwycięstwie Tara przypadłaby jemu. Wiedział jednak również, że zespół o honor walczyłby o niebo lepiej niż dla pieniędzy, i bez trudu udało mu się zaciekawić nawet ludzi z Gathol możliwością służenia księżniczce. Teraz zaczął roztaczać przed nimi wizję zdobycia jeszcze wspanialszej nagrody.

– Nie mogę wam niczego obiecać – powiedział. – Mogę za to powiedzieć, że usłyszałem dziś o czymś, co być może w razie wygranej pozwoli wam odzyskać wolność!

Poderwali się z ziemi i stłoczyli wokół niego, zasypując pytaniami.

– Nie mogę mówić głośno – szepnął. – Ale Floran i Val Dor znają was i zapewniają, że można wam zaufać. Słuchajcie! Po tym, co wam powiem, moje życie znajdzie się w waszych rękach, ale musicie wiedzieć, że każdy z was stoczy dziś najważniejszą walkę życia: o honor i wolność najpiękniejszej księżniczki Barsoom, oraz o własną wolność i szansę na powrót do ojczyzny i czekającej na niego kobiety.

– Przede wszystkim zdradzę wam mój sekret: nie pochodzę z Manator. Podobnie jak wy, jestem niewolnikiem, choć ukrywam się pod przebraniem wojownika z Manataj. Muszę zataić moje pochodzenie i tożsamość z powodów, które nie mają znaczenia dla dzisiejszej rozgrywki. Widzicie, jestem jednym z was i zamierzam walczyć o to samo.

– A teraz powiem wam, czego się niedawno dowiedziałem. Przedwczoraj w pałacu doszło do zatargu między O-Tarem a U-Thorem, wielkim jedem Manatos, których wojska starły się z sobą. U-Thor wycofał się do Bramy Nieprzyjaciół, gdzie stanął obozem. W każdej chwili może znowu dojść do walki, a U-Thor posłał podobno do Manatos po posiłki. Gatholianie, oto, co może was zaciekawić. U-Thor pojął niedawno za żonę byłą niewolnicę O-Tara, księżniczkę Haję z Gathol, której syn, A-Kor, był tu dworem wież. Księżniczka dochowała w sercu wierności ojczyźnie, pozostając pełna współczucia dla uwięzionych tu rodaków. W pewnej mierze udało jej się przekazać te uczucia U-Thorowi. Pomóżcie mi uwolnić księżniczkę Tarę, a jestem pewny, że uda nam się razem wydostać z miasta. Podejdźcie bliżej, niewolnicy O-Tara, żeby nieprzyjaciel nie podsłuchał moich słów – po czym Gahan wyjaśnił im szeptem swój śmiały plan. – Niech wystąpią teraz ci, którym brak odwagi – zażądał. Nikt nawet nie drgnął. – Nie ma takich?

– Gdybym cię tym nie zdradził, rzuciłbym ci miecz do stóp – oznajmił jeden z wojowników nabrzmiałym tłumionymi uczuciami głosem.

– I ja! I ja! Ja też! – zawtórowała reszta ożywionym szeptem.

## ROZDZIAŁ 17

### GRA O ŻYCIE

Nad polem gry poniósł się słodki i czysty głos trąbki. Dźwięk popłynął z Wysokiej Wieży ponad miastem, przebijając się przez zgiełk tłumu wypełniającego siedzenia amfiteatru, wzywając graczy do pierwszej partii. Równocześnie na tysiącu masztów na wieżach, blankach i murach olbrzymiej budowli załopotaly wyszywane bogato, barwne proporce wodzów Manator. W ten sposób inaugurowano Igrzyska Jeddaka, najważniejsze w roku i ustępujące tylko rozgrywkom odbywającym się raz na dziesięć lat.

Gahan przyglądał się bystrym okiem każdej zagrywce w niezbyt ważnej grze, służącej wyłącznie rozstrzygnięciu jakiegoś drobnego zatargu między dwoma wodzami, rozgrywanej przez zawodowych graczy na punkty. Nie było zabitych, połało się niewiele krwi. Partia trwała mniej więcej godzinę i skończyła się, kiedy Wódz przegranej strony umyślnie poddał pojedynek, doprowadzając do remisu.

Trąbka zabrzmiała znowu, zapowiadając drugą i ostatnią rozgrywkę tego popołudnia. Choć sama gra nie należała do ważnych, które zarezerwowano na czwarty i piąty dzień igrzysk, pod względem emocji zapowiadała się całkiem obiecująco, ponieważ rozgrywano ją na śmierć i życie. Zasadnicza różnica między grą rozgrywaną za pomocą martwych figur a tą, w której biorą udział żywi ludzie polega na tym, że o ile w pierwszej figura kończąc ruch na polu zajmowanym przez figurę przeciwnika zbija ją, w drugiej staczają one walkę o zajmowane przez obie pole. Stąd w drugim przypadku liczy się nie tylko znajomość zasad jetana i strategii, ale również męstwo i waleczność każdego z graczy, stąd dla każdego Wodza nieodzowna jest znajomość własnych ludzi i graczy strony przeciwnej.

Pod tym względem przeciwnik miał nad Gahanem przewagę, choć lojalność jego drużyny w dużym stopniu równoważyła brak wiedzy o ich możliwościach. Gracze pomogli mu ustawić się w najkorzystniejszych pozycjach, opowiadając otwarcie o swoich wadach i zaletach. Ten walczył dobrze, kiedy jego strona zaczynała przegrywać, tamten był zbyt wolny, trzeci zbyt impulsywny, inny znów miał nerwy ze stali i ogień w sercu, ale brakło mu wytrwałości. Niewiele, a praktycznie nic nie wiedzieli za to o przeciwniku, zatem dopiero kiedy oba zespoły zaczęły ustawiać się na pomarańczowych i czarnych polach szachownicy, Gahan mógł przyjrzeć się bliżej graczom drugiej strony. Brakowało jeszcze Pomarańczowego Wodza, ale wszyscy jego ludzie ustawili się już na pozycjach. Val Dor odwrócił się do Gahana.

– To kryminaliści z miejskich lochów – stwierdził. – Nie widzę tam ani jednego niewolnika. Przynajmniej nie musimy walczyć z rodakami. Każdy zabity dziś przez nas człowiek jest po stronie wroga.

– Wspaniale – odparł Gahan. – Ale gdzie ich Wódz i obie Księżniczki?

– Idą właśnie, widzisz? – powiedział Val Dor, wskazując w stronę, z której nadchodziły pod strażą dwie kobiety.

Kiedy podeszły bliżej, Gahan zauważył, że jedną rzeczywiście była Tara, ale drugiej nie rozpoznawał. Po chwili wprowadzono je na środek planszy, gdzie oczekiwały na przybycie Pomarańczowego Wodza.

Na jego widok, Floran wydał głośny okrzyk zdziwienia.

– Na moich przodków, toż to jeden z wodzów! – zawołał. – A mówili, że w tej grze mieli walczyć tylko przestępcy i niewolnicy!

Przerwał mu nadzorca Wież, do którego obowiązków należało nie tylko zapowiadanie początku rozgrywki i nagrody, ale i sędziowanie.

– W drugiej grze pierwszego dnia Igrzysk Jeddaka czterysta trzydziestego trzeciego roku panowania O-Tara, jeddaka Manator, nagrodą będą tylko Księżniczki obu stron, które zostaną oddane zwycięzcom, aby postąpili z nimi wedle uznania. Pomarańczową Księżniczką jest niewolnica Lan-O z Gathol, Czarną – niewolnica Tara, księżniczka Helium. Czarnym Wodzem jest ochotnik, U-Kal z Manataj; Pomarańczowym – dwar 8. utanu jeddaka Manator, U-Dor, który również dobrowolnie zgłosił się do udziału w grze. Walka toczy się na śmierć i życie. Prawo Manator jest sprawiedliwe! Skończyłem.

Pierwszeństwo ruchu przypadło U-Dorowi. Następnie obaj Wodzowie odprowadzili swoje Księżniczki na pole, które każda miała zająć. Po raz pierwszy, od kiedy Tarę wprowadzono na planszę, Gahan był z nią sam na sam. Podchodząc do niej, widział, że przyglądała mu się uważnie, i zaciekawiło go, czy go rozpoznała. Nawet jeśli tak było, nie dała tego po sobie poznać. Pamiętał jej ostatnie słowa: „Nienawidzę cię!” i to, że zostawiła go, zamkniętego przez I-Gosa w podziemiach, nie próbował więc zdradzić jej, kim naprawdę był. Zamierzał walczyć o nią i zginąć, gdyby okazało się to konieczne, a gdyby nie zginął – walczyć do samego końca o jej miłość. Gahan nie poddawał się łatwo, ale musiał przyznać, że jego szanse na zdobycie sympatii księżniczki były niewielkie. Zdążyła odtrącić go już dwa razy: raz jako jeda Gathol i ponownie jako pantana Turana. Ale dobro Tary było ważniejsze od jego uczuć, które musiały zaczekać, dopóki nie zadba o jej bezpieczeństwo.

Minęli czekających na pozycjach graczy, po czym zajęli miejsca na przypisanych polach. Po lewej stronie Tara miała Czarnego Wodza, Gahana z Gathol. Zaraz przed nią stał Pantan, Floran z Gathol, a po prawej stronie Odwar, Val Dor z Helium. Każdy z nich, podobnie jak reszta drużyny Czarnych, znał swoje zadanie, które miał wykonać, czy to na śmierć czy życie. Kiedy Tara ustawiła się na pozycji, Val Dor uklonił się jej nisko.

– Składam mój miecz u twoich stóp, księżniczko – oświadczył.

Odwróciła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem i niedowierzaniem na twarzy.

– Dwar Val Dor! – zawołała. – Val Dor z Helium, jeden z zaufanych oficerów mojego ojca! Czyżby mój wzrok mnie mamił?

– To ja, księżniczko – odparł wojownik. – Gotów oddać za ciebie życie, jeśli będzie trzeba, podobnie jak każdy po tej stronie pola. Musisz wiedzieć, że nie mamy w drużynie ani jednego wojownika z Manator – szepnął. – Są w niej wyłącznie wrogowie twoich nieprzyjaciół.

Posłała zaraz znaczące spojrzenie w stronę Gahana.

– A on? – szepnęła, po czym wstrzymała oddech w niedowierzaniu. – Na ducha pierwszego jeddaka! – zawołała. – Niemal nie poznałam go w tym przebraniu.

– Ufasz mu? – zapytał Val Dor. – Nie znam go, ale mówił uczciwie, jak człowiek honoru, i postanowiłem mu zaufać.

– I nie pomyliłeś się – stwierdziła Tara. – Powierzyłabym mu życie i duszę, i to samo poleciłabym tobie.

Gdyby Gahan słyszał te słowa, czułby się naprawdę szczęśliwy. Niestety, fortuna, która w takich sprawach zwykle nie sprzyja kochającym, zrzuciła inaczej. Zaczęła się gra.

U-Dor przesunął Odwara Księżniczki o trzy pola na ukos w prawo, umieszczając go na siódmym polu od Odwara Czarnego Wodza. Ruch wskazywał na to, jaką grę zamierzał stoczyć U-Dor: opartą raczej na rozlewie krwi niż na strategii. Świadczył też o pogardzie, jaką żywił dla przeciwnika.

Gahan odpowiedział bardziej przemyślanym ruchem, przesuwając Pantana stojącego przed Odwarem Wodza o jedno pole do przodu. Tym sposobem otworzył sobie drogę przez



rząd Pantanów, równocześnie pokazując widzom i graczom, że zamierza wziąć udział w walce, zanim zmusi go do tego przebieg partii. Ruch spotkał się z aplauzem w części widowni przeznaczony dla pospolitych wojowników i ich kobiet, świadczącym, że U-Dor nie cieszył się chyba wśród nich zbyt dużą popularnością. Nie pozostał też bez wpływu na morale zespołu Gahana. Wódz może spędzić niemal całą partię, nie opuszczając własnego pola, z którego kieruje ruchami innych figur, siedząc na grzbiecie thoata. Często tak się właśnie dzieje. Nie można go też ganić za brak odwagi, jeśli zechce grać w ten sposób, ponieważ zgodnie z zasadami jetana, jeśli Wódz zginie lub odniesie rany uniemożliwiające mu dalszy udział w grze, partia, którą mogły rozstrzygnąć zmysł strategiczny i męstwo graczy, kończy się remisem. Tak wczesne otwarte wyzwanie do walki wskazywało zatem na wiarę we własne umiejętności we władaniu mieczem oraz niepospolite męstwo, co tchnęło w Czarnych graczy odwagę i nadzieję.

W kolejnym ruchu U-Dor przeniósł Odwara Lan-O na czwarte pole od Odwara Tary, szykując się do zbitcia Czarnej Księżniczki.

Nie zbijając Pomarańczowego Odwara ani nie przesuwając Księżniczki w bezpieczne miejsce, Gahan przegrałby partię w kolejnym ruchu. Przesunięcie Księżniczki świadczyłoby jednak, że wierzy w przewagę Pomarańczowych. Mogąc przesunąć się tylko o trzy pola, sam nie mógł dojść do pozycji zajętej przez Pomarańczowego Odwara. Tylko jeden gracz po jego stronie mógł z nim o nie walczyć: stojący po lewej stronie Odwar Wodza. Gahan okręcił się na thoacie i spojrzał w jego stronę. Widział rosłego wojownika we wspaniałym, błyszczącym kostiumie Odwara, z oznaczającymi jego pozycję pięcioma piórami, które sterczały wyzywająco z gęstych czarnych włosów. Podobnie jak wszyscy gracze na planszy i widzowie na zatłoczonych trybunach, wiedział, co działo się w umyśle Czarnej Wodza. Nie ośmielił się odezwać, ponieważ zabraniały tego reguły gry, ale czego nie mógł wyrazić słowami, zdradzał wymownie płomiennym, marsowym spojrzeniem: „Nie narażę na szwank honoru Czarnych i naszej Księżniczki!”.

Gahan przestał się wahać.

– Odwar Wodza na czwarte pole od Odwara Księżniczki! – polecił, podejmując odważnie rzucone przez przeciwnika wyzwanie.

Wojownik ruszył do przodu, wskakując na pole zajęte przez gracza Pomarańczowych. Było to pierwsze starcie w tej grze. Po pierwszych oklaskach, jakimi powitano ruch, w amfiteatrze zapadła cisza. Gracze wbili wzrok w walczących, widzowie pochylili się do przodu w siedzeniach. Gdyby Czarny Odwar przegrał, U-Dor mógł przesunąć swoją zwycięską figurę na pole zajęte przez Tarę, tym samym kończąc grę zwycięstwem w czterech ruchach. Gdyby to Pomarańczowy uległ przeciwnikowi, U-Dor straciłby jedną z najważniejszych figur oraz przewagę, jaką dawało mu pierwszeństwo ruchu.

Pod względem fizycznym obaj mężczyźni byli sobie równi. Obaj też walczyli o życie, ale od początku widać było, że Czarny Odwar górował nad przeciwnikiem umiejętnościami we władaniu mieczem. Gahan wiedział też, że dysponował jeszcze inną, może ważniejszą przewagą. Zawodnik Pomarańczowych walczył tylko o życie, podczas gdy ramię Czarnej Odwara umacniały honor i lojalność. Ponadto, wtajemniczony przez Gahana przed grą w jego plan walczył też o to, co dla szlachetnego człowieka jest cenniejsze niż życie.

Obserwujący pojedynek przyglądali się wojownikom w zauroczony ciszy. Tnące powietrze ostrza połyskiwały w słońcu, dźwięcząc do wtóru parowanym ciosom i pchnięciom. Wspaniałe stroje walczących dodawały brutalnej scenie barbarzyńskiego splendoru. Pomarańczowy Odwar, zepchnięty do defensywy, walczył desperacko o życie. Czarny ze spokojną, nieustępliwą metodycznością spychał go krok po kroku w kąt pola, z którego nie było ucieczki. Poddanie pola oznaczało zostawienie go przeciwnikowi i

wystawienie się na haniebną, błyskawiczną śmierć na oczach drwiącej widowni. Czując nowy przyływ sił, wynikający z beznadziejnego położenia, Pomarańczowy Odwar zdobył się niespodziewanie na zawzięte natarcie, którym zepchnął Czarnego gracza o sześć kroków w tył, po czym wyrzucił miecz do przodu, utaczając z ręki przeciwnika pierwszą krew w rozgrywce. Pomarańczowi podnieśli słabo maskowany okrzyk zachęty; ich Odwar, zachęcony sukcesem, próbował zaskoczyć Czarnego raptownością ataku. W pewnej chwili miecze poruszały się tak szybko, że widzowie nie nadążali za nimi wzrokiem. Wreszcie Czarny Odwar odbił błyskawicznie zwodnicze cięcie, wyrzucił miecz do przodu w powstałą lukę i przebił serce Pomarańczowego Odwara, zagłębiając w nim miecz po rękojeść.

Na trybunach podniósł się głośny okrzyk, ponieważ bez względu na sympatię widzów, trzeba było przyznać, że walka była wspaniała i wygrał ją lepszy wojownik. Czarni gracze odetchnęli z ulgą, otrząsając się z napięcia ostatnich chwil.

Nie będę zamęczał cię szczegółami rozgrywki: opowiem tylko o najważniejszych posunięciach, bez których trudno byłoby zrozumieć wynik. Czwarty ruch po zwycięstwie Czarnego Odwara doprowadził Gahana o cztery pola od U-Dora. Po prawej na ukos miał przed sobą Pomarańczowego Pantana, jedyną figurę poza samym U-Dorem, która mogła z nim walczyć.

Od dwóch ostatnich posunięć widać było wyraźnie, że Gahan wędrował po planszy prosto na połowę przeciwnika, aby stoczyć walkę z Pomarańczowym Wodzem, tym samym stawiając wszystko na wiarę we własne umiejętności, ponieważ starcie Wodków decyduje o rezultacie gry. U-Dor mógł zejść z miejsca i stanąć do walki z Gahanem lub przesunąć na jego pole Pantana Pomarańczowej Księżniczki, z nadzieją, że uda mu się pokonać Czarnego Wodza i doprowadzić do remisu, co zdarza się, kiedy Wódz zostanie zbity przez jakąkolwiek inną figurę przeciwnika. Mógł też zmienić pozycję i przez jakiś czas unikać walki. Taki przynajmniej miał zamiar, co było oczywiste dla wszystkich, którzy widzieli, jak rozgląda się po planszy. Widoczne było również jego rozczarowanie, kiedy przekonał się w końcu, że Gahan zajął pozycję, z której mógł dotrzeć w kolejnym ruchu do każdego dostępnego dwarowi pola.

Widząc zagrożenie Pomarańczowej Księżniczki, U-Dor przesunął ją o cztery pola na wschód od Gahana, z nadzieją, że uda mu się w ten sposób odciągnąć Czarnego Wodza od siebie, ale plan spalił na panewce. Mógł posłać do walki z Gahanem swojego Odwara, ale stracił już jedną z tych figur i nie mógł sobie pozwolić na utratę kolejnej. Znalazł się w niezręcznej pozycji: nie chciał mierzyć się osobiście z Gahanem, a szanse na ucieczkę wyglądały na niewielkie. Została mu tylko jedna nadzieja: Pantan Księżniczki. Bez dalszych deliberacji posłał go zaraz na pole zajęte przez Czarnego Wodza.

Sympatia tłumu leżała teraz całkowicie po stronie Gahana. Gdyby przegrał, partia skończyłaby się remisem, który na Marsie nie cieszy się wcale lepszą opinią niż na Ziemi. Gdyby wygrał, oznaczałoby to niewątpliwie starcie Wodków, na które wszyscy czekali. Zanosilo się na to, że tak czy owak partia i tak nie będzie należała do długich, a tłum wpadłby w szal, gdyby zakończyła się remisem po zaledwie dwóch ofiarach śmiertelnych. Historia rozgrywek znała sławne igrzyska, w których z czterdziestu figur ustawionych na polu na początku gry, pozostawały na planszy tylko trzy: obie Księżniczki i zwycięski Wódz.

Winą za jakość gry obarczali U-Dora, choć w zasadzie miał prawo kierować grą wedle własnego uznania. Nawet unikanie walki z Czarnym Wodzem nie świadczyło koniecznie o braku odwagi z jego strony. Był postawionym wysoko oficerem, który chciał zdobyć niewolnicę z Helium. Walka z przestępcami i niewolnikami, lub nieznanym wojownikiem z Manataj, nie mogła przynieść mu sławy, a i nagroda sama w sobie nie była na tyle ważna, aby nadstawiać dla niej karku.

Ale pojedynek między Czarnym Wodzem i Pomarańczowym pantanem zaczął się już i kolejny ruch zależał wyłącznie od nich. Mieszkańcy Manator po raz pierwszy widzieli Gahana w walce, choć Tara zdążyła już zapoznać się z jego umiejętnościami. Gdyby widział blask dumy w jej oczach, kiedy skrzyżował ostrze z Pomarańczowym, na pewno zdziwiłby się, myśląc, czy były to te same oczy ślące mu płomienną nienawiść, kiedy zasypał wargi dziewczyny namiętnymi pocałunkami w podziemiach pałacu. Obserwując go, nieuchronnie porównywała go z największym fehmistrzem dwóch światów: Johnem Carterem z Wirginii, jej ojcem, księciem Helium i Wodzem Barsoom, i nabierała przekonania, że umiejętności jej pantana niewiele traciły w tym zestawieniu.

Pojedynek był krótki i szybki. Widzowie szykowali się na ciekawą, przeciętnie długą walkę, kiedy popis szybkości ostrza niemal poderwał ich z siedzeń. Pokaz skończył się, zanim ktokolwiek zdążył choćby zaczerpnąć tchu. Widzowie ujrzeli, jak Czarny Wódz cofnął się błyskawicznie opuszczając ostrze, po czym przeciwnik wypuścił broń z palców, chwycił się za pierś, osunął się na kolana i padł twarzą w piach.

Gahan skierował wzrok w stronę oddalonego o trzy pola Pomarańczowego Wodza. Dokładnie taki zasięg ma ruch Wodza: o trzy pola w dowolnym kierunku lub ruchem kombinowanym, pod warunkiem, że nie przejdzie dwa razy przez to samo pole. Widzowie domyślali się już, co zamierzał. Poderwali się z miejsc, rycząc z aprobatą, kiedy zmierzał z rozmysłem w stronę U-Dora.

O-Tar przypatrywał mu się z królewskiej trybuny spod nachmurzonych powiek. Czuł gniew. Gniewał się na U-Dora o to, że zgłosił się do gry o niewolnicę, którą chciał oddać w nagrodę kryminalistom i niewolnikom. Gniewał się na wojownika z Manataj, który tak bardzo górował nad wojownikami z Manator walecznością i zdolnościami dowodzenia. Gniewał się na widownię za otwartą wrogość okazywaną człowiekowi, który od lat pławił się w blasku jego łask. Popołudnie zdecydowanie nie należało do udanych. Otoczenie jeddaka było równie ponure: członkowie królewskiej świty również spoglądali chmurnie na pole, graczy i widownię. Stał wśród nich przygarbiony, pomarszczony starzec, patrzący na pole i graczy słabymi, zażawionymi oczami.

Kiedy Gahan wszedł na pole U-Dora, dwar natarł na niego z furją, która zaskoczyłaby mniej wprawnego i słabszego szermierza. Przez chwilę wojownicy wymieniali zajadle szybkie ciosy, przyćmiewając wszystko, co wydarzyło się wcześniej na arenie. Oto nareszcie znaleźli się dwaj mistrzowie miecza w pojedynku, którego widok wynagradzał widzom wszystko, czego pozbawiła ich krótka rozgrywka. Po pewnym czasie wielu byłoby w stanie przysiąc, że oglądali walkę, która miała przejść do kronik historii rozgrywek jetana w Manator. Obaj wojownicy stosowali wszelkie znane sztuczki i fortele. Raz po raz któryś z nich trafiał drugiego, tocząc krew z miedzianej skóry przeciwnika, dopóki obu nie pokryła czerwona warstwa posoki. Wyglądało jednak na to, że żaden nie był w stanie zadać rozstrzygającego ciosu.

Tara obserwowała przedłużający się pojedynek z drugiego końca planszy. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Czarny Wódz umyślnie pozostawał w defensywie, a nacierając na przeciwnika, omijał niezliczone luki w obronie, widoczne dla jej wprawnych oczu. Wyglądało na to, że ani przez moment nie groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo, nie sprawiał też wrażenia, aby dawał z siebie dość, aby osiągnąć zwycięstwo. Walka przedłużała się, a dzień miał się ku końcowi. Niedługo miała zapaść nagła noc, dzięki rzadkiej atmosferze Barsoom niemal nie zapowiedziana fazą zmierzchu. Czy Wodzowie zamierzali tak walczyć w nieskończoność? Czy gra miała zakończyć się mimo wszystko remisem? Dlaczego Czarny Wódz nie pokonał jeszcze U-Dora?

Tara żałowała, że nie zna odpowiedzi przynajmniej na ostatnie z pytań, była bowiem pewna, że na ile znała Turana, choć walczył wspaniale, nie wkładał w to całego serca. Nie wierzyła, że to strach mógł powstrzymać jego rękę, nie miała za to żadnych wątpliwości, że chodziło o coś więcej niż zwykłą niezdolność do zasypania przeciwnika gradem ciosów. Nie wiedziała jednak o co.

Zauważyła, że Gahan obejrzał się raz w stronę zachodzącego słońca. Za pół godziny miała zapaść nieprzenikniona ciemność. Nagle, wraz z resztą publiczności zaobserwowała w stylu walki Czarnego Wodza niezwykłą zmianę, zupełnie, jakby do tej pory bawił się tylko z U-Dorem. Igrał z nim nadal, ale inaczej, na sposób drapieżnika bawiącego się zdobyczą na chwilę przed jej uśmierceniem. Pomarańczowy Wódz był bezradny wobec górującego nad nim umiejętności fechtmistrza, z którym nie mógł nawet się równać. Widzowie siedzieli z rozdziawionymi ustami, patrząc w zdumieniu, jak Gahan rozniósł przeciwnika na strzępy, a wreszcie zadał mu cios, którym rozplątał go aż po brodę.

Słońce miało zejść za dwadzieścia minut. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

### ROZDZIAŁ 18

## PRÓBA LOJALNOŚCI

Nad polem jetana podniosły się gromkie, długie oklaski. Nadzorca wież wezwał obie Księżniczki i zwycięskiego Wodza na środek planszy, gdzie oddał mu owoc jego męstwa. Następnie, zgodnie ze zwyczajem, członkowie zwycięskiego zespołu z Gahanem i Księżniczkami na czele, ustawili się w procesji za nadzorcą, który zaprowadził ich przed trybunę królewską, aby odebrali pochwałę z ust jeddaka. Ponieważ w trakcie ceremonii wszyscy zawodnicy muszą iść pieszo, thoaty oddano niewolnikom. Dokładnie pod trybuną władcy znajduje się wejście do prowadzącego pod siedzeniami tunelu, zapewniającego dostęp do planszy. Cała grupa zatrzymała się przed nim, mierzona z góry wzrokiem przez O-Tara. Val Dor i Floran, udawszy się po cichu do przodu, podeszli do furty, gdzie byli osłonięci przed wzrokiem patrzących z trybuny O-Tara. Być może zauważył ich nadzorca wież, ale do tego stopnia był zajęty formalnościami przedstawiania jeddakowi zwycięskiego Wodza, że nie zwrócił na nich uwagi.

– Przedstawiam ci U-Kala z Manataj, wielki jeddaku – zawołał donośnym głosem, aby usłyszało go jak najwięcej osób. – Pogromcę Pomarańczowych w drugiej grze Igrzysk Jeddaka czterysta trzydziestego trzeciego roku twego panowania, oraz niewolnice Tarę i Lan-O, abyś oddał mu je w nagrodę.

Kiedy mówił, niski pomarszczony staruszek spojrzął przez poręcz trybuny na stojących za nim troje ludzi. Wyteżał słaby wzrok, próbując zaspokoić starczą ciekawość w niezbyt ważnej kwestii, ponieważ co znaczyły jakieś dwie niewolnice i pospolity wojownik z Manataj dla kogoś, kto zasiadał na trybunach z samym jeddakiem?

– Zasłużyłeś na tę nagrodę, U-Kalu z Manataj – oznajmił O-Tar. – Nieczęsto zdarza nam się oglądać lepsze widowisko. Gdybyś kiedyś znudził się swoim miastem, zawsze znajdziesz u nas miejsce w osobistej straży jeddaka.

Podczas tej przemowy staruszek, najwyraźniej nie mogąc dostrzec twarzy Czarnego Wodza, sięgnął do kieszeni po parę okularów o grubych szklach, które osadził zaraz na nosie. Przez chwilę przyglądał się bacznie Gahanowi, po czym poderwał się i zwracając się do jeddaka, wycelował w wojownika drżący palec. Kiedy wstał, Tara chwyciła Gahana za ramię.

– Turanie! – szepnęła. – To I-Gos! Wydawało mi się, że zabiłam go w podziemiach pałacu. To on! Rozpoznał cię i zaraz...

Ale zamiar I-Gosa był już całkiem wyraźny. Piskliwym głosem wrzasnął:

– To Turan, niewolnik, który wykradł tę kobietę z twojej sali tronowej, O-Tarze! Zhańbił zwłoki jeda I-Mala i przywłaszczył sobie jego uprząż!

W jednej chwili rozpętało się istne pandemonium. Wojownicy poderwali się z siedzeń, sięgając po miecze. Drużyna Gahana ruszyła naprzód, przewracając po drodze nadzorcę wież. Val Dor i Floran otworzyli szeroko bramę pod trybuną, otwierając im drogę do tunelu prowadzącego na ulicę poza Wieżami Jetana. Gahan, otoczony przez swoich ludzi, wciągnął Tarę i Lan-O do tunelu, po czym ruszyli wszyscy biegiem na drugi koniec, próbując dotrzeć tam, zanim odetną im drogę ucieczki. Zdążyli. Kiedy wypadli do miasta, słońce zdążyło już zejść i zapadła ciemność, rozpraszana tylko przestarzałymi, niezbyt wydajnymi latarniami, rzucającymi słabą poświatę na spowite cieniami ulice.

Tara domyśliła się już, dlaczego Turan przeciągał pojedynek z U-Dorem i uświadomiła sobie, że mógł uśmiercić przeciwnika w dowolnie wybranej chwili. Gracze byli

wtajemniczeni w całość planu, przekazanego im przez Gahana przed rozgrywką. Mieli dotrzeć do Bramy Nieprzyjaciół i zaoferować swoje usługi U-Thorowi, wielkiemu jedowi Manatos. Gahan przypuszczał, iż skoro większość z nich pochodziła z Gathol, a on sam mógł zaprowadzić ekipę ratunkową do lochu, w którym zamknięto syna żony jeda, A-Kora, U-Thor na pewno by ich nie odprawił z niczym. Nawet gdyby nie chciał przyjąć ich na służbę, i tak zamierzali przebić się na wolność, w razie konieczności torując sobie drogę przez szeregi żołnierzy jeda, w dwie dziesiątki walcząc z niewielką armią. Z takiego właśnie tworzywa ulepiani są wojownicy Barsoom.

Zdążyli odbiec dość daleko niemal pustą ulicą, zanim usłyszeli oznaki pogoni. Znienacka pojawił się za nimi tuzin jeźdźców na thoatach; najwyraźniej oddział straży jeddaka. Momentalnie na ulicy zapanował chaos pełen szczęku kling, przekleństw żołnierzy i pokwikowania thoatów. Po obu stronach połała się krew. Zginęło dwóch ludzi Gahana, a trzy pozbawione jeźdźców wierzchowce świadczyły przynajmniej częściowo o stratach nieprzyjaciela.

Gahan starł się z wojownikiem, którego wedle wszystkich wskazówek wybrano, aby zajął się właśnie nim, ponieważ żołnierz ruszył prosto w jego stronę, nie zwracając najmniejszej uwagi na kilku innych, którzy próbowali atakować go, kiedy ich mijał. Młody jed, wprawiony w walce pieszej z dosiadającym wierzchowca przeciwnikiem, próbował przesunąć się na lewą stronę od thoata, nieco za jeźdźcem, co było jedyną pozycją, pozwalającą mu zdobyć przewagę nad jeźdźcem czy raczej zredukować przewagę, jaką ten miał nad nim. Manatorianin próbował pokrzyżować mu szyki, manewrując narowistym, złośliwym zwierzęciem, podczas gdy Gahan doskakiwał do niego i odskakiwał, próbując zająć pożądaną pozycję i szukając ustawicznie luk w obronie przeciwnika.

Kiedy byli zajęci tymi manewrami, obok przemknął jakiś jeździec. Kiedy ich mijął, Gahan usłyszał ostrzegawczy okrzyk.

– Ratusz, Turanie! – dobiegł go głos Tary.

Obejrawszy się przez ramię, ujrzał, że pędzący jeździec wciągał właśnie księżniczkę na grzbiet thoata. Z iście piekielną furią Gahan skoczył do przeciwnika i ściągnął go z wierzchowca, a zanim ten spadł na ziemię, uciął mu głowę pojedynczym, czystym cięciem ostrza. Ciało nie zdążyło jeszcze upaść, kiedy Gahan wskoczył na thoata zabitego wojownika i puścił się galopem za coraz mniejszymi sylwetkami Tary i jej porywacza. Odgłosy walki milkły w dali, kiedy ścigał ich aleją wiodącą obok pałacu jeddaka do Bramy Nieprzyjaciół.

Wierzchowiec Gahana, niosąc ciężar jednego jeźdźcy, powoli doganiał obciążonego rumaka Manatorianina. Zbliżali się do pałacu i dzieliło ich już tylko sto jardów, kiedy Gahan zauważył z frustracją, że wojownik skręcił w wielką bramę budynku. Zatrzymał się na chwilę przy strażnikach, po czym zniknął w środku. Gahan omal nie puścił się pędem za nim, ale najwyraźniej jeździec ostrzegł strażników, którzy ruszyli odciąć mu drogę. Ależ skąd! Przecież wojownik nie mógł wiedzieć, że był ścigany, skoro nie widział, jak Gahan złapał thoata, a już na pewno nie spodziewał się pogoni tak szybko. A zatem skoro jemu udało się przejechać przez bramę, to samo mógł zrobić Gahan, ubrany nadal w strój wojownika z Manator. Pomyślał szybko, po czym zatrzymał thoata, rozkazując strażnikom w imię jeddaka, aby go przepuścili. Zawahali się przez chwilę.

– Z drogi! – zawołał Gahan. – Czy królewski goniec musi układać się z wami o prawo dostarczenia swojej wiadomości?

– Komu chcesz ją przekazać? – zapytał dowódca straży.

– Nie widziałeś człowieka, który tu przed chwilą wjechał? – krzyknął Gahan, i nie czekając na odpowiedź popędził thoata, mijając ich i wjeżdżając do pałacu. Kiedy strażnicy

zajęci byli dyskusją nad tym, co zrobić, było już za późno, żeby zrobić cokolwiek, jak to się często zdarza.

Gahan skierował wierzchowca w marmurowe korytarze i kierując się raczej znajomością trasy niż wiedzą, dokąd zabrano Tarę, pojechał w stronę sali tronowej. Na drugim piętrze natknął się na niewolnika.

– Przejeżdżał tędy jeździec z kobietą? – zapytał.

Niewolnik wskazał w kierunku pobliskiej pochylni prowadzącej na trzecie piętro. Gahan puścił się w pościg. W tej samej chwili do pałacu podjechał pędzący wściekle jeździec, który zatrzymał się przy bramie.

– Widzieliście jeźdźca, który ścigał innego, wiozącego przed sobą kobietę? – zawołał do strażników.

– Właśnie wjechał do pałacu – odpowiedział dowódca. – Twierdził, że jest gościem O-Tara.

– To kłamstwo! – zawołał jeździec. – To Turan, zbieg, który dwa dni temu wykradł kobietę z sali tronowej jeddaka. Postawcie wszystkich na nogi! Trzeba go złapać, żywego, o ile to możliwe. Rozkaz O-Tara.

Natychmiast rozesłano wojowników, aby zaczęli szukać Gahana i zaprzęgli do tego pozostałych mieszkańców pałacu. Z powodu igrzysk w olbrzymim budynku zostało niewiele żołnierzy, za to wszyscy, których spotkano, przyłączali się niezwłocznie do poszukiwań, dzięki czemu wkrótce niezliczone sale i korytarze pałacu O-Tara przetrząsało co najmniej pół setki ludzi.

Dotarwszy na trzecie piętro, Gahan dostrzegł zad drugiego wierzchowca znikający za oddalonym załomem korytarza. Popędził zwierzę, ruszając w pościg. Za zakrętem zastał tylko pusty korytarz. Pojechał dalej, aż do pochylni, po której trafił na czwarte piętro. Tu odkrył, że zaczął doganiać jeźdźca, który zniknął właśnie w oddalonych o pięćdziesiąt jardów drzwiach. Podjechawszy bliżej, Gahan przekonał się, że wojownik porzucił thoata i ciągnął właśnie Tarę w kierunku niewielkich drzwi po drugiej stronie sali. W tej samej chwili brzęk uprzęży z tyłu sprawił, że obejrzał się za siebie. W korytarzu, którym tu przybył, ujrzał zbliżających się biegiem trzech pieszych wojowników. Zeskoczył z thoata i wpadł do sali, gdzie Tara próbowała wyrwać się z uchwytu porywacza. Zatrzasnął za sobą drzwi, zaryglował je i sięgając po miecz, ruszył biegiem w stronę Manatorianina. Na widok zagrożenia wojownik kazał mu zatrzymać się, równocześnie odpychając Tarę na długość ramienia i przykładając czubek krótkiego miecza do jej piersi.

– Stój! – zawołał. – Stój albo zabiję ją. O-Tar kazał mi to zrobić, zanim znowu wpadnie w twoje ręce!

Gahan zatrzymał się. Od księżniczki i porywacza dzieliło go tylko parę stóp. Mimo to nie mógł jej pomóc. Wojownik cofał się powoli w stronę otwartych drzwi z tyłu, ciągnąc dziewczynę za sobą. Tara szarpała się i stawiała opór, ale potężnie zbudowany żołnierz chwycił ją od tyłu za uprząż, i trzymał w pozycji, w której była całkiem bezradna.

– Ratuj, Turanie! – zawołała. – Nie pozwól, żeby spotkał mnie los gorszy od śmierci. Wolę zginąć teraz, patrząc na dzielnego przyjaciela, niż potem, walcząc samotnie w obronie swojej czci.

Zrobił krok do przodu. Wojownik przyłożył groźnie ostrze do miękkiej, gładkiej skóry księżniczki. Gahan zatrzymał się.

– Nie mogę, Taro – zawołał. – Nie wiń mnie za moją słabość. Nie mógłbym patrzeć na twoją śmierć. Zbyt mocno cię kocham, córko Helium.

Wojownik O-Tara cofał się nadal z szyderczym uśmiechem na ustach. Dotarł już prawie do drzwi, kiedy w sali za nimi Gahan zauważył kolejnego żołnierza. Zbliżał się od tyłu do

porywacza, przemierzając marmurową podłogę cichym, prawie ukradkowym krokiem, ściskając w prawej dłoni długi miecz.

„Dwóch na jednego”, pomyślał Gahan z ponurym uśmiechem na wargach. Był pewny, że zamknąwszy Tarę w sąsiedniej sali, obaj żołnierze rzucą się na niego. Cóż, skoro nie udało mu się jej uratować, mógł przynajmniej za nią zginąć.

Wtem jego spojrzenie powędrowało ze zdziwieniem do wojownika stojącego na odległość ręki za plecami uśmiechniętego szeroko jeźdźca, który ciągnął Tarę w stronę drzwi. Zauważył, jak nowo przybyły zatrzymał się ze złowieszczym grymasem na twarzy. Widział, jak wielki miecz zakreślił szeroki łuk, nabierając pędu pod własnym ciężarem wspartym siłą stalowych mięśni żołnierza. Ujrzał, jak wbił się w przystrojoną piórami czaszkę Manatorianina, przepoławiając jego sardoniczny uśmiech i wbijając się między żebra aż po mostek.

Kiedy trup zwolnił uchwyt na ręce Tary, dziewczyna nie oglądając się za siebie skoczyła w stronę Gahana. Otoczył ją lewym ramieniem. Nie bronila się wcale przed jego dotykiem. Gahan tymczasem, ściskając miecz w dłoni, czekał na kolejny wyrok losu. Wybawca Tary ocierał krew z ostrza włosami zabitego. Wszystko, łącznie z umundurowaniem członka osobistej straży jeddaka, wskazywało na to, że pochodził z Manator, stąd jego czyn był dla nich kompletnie niezrozumiały. Wreszcie wsunął miecz do pochwy i podszedł do nich.

– Kiedy ktoś ukrywa się pod przybranym imieniem – powiedział, patrząc Gahanowi prosto w oczy – przyjaciel, który przejrzy jego grę, nie byłby nim, zdradzając sekret.

Umilkł, jakby czekając na odpowiedź.

– Postąpiłeś szlachetnie, a twoje wargi wygłosiły wieczną prawdę – odparł Gahan, ciekaw, czy słusznie domyślał się, że wojownik odgadł, kim jest naprawdę.

– A zatem jesteśmy jednomyślni – ciągnął strażnik. – Zdradzę ci wobec tego, że choć znają mnie tu jako A-Sora, moje prawdziwe imię brzmi Tasor. – Urwał, obserwując bacznie twarz Gahana, aby przekonać się, jak przyjmie to wyznanie. Gatholianin nagroził go szybkim, choć pełnym rezerwy spojrzeniem, w którym widać było, że rozpoznał go.

Tasor! Przyjaciel Gahana z młodości, syn wysokiego dostojnika z Gathol, który dzielnie, choć daremnie, poświęcił życie, próbując ocalić jego ojca przed sztyletem skrytobójcy. Tasor we własnej osobie, jako młodszy oficer straży jeddaka Manator! Niewyobrażalne, a jednak Gahan nie miał wątpliwości, że to właśnie on stał teraz przed nim. – Tasor – powtórzył głośno. – To nietypowe imię w tym mieście – dodał zaciekawiony, zadając nieme pytanie. Ciekawiło go, w jaki sposób jego przyjaciel i lojalny poddany został żołnierzem w Manator. Upłynęło wiele lat, od kiedy zaginął w równie tajemniczy sposób, co księżniczka Haja i wielu innych poddanych Gahana. Jed Gathol uważał go od dawna za zmarłego.

– Owszem, nietypowe – odparł Tasor. – Chodźcie. Poszukam dla was kryjówki w jakiejś zapomnianej komnacie w nieużywanej części pałacu, a po drodze opowiem wam o tym, jak Tasor z Gathol stał się A-Sorem z Manator.

– Doszło do tego, kiedy objeżdżałem zachodnie granice Gathol z tuzinem ludzi, szukając zitidarów, które oddaliły się od moich stad. Napadł nas spory oddział Manatorian. Poddaliśmy się dopiero, kiedy zabili mi połowę ludzi, a pozostali nie mogli już walczyć z powodu ran. W ten sposób trafiłem do Manataj, odległego miasta kraju, gdzie sprzedano mnie na targu niewolników. Kupiła mnie pewna kobieta, tamtejsza księżniczka, której wpływy i bogactwo nie miały sobie równych. Zakochała się we mnie, a kiedy jej mąż dowiedział się o tym, próbowała mnie namówić, żebym go zabił. Odmówiłem, wynajęła więc kogoś innego, by to zrobił, po czym wzięła ze mną ślub, ale w całym mieście nikt już nie chciał jej znać, ponieważ podejrzewano, że maczała palce w zabójstwie męża. Wyjechaliśmy więc do Manatos wielką karawaną, wiozącą cały jej majątek, złoto i klejnoty, rozpuszczając



po drodze pogłoski o naszej śmierci. Następnie zmieniliśmy trasę i przyjechaliśmy tu, do Manator, używając nowych imion, aby nas dzięki nim nie rozpoznano. Moja żona skorzystała z majątku, żeby kupić mi stanowisko w straży jeddaka, a ponieważ umarła, nikt już nie wie, że pochodzę z innego kraju. To była piękna kobieta, choć istna diablica.

– Nie próbowałeś nigdy wrócić do ojczyzny? – zapytał Gahan.

– Nadzieja na powrót była wiecznie żywa w moim sercu, i stale układałem w myślach plany ucieczki – odparł Tasor. – Marzę o niej dniem i nocą, ale wracam ciągle do tego samego wniosku: istnieje tylko jeden sposób, aby stąd uciec. Muszę zaczekać, aż uśmiech losu sprawi, że zabiorą mnie na rajd do Gathol. Wtedy, skoro tylko znajdę się we własnym kraju, już mnie nie zobaczą.

– Być może okazja do ucieczki jest tuż przed tobą – powiedział Gahan. – O ile twojej lojalności wobec jeda Gathol nie nadszarpnęły lata służby w Manator – zakończył, praktycznie rzucając tymi słowami wyzwanie.

– Gdyby mój jed był tu teraz, a ja mógłbym złożyć mu przysięgę, nie narażając go na zdemaskowanie – powiedział głośno Tasor – to rzuciłbym mu miecz do stóp i prosił, aby pozwolił mi oddać dla niego życie, jak zrobił to mój ojciec dla jego ojca.

Widać było wyraźnie, że mówił szczerze i w pełni zdawał sobie sprawę z prawdziwej tożsamości rozmówcy. Gahan uśmiechnął się.

– A gdyby on tu był, bez wątpienia kazałby ci użyć wszelkich środków do ratowania księżniczki Tary z Helium – powiedział znacząco. – A gdyby dowiedział się tego, o czym słyszałem podczas pobytu w lochach, kazałby ci pójść do celi, w której trzymają dwara A-Kora, syna Haji z Gathol, uwolnić go, wezwać pod broń niewolników z Gathol i udać się do Bramy Nieprzyjaciół, aby zaoferować waszą służbę mężowi Haji, U-Thorowi z Manataj. W zamian poprosilibyście go, żeby ruszył do szturm na pałac i ocalił księżniczkę Tarę. Następnie, zwróciłby wolność ludziom z Gathol i zapewnił im broń i transport, niezbędne do powrotu do kraju. Tego właśnie zażądałby twój jed, Tasorze.

– I to postaram się zrobić, nie szczędząc starań, kiedy znajdę wam bezpieczną kryjówkę, pantanie – odparł Tasor.

Po spojrzeniu Gahana widział, że jed był z niego zadowolony i w swoim szlachetnym sercu był zdecydowany wykonać polecenie ukochanego władcy lub oddać przy tym życie, uznawszy, że usłyszał z jego ust rozkaz, składający na jego barki odpowiedzialność nie tylko za życie Gahana i Tary, ale i za dobro, a może i przyszłość samego Gathol. Zaczął prowadzić ich szybciej zatęchłymi korytarzami starej części pałacu, w której marmurowe płyty posadzki zalegała niewzruszona warstwa kurzu. Od czasu do czasu sprawdzał drzwi, aż trafił na jedne, które okazały się otwarte. Pchnął je i wprowadził zbiegów do pokrytej grubą warstwą pyłu komnaty, której ściany zdobiły butwiejące jedwabie i futra, stara broń i dawne malowidła o barwach stonowanych przez czas do niezrównanej miękkości.

– Ta kryjówka jest równie dobra jak każda inna – powiedział. – Nikt tu nie przychodzi. Nie byłem tu nigdy, więc wiem o tym miejscu niewiele więcej od was, ale przynajmniej zdołałem tu trafić, kiedy przyniosę wam jedzenie i picie. Ta część pałacu należała do O-Maia Okrutnego za jego rządów, pięć tysięcy lat przed O-Tarem. W jednym z tych pokoiów znaleziono go martwego, z twarzą ściągniętą w tak okropnym wyrazie przerażenia, że ci, którzy je ujrzeli, postradali zmysły. Mimo to na ciele nie było śladów walki. Od tego czasu ludzie unikają jego komnat, ponieważ legenda głosi, że nocami upiory Korfali ścigają tu z wyciem i zawodzeniem ducha złego władcy. Oczywiście, w cywilizowanych krajach, takich jak Gathol czy Helium, podobne opowiadki są wyśmiewane – zakończył, jakby próbując dodać otuchy sobie i swoim towarzyszom.

Gahan roześmiał się.

– Skoro wszyscy, którzy go widzieli, wpadli w obłąd, kto oddał mu ostatnią posługę lub przygotował do niej ciało?

– Nikt – odparł Tasor. – Zostawili go tam, gdzie znaleźli. Murszejące kości jeddaka po dziś dzień spoczywają w jakiejś zapomnianej komnacie zakazanego skrzydła pałacu.

Tasor opuścił ich, zapewniając, że przy pierwszej sposobności porozmawia z A-Korem, a nazajutrz przyniesie im jedzenie i picie<sup>[9]</sup>.

Kiedy wyszedł, Tara odwróciła się do Gahana i zbliżywszy się do niego, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Od kiedy rozpoznałam cię pod tym przebraniem, wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyłam zapewnić cię o mojej wdzięczności i szacunku, jaki zdobyłeś w moim sercu twoją waleczną postawą – powiedziała. – Pozwól, że złożę teraz przed tobą wyraz zobowiązania, a jeśli słowa osoby, której życie i wolność stoją pod znakiem zapytania, nie są puste, przyjmij z moich ust obietnicę hojnej nagrody, którą otrzymasz w Helium z rąk mojego ojca.

– Nie chcę żadnej nagrody poza szczęściem kobiety, którą kocham – oświadczył.

Przez chwilę Tara wyprostowała się dumnie, a w jej oczach pojawił się błysk. Jej spojrzenie zmiało jednak od razu i potrząsnęła ze smutkiem głową, rozluźniając się.

– Nie zamierzam ganić cię, Turanie – oznajmiła. – Choć bardzo zawiniłeś, okazałeś się też szlachetnym i oddanym przyjacielem. Ale nie wolno ci mówić tego, czego nie mogę słuchać.

– Chcesz powiedzieć, że księżniczce nie wolno słuchać wyznania miłości z ust pantana? – zapytał.

– Nie w tym rzecz – odparła. – Po prostu nie przystoi mi słuchać wyznań miłości od jakiegokolwiek mężczyzny poza tym, któremu mnie obiecano: moim rodakiem, Djour Kantosem.

– Czy mam rozumieć, że gdyby nie on... – powiedział

– Milcz! – rozkazała. – Nie wolno ci snuć żadnych przypuszczeń poza tym, co usłyszysz z moich ust.

– Oczy bywają często bardziej wymowne od ust, księżniczko – rzekł. – A w twoich oczach ujrzałem coś, czemu daleko do pogardy czy nienawiści do mnie, zaś serce podpowiada, że twoje usta kłamały, kiedy krzyczałaś w gniewie, że mnie nienawidzisz.

– Nie żywię do ciebie nienawiści, Turanie, ale nie wolno mi cię kochać – stwierdziła bezpośrednio dziewczyna.

– Kiedy wydostałem się ze składu I-Gosa, nieomal uwierzyłem, że mnie nienawidzisz – powiedział. – Tylko nienawiść mogła wytłumaczyć fakt, że zniknęłaś, nie próbując mnie nawet uwolnić. Serce i rozum podpowiadały mi jednak, że nie zostawiłabyś przyjaciela w potrzebie, a choć nadal nie wiem, co się stało, jestem pewny, że nie mogłaś mi pomóc.

– Tak właśnie było – oznajmiła dziewczyna. – Zaledwie I-Gos padł pod moim ciosem, usłyszałam kroki zbliżających się wojowników. Pobiegłam, żeby ukryć się przed nimi, zamierzając wrócić i uwolnić cię. Ale próbując schować się przed jednym patrolem, wpadłam prosto na drugi. Zaczęli wypytywać, gdzie jesteś, i powiedziałam, że poszedłeś przodem, a ja szłam za tobą. W ten sposób odciągnęłam ich od ciebie.

– Wiedziałem – wystarczyło Gahanowi za całą odpowiedź. Za to w sercu czuł radosne uniesienie, jak zakochany, który usłyszał właśnie z ust ubóstwianej istoty wyznanie zainteresowania i przyjaźni, zabarwionych choćby najmniejszą dawką cieplejszych uczuć. Lepiej jest zostać choćby wykorzystanym przez panią swoich uczuć niż być całkowicie ignorowanym.

Rozmawiali w ten sposób w ciemnym pokoju, oświetlonym nikłym blaskiem lamp pokrytych nagromadzonym przez stulecia kurzem. Tymczasem mrocznym korytarzem na

## Szachiści Marsa

---

zewnątrz przesuwała się powoli zgarbiona, pomarszczona postać, wytrzeszczając zza grubych szkieł słabe, załzawione oczy na ślady ludzkich stóp odcisnięte w pokrywającej posadzkę warstwie pyłu.

### ROZDZIAŁ 19

## UPIORY ZMARŁYCH

Noc była jeszcze młoda, kiedy w wejściu do sali biesiadnej, w której O-Tar z Manator posilał się w towarzystwie wodzów, pojawił się jakiś człowiek i minawszy strażników wszedł do środka z tupetem uprzywilejowanej postaci, którą istotnie był. O-Tar raczył go zauważyć dopiero kiedy podszedł do szczytu długiego stołu.

– To ty, siwy starcze! – zawołał. – Co cię sprowadza z twoich ulubionych śmierdzących lochów? Myślałem, że ujrawszy na igrzyskach aż tylu żywych ludzi, będziesz chciał jak najprędzej wrócić do swoich trupów.

I-Gos przyjął drwinę władcy zgrzytliwym śmiechem.

– A tak, tak O-Tarze – zachrypiał. – I-Gos nie chodzi na spacerdy dla przyjemności. Ale kiedy ktoś dopuszcza się zbezczeszczenia moich zmarłych, muszę domagać się zemsty!

– Mówisz o tym zbiegłym niewolniku, Turanie? – zapytał O-Tar.

– Zgadza się, o nim i o Tarze, która ugodziła mnie sztyletem. Niewiele brakowało, a moja własna stara, pomarszczona skóra trafiłaby w dłonie ucznia jakiegoś garbarza!

– Znowu udało im się uciec – stwierdził O-Tar. – Już dwa razy wymknęli się w moim pałacu bandzie łotrów, którą nazywam strażą jeddaka! – Podniósł się i podkreślił gniewnie słowa, tłukąc złotym pucharem w stół.

– A tak, O-Tarze, uciekli twojej straży, ale nie mnie, staremu, chytremu calotowi.

– Co masz na myśli? Mów! – rozkazał O-Tar.

– Wiem, gdzie się ukrywają – odparł starzec. – Zdradziły ich ślady stóp w kurzu nieużywanych korytarzy.

– Poszedłeś za nimi? Widziałeś ich? – pytał jeddak.

– Śledziłem ich i słyszałem, jak rozmawiali za zamkniętymi drzwiami – odpowiedział I-Gos. – Ale nie widziałem ich.

– Gdzie są te drzwi? – zawołał O-Tar. – Zaraz tam kogoś pošlemy! – Mówiąc, rozglądał się po stole, jakby próbował zdecydować, komu powierzyć to zadanie. Tuzin wodzów wstał z siedzeń, kładąc dłonie na mieczach.

– Poszedłem ich śladem do pokojów O-Maia Okrutnego – zaskrzypiał I-Gos. – Tam ich znajdziecie, gdzie Korfałe ścigają ze skowytem zawodzącego upiora O-Maia! – Przeniósł spojrzenie z O-Tara na stojących wojowników, którzy siadali właśnie w pośpiechu.

Drwiący, chrapliwy śmiech I-Gosa przerwał zapadłą nagle ciszę. Wojownicy przyglądali się zmieszani stojącym przed nimi potrawom na złotych talerzach. O-Tar pstryknął niecierpliwie palcami.

– Czy wodzowie Manator to sami tchórze? – zawołał. – Ci bezczelni niewolnicy już niejedną raz narazili na szwank godność waszego jeddaka. Czy muszę rozkazywać, żeby ktoś ich tu przywiódł?

Jeden z wodzów podniósł się powoli. Dwóch innych poszło w jego ślady ze słabo skrywaną niechęcią.

– Widzę, że nie wszyscy jesteście tchórzami – zauważył O-Tar. – Ponieważ zadanie nie należy do łatwych, idźcie wszyscy razem. Weźcie ze sobą tylu wojowników, ilu chcecie.

– Tylko nie proście o ochotników – wtrącił I-Gos – albo pójdziecie sami.

Wodzowie odwrócili się i wyszli powoli z sali biesiadnej, jak skazańcy idący na spotkanie losu.

Gahan i Tara nie wychodzili z pokoju, w którym zostawił ich Tasor. Mężczyzna zmiotł kurz z głębokiego, wygodnego siedziska, na którym mogli stosunkowo wygodnie spocząć. Znalazł stare posłania, kruszyły się jednak w dłoniach i okazały się zbyt zniszczone, aby na cokolwiek się przydały, wyglądało więc na to, że raczej nie uda mu się przygotować dziewczynie wygodnego posłania. Wobec tego usiedli razem, rozmawiając cicho o przeżytych przygodach, snując domysły na temat przyszłości, planując ucieczkę i wyrażając nadzieję, że Tasor wkrótce wróci. W rozmowie wspominali wiele miejsc: Hastor, Helium i Ptarth. Wreszcie Tara przypomniała sobie o Gathol.

– Służyłeś tam? – zapytała.

– Tak – odparł Turan.

– Zanim burza porwała mnie z Helium, poznałam w pałacu ojca Gahana, jeda Gathol – powiedziała. – Arogancki typ, obsypany platyną i diamentami. Nigdy w życiu nie widziałam tak wspaniałej uprząży, a słyszałeś na pewno, że przez dwór królewski w Helium przewija się cały splendor Barsoom. Mimo to, nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby ktoś tak ubrany potrafił dobyć tego wysadzanego kamieniami miecza w śmiertelnej walce. Obawiam się, że choć jed Gathol wygląda oszałamiająco, niewiele poza tym sobą przedstawia.

W słabym świetle Tara nie zauważyła cierpkiej miny na odwróconej twarzy pantana.

– Miałś o nim chyba nienajlepszą opinię? – zapytał.

– Nadal ją mam – odpowiedziała, po czym dodała z cichym śmiechem: – Jego próżność byłaby wystawiona na ciężką próbę, gdyby dowiedział się, że biedny pantan cieszy się w moich oczach większym uznaniem. – Położyła mu delikatnie palce na kolanie.

Uchwycił je i podniósł do warg.

– Taro! – zawołał. – Wydaje ci się, że jestem z kamienia? – Otoczył jej barki ramieniem i przyciągnął do siebie uległe ciało dziewczyny.

– Przodkowie, wybaczcie mi tę słabość – powiedziała głośno, oplatając mu szyję ramionami i unosząc rozchylone wargi do jego ust. Przez długi czas trwali nieprzerwanie w tym pierwszym pocałunku miłości, wreszcie odepchnęła go delikatnie.

– Kocham cię, Turanie – powiedziała na skraju łez. – Tak bardzo cię kocham! Tylko tak potrafię wytłumaczyć krzywdę, jaką wyrządziłam biednemu Djor Kantosowi. Teraz wiem, że nigdy go nie kochałam, ani on nie wiedział, czym jest miłość. Jeśli kochasz mnie, jak twierdzisz, to musisz ochronić mnie przed jeszcze większą hańbą, ponieważ w twoich dłoniach jestem uległa jak glina.

Ponownie przycisnął ją do siebie i wypuścił nagle, po czym wstał i przemierzał pokój szybkim krokiem, jakby wysiłkiem fizycznym próbował ujarzmić i poskromić jakiegoś złego ducha, który go opanował. W myślach, sercu i duszy dźwięczały mu wciąż jak radosny pean słowa, które zmieniły jego świat nie do poznania: „Kocham cię, Turanie! Tak bardzo cię kocham!”. To stało się tak nagle. Wydawało się, że czuła do niego wyłącznie wdzięczność za wierną służbę, gdy zupełnie niespodziewanie odrzuciła wszelkie bariery i przestała być księżniczką, a... jego rozmyślania przerwały jakieś odgłosy na korytarzu. Podeszedł bezgłośnie do zamkniętych drzwi. Tak, z pewnej odległości dobiegał niewyraźnie szczeł metalu uderzającego o metal: nieomylny zwiastun zbliżających się zbrojnych.

Gahan nasłuchiwał przez chwilę uważnie, dopóki nie nabrał pewności, że żołnierze zbliżali się coraz bardziej. Na podstawie słów Tasora uznał, że w tej części pałacu mogli znaleźć się tylko w jednym celu: szukając jego i Tary. Musiał znaleźć szybko sposób, aby ich uniknąć. Poza drzwiami, którymi tu weszli, w pokoju były jeszcze inne, za którymi musiał znaleźć zaraz bezpieczniejszą kryjówkę. Podeszedł szybko do Tary i zapoznał ją ze swoimi podejrzeniami, po czym poprowadził ją w stronę jednego z przejść, które okazało się otwarte. Za drzwiami odkryli słabo oświetlone pomieszczenie, na progu którego zatrzymali się w

konsternacji i cofnęli zaraz do opuszczonej przed chwilą komnaty na widok czterech wojowników siedzących nad planszą do jetana.

To, że gracze ich nie zauważyli, Gahan gotów był przypisać zaabsorbowaniu grą. Zbiegowie zamknęli cicho drzwi i podeszli do kolejnych, które okazały się zamknięte. Zostały im do wypróbowania już tylko jedne. Podeszli do nich szybko, wiedząc, że żołnierze musieli już być blisko. Odkryli z rozczarowaniem, że ta droga ucieczki również okazała się zamknięta.

Sytuacja była naprawdę trudna, bowiem jeśli grupa poszukiwawcza dysponowała wiedzą, dzięki której kierowała się do tej komnaty, oboje byli zgubieni. Gahan zaprowadził znów Tarę do drzwi, za którymi widzieli graczy, wysunął miecz z pochwy i nasłuchiwał. Słyszeli wyraźnie głosy żołnierzy na korytarzu: oddział na pewno był liczny i znajdował się bardzo blisko. Za drzwiami było zaledwie czterech żołnierzy, których łatwo można było zaskoczyć. Nie było innego wyboru: Gahan otworzył cicho drzwi i ściskając dłoń Tary wszedł ponownie do sąsiedniego pomieszczenia. Zamknął drzwi za sobą. Pochyleni nad planszą strażnicy najwyraźniej ich nie usłyszeli. Jeden z graczy właśnie skończył ruch lub zastanawiał się nad nim, ponieważ trzymał jeszcze w palcach opartą na planszy figurę. Pozostała trójka przyglądała się mu. Gahan przypatrywał im się przez chwilę w słabym świetle zapomnianej i opuszczonej komnaty, po czym jego twarz rozjaśnił uśmiech zrozumienia.

– Chodź! – rzucił do Tary. – Nic nam nie grozi. Siedzą tak od pięciu tysięcy lat z górą jako pamiątka sprawności jakiegoś antycznego preparatora zwłok.

Podeszli bliżej, przekonując się, że ludzako podobne do żywych ludzi figury pokrywała warstwa kurzu, choć poza tym skóra żołnierzy była zachowana tak dobrze jak u najświeższych dzieł I-Gosa. Niedługo usłyszeli, jak otworzyły się drzwi pokoju, z którego przed chwilą wyszli, i wiedzieli, że grupa poszukiwawcza była blisko. Po drugiej stronie pomieszczenia zauważyli wejście do krótkiego korytarza, prowadzącego do sali, pośrodku której stało rzeźbione łoże. Pokój, jak reszta pomieszczeń, oświetlony był słabym światłem lamp przygaszonych przez działanie kurzu i upływ czasu. Rozejrzeli się wokół po ciężkich zasłonach i masywnych sprzętach. Po bliższym spojrzeniu odkryli, że na łożu spoczywa, zwieszona częściowo na podłogę, ludzka postać. Poza drzwiami, którymi weszli, nie zauważyli żadnych innych, choć mogły być ukryte pod gobelinami.

Gahan, czując ciekawość rozbudzoną przez legendę spowijającą tę część pałacu, podszedł do łoża, żeby przyjrzeć się bliżej postaci, która najwyraźniej z niego spadła. Zobaczył wysuszone, skurczone zwłoki leżącego na plecach mężczyzny z wyciągniętymi rękami i rozczapierzonymi sztywno palcami. Jedna stopa była schowana pod ciałem, druga tkwiła nadal zaplątana w posłanie. Po pięciu tysiącach lat zmarszczona twarz i puste oczodoły zachowały wyraz przerażenia do tego stopnia, że Gahan nie miał wątpliwości, iż spogląda na zwłoki O-Maia Okrutnego.

Stojąca obok Tara chwyciła go nagle kurczowo za ramię, wskazując palcem w oddalony kąt pokoju. Gahan powiódł za nim wzrokiem i poczuł, jak stanęły mu włosy na karku. Objął dziewczynę lewym ramieniem i z obnażonym mieczem stanął między nią a zasłonami, które obserwowali, po czym zaczął cofać się powoli. Choć do ponurej komnaty, nietkniętej od pięciu tysięcy lat ludzką stopą, nie docierało najłżejsze tchnienie wiatru, ciężka zasłona w kącie poruszyła się. Nie delikatnie, jak pod wpływem przeciągu, ale nagle, wybrzuszając się jak pod naciskiem. Gahan cofnął się na drugi koniec pokoju, gdzie stanęli plecami do gobelinów, po czym słysząc w sąsiednim pomieszczeniu zbliżający się pościg, wepchnął Tarę za zasłony i poszedł w jej ślady. Lewą dłonią, uwolnioną z uchwytu dziewczyny, podtrzymywał niewielką szczelinę, przez którą obserwował komnatę i drzwi po drugiej stronie, którym musieli wejść żołnierze, o ile zapaściliby się w pościgu aż tutaj.

Zasłony wisały o jakieś trzy stopy od muru, tworząc biegnący wokół całej komnaty tunel, do którego prowadziło tylko jedno, położone naprzeciw nich wejście. Podobne wyposażenie spotyka się powszechnie w sypialniach wpływowych i bogatych mieszkańców Barsoom, gdzie pełni kilka funkcji. Nie tylko zapewnia strażnikom miejsce w sypialni pana, nie pozbawiając go prywatności; pozwala też zamaskować ukryte drzwi oraz ukryć podsłuchujących ludzi lub zabójców, wykorzystywanych przeciw zwabionym do komnaty nieprzyjaciołom.

Tymczasem trzej wodzowie w asyście tuzina wojowników bez trudu tropili ślad zbiegów w kurzu sal i korytarzy. Samo wejście do tej części pałacu wymagało od nich mobilizacji całej odwagi, a od kiedy weszli do pokoi O-Maia nerwy mieli napięte jak postronki, gotowe pęknąć w każdej chwili pod wpływem dziwnych przesądów, jakich pełno wśród mieszkańców Manator. Wchodząc do przedpokoju, skradali się powoli, ściskając miecze w gotowości. Nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek palił się, żeby iść przodem. Żołnierze trzymali się z tyłu, nie kryjąc wcale przerażenia, podczas gdy dowódcy, popychani naprzód przez dumę i lęk przed O-Tarem, zbili się razem dla dodania otuchy, przesuając się powoli w mroku pokoju.

Idąc za śladem zbiegów odkryli, że ci wypróbowali wszystkie drzwi, ale weszli tylko za jedno. Otworzyli je ostrożnie, spoglądając w zdumieniu na czterech wojowników nad planszą do jetana. Przez moment omal nie rzucili się do ucieczki, ponieważ choć wiedzieli, co widzą i skąd wzięli się żołnierze w tajemniczych, nawiedzonych komnatach, byli niemal tak samo zdziwieni, jak gdyby ujrzeli duchy zmarłych. Zaraz jednak nabrali odwagi na tyle, aby przejść dalej do korytarza, który wiódł do sypialni O-Maia Okrutnego. Nie wiedzieli, że właśnie tę pełną grozy komnatę mieli przed sobą, w przeciwnym wypadku wątpliwe, by poszli dalej. Zauważyli za to, że szli tędy niewolnicy, których szukali, ruszyli więc ich tropem, ale zatrzymali się w mrocznej sieni, przywołując szeptem żołnierzy i każąc im ustawić się zaraz za sobą. Stanęli w drzwiach, a kiedy ich oczy przyzwyczyły się do słabego światła, jeden z wodzów wskazał nagle leżącą na posadzce postać, zaplątaną stopą w posłanie.

– Patrzcie! – wydał zduszony okrzyk. – To zwłoki O-Maia! O przodkowie! Jesteśmy w nawiedzonej komnacie! – Równocześnie spoza zasłon widocznych za makabrycznym widokiem rozległ się głuchy jęk, a po nim przesywający wrzask, po czym gobelin zadrzał i wyrzucił się na ich oczach.

Wszyscy, wodzowie i żołnierze, zawrócili jednocześnie i próbowali precyzyjnie się przez wąskie drzwi, gdzie utknęli, krzycząc głośno i szarpiąc jeden drugiego, żeby wydostać się z komnaty. Porzucili broń i przepychali się nawzajem, próbując utorować sobie drogę. Ci z tyłu wdrapywali się na barki stojącym z przodu, niektórzy upadli na podłogę i deptano po nich, w końcu jednak wszyscy wydostali się z pokoju i prowadzeni przez najszybszych, wypadli przez sąsiednie pomieszczenia na korytarz, uciekając szaleńczo bez przerwy, dopóki nie wpadli drżący i słabi do sali biesiadnej. Na ich widok wojownicy, którzy zostali z O-Tarem, poderwali się, sięgając po miecze, uznawszy widać, że druhów ścigał liczny nieprzyjaciel. Do sali nie wszedł jednak nikt poza nimi. Trójka wodzów na drżących nogach stanęła przed jeddakiem z pochylonymi głowami.

– No?! – zapytał O-Tar. – Mówcie! Co wam jest?

– Czy kiedykolwiek zawiedliśmy cię w boju, O-Tarze? – zawołał jeden z nich, odzyskawszy panowanie nad głosem. – Czy nasza trójka nie stawała zawsze walecznie w obronie twojej i twojego honoru?

– Wcale temu nie przeczę – stwierdził O-Tar.

– A zatem wysłuchaj nas, jeddaku, i okaż łaskę. Poszliśmy śladem zbiegłych niewolników do części pałacu zajmowanej niegdyś przez O-Maia Okrutnego. Zapusciliśmy się do przeklętych komnat i nie zatrzymaliśmy się, dopóki nie weszliśmy do straszliwej sali, której od pięciu tysięcy lat nie widziały ludzkie oczy. Tam spojrzeliśmy w martwe oblicze O-Maia, który leży nietknięty od tego czasu. Dotarliśmy do komnaty jego śmierci i gotowi byliśmy iść dalej, kiedy do naszych przerażonych uszu doszły zniecka jęki i wrzaski, jakie dają się słyszeć w tej części pałacu, a zasłony poruszyły się i zaszeleściły w nieruchomym powietrzu. To było ponad nasze nerwy. Zawróciliśmy, O-Tarze, i rzuciliśmy się do ucieczki. Porzuciliśmy broń i walczyliśmy ze sobą, żeby tylko wydostać się stamtąd. Stwierdzam to z żalem, ale bez wstydu, bo nie ma w Manator człowieka, który zdobyłby się na to samo. Jeśli ci niewolnicy są Korfalami, to znaleźli już bezpieczne schronienie wśród swoich upiornych braci. W przeciwnym razie, są już trupami w pokojach O-Maia, i jeśli o mnie chodzi, mogą tam gnić przez całą wieczność, ponieważ nie wrócę do tego przeklętego miejsca, choćbyś dawał mi strój jeddaka i połowę Barsoom za królestwo. Skończyłem.

O-Tar zmarszczył groźnie brwi.

– Czy wszyscy moi wodzowie to tchórze? – zapytał szyderczym głosem.

Spośród wojowników, którzy nie brali udziału w wyprawie, podniósł się jakiś wódz i zwrócił w jego stronę pochmurne oblicze.

– Nasz jeddak wie oczywiście – oświadczył – że według kronik Manator, władcy miasta należeli zawsze do najdzielniejszych wojowników. Pójdę wszędzie, gdzie poprowadzi mnie mój jeddak, i nie pozwolę, żeby nazywano mnie tchórzem, jeśli nie zechcę pójść tam, gdzie on sam nie odważy się postawić kroku. Przemówiłem.

Kiedy usiadł, w sali zapadła bolesna cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że wojownik rzucił wyzwanie odwadze O-Tara i czekali na odpowiedź władcy. Każdy myślał to samo: O-Tar musiał poprowadzić ich zaraz do komnat O-Maia Okrutnego lub przyjąć piętno tchórze, a tronu Manator nie mógł zajmować człowiek o lęklwym sercu. Wiedzieli to wszyscy, wiedział o tym także O-Tar.

Ale jeddak wahał się. Spoglądał po twarzach siedzących przy stole biesiadnym, ale widział tylko zawzięte, nieustępliwe miny. Na obliczu żadnego z wodzów nie dostrzegł choć śladu wyrozumiałości. Powędrował wzrokiem do niewielkich drzwi z boku sali. Chmurny niepokój zniknął z jego twarzy, ustępując pełnej ulgi minie.

– Patrzcie! – zawołał. – Patrzcie, kogo my tu mamy!



### ROZDZIAŁ 20

## OSKARŻENIE O TCHÓRZOSTWO

Gahan, który obserwował wojowników przez szczelinę między zasłonami, był świadkiem ich panicznej ucieczki. Przyglądając się szaleńczej szarpaninie w drzwiach i wojownikom, którzy porzucali broń i walczyli ze sobą, żeby jak najszybciej wydostać się ze straszliwej komnaty, uśmiechnął się ponuro. Kiedy żołnierze zniknęli za drzwiami, odwrócił się z uśmiechem w stronę Tary. W tej samej chwili uśmiech zamarł mu na wargach, ponieważ księżniczka rozplynęła się w powietrzu.

– Taro! – zawołał głośno, pewny że żołnierze raczej nie wrócą. Nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi, oprócz cichnącego w oddali dźwięku, przypominającego chrypliwy śmiech. Pospieszenie przeszukał ukryte za gobelinami przejście, znajdując kilka drzwi, z których jedno okazały się uchylone. Wyszedł do pokoju obok, oświetlonego właśnie miękkim blaskiem pędzącej po niebie Thurii. Zauważył wyraźne ślady, że ktoś tędy niedawno przeszedł; znalazł też odciski sandałów w kurzu. Tara i jej porywacz, kimkolwiek był, musieli tędy przejść.

Ale kto mógł ją porwać? Gahan, człowiek cywilizowany i inteligentny, żywił nieliczne, o ile w ogóle jakieś, przesady. Jak niemal wszyscy mieszkańcy Barsoom dochowywał wierności wpajanej w mniejszym lub większym stopniu od urodzenia egzaltowanej postaci kultu przodków, opartej nie tyle na otaczaniu czią ich samych, co pamięci o nich oraz ich legendarnych cnotach i bohaterskich czynach. Nigdy nie oczekiwał namacalnego dowodu ich pośmiertnej egzystencji i nie wierzył, aby mogli działać dla dobra lub na szkodę ludzi, poza przykładem, jaki stanowiły dla przyszłych pokoleń ich czyny za życia. Nie wierzył więc także w możliwość materializacji duchów zmarłych. Nawet jeśli istniały jakieś zaświaty, nic o nich nie wiedział, przekonany przez naukę, że za każdym na pozór nadprzyrodzonym zjawiskiem starożytnych religii i zabobonów, kryły się materialne przyczyny. Mimo to, nie miał pojęcia, jaka siła mogła w tak tajemniczy i nagły sposób wykraść mu Tarę spod nosa z komnaty, w której od pięciu tysięcy lat nie powstała noga człowieka.

Nie widział w mroku, czy na ziemi obok śladów sandałów Tary były inne. Dostrzegając jedynie poruszony kurz, a zapuściwszy się tym śladem w ciemne korytarze pałacu, stracił trop. Biegając przez opuszczone skrzydło pałacu, odkrył istny labirynt pokoi i korytarzy. Trafił na starożytną łaźnię, należącą niewątpliwie do samego jeddaka; znalazł też pokój, w którym pięć tysięcy lat temu zostawiono na stole posiłek, być może niezjedzone śniadanie samego O-Maia. Mijając błyskawicznie kolejne sale, widział przesuwające się przed jego oczami bogactwo ozdób, metali i kamieni szlachetnych, wprawiające w podziw nawet jeda Gathol, którego skarbiec był przedmiotem zazdrości całego świata. Przetrzasał komnaty O-Maia, aż trafił na niewielką wnękę, na której podłodze widniało zejście na krętą, prowadzącą w dół pochylnię, której koniec nikał w nieprzeniknionym mroku. Ktoś wzruszył niedawno kurz w wejściu do wnęki, a ponieważ była to jedyna wskazówka, w którą stronę porywacz mógł zabrać Tarę, Gahan uznał, że równie dobrze może ruszyć tym tropem. Bez wahania zagłębił się w mroku poniżej. Posuwał się wolno, wymacując drogę stopą, ale będąc rodowitym Marsjaninem wiedział, jakie pułapki mogły czaić się na nieostrożnych wędrowców w ciemnych, opuszczonych zakamarkach pałacu jeddaka.

Pokonał już trzy poziomy i zatrzymał się, jak to od czasu do czasu robił, aby nasłuchiwać, kiedy usłyszał zbliżające się od dołu dziwne szuranie. Cokolwiek tam było, wspinało się w

stałym tempie, zbliżając się coraz bardziej. Gahan położył dłoń na głowicy miecza i wysunął go powoli z pochwy, starając się nie hałasować, żeby nie ostrzec czającego się w mroku stworzenia o swojej obecności. Żałował, że widoczność nie była choć trochę lepsza. Widząc choć zarys sylwetki zbliżającego się stworzenia, miałby w starciu większe szanse. Nie widział jednak niczego, przez co zawadził czubkiem pochwy o kamienny mur, wydając odgłos, który w mroku i ciszy wąskiego, zamkniętego korytarza urósł zaraz do straszliwego łoskotu.

Szuranie w dole natychmiast ucichło. Gahan stał przez chwilę, czekając w ciszy, po czym porzucił ostrożność i ruszył dalej w dół. Stworzenie, czymkolwiek było, przestało wydawać dźwięki, po których mógłby je znaleźć. W każdej chwili mogło rzucić się na niego, trzymał więc miecz przed sobą. Pochylnia prowadziła coraz niżej. Otaczała go grobowa cisza i ciemność, a jednak gdzieś z przodu coś się czało. Nie był sam w tym przerażającym miejscu: był pewny, że gdzieś w pobliżu krążyła inna, niesłyszalna i niewidzialna istota. Może był to porywacz Tary, a może sama Tara w uścisku jakiegoś nienazwanego koszmaru. Przyspieszył kroku. Na myśl o groźącym ukochanej niebezpieczeństwie nieomal puścił się biegiem, gdy zderzył się nagle z drewnianymi drzwiami, które otworzyły się szeroko pod uderzeniem. Ujrzał oświetlony korytarz z celami po obu stronach. Nie zaszedł daleko od końca pochylni, kiedy uświadomił sobie, że znalazł się w podziemiach pałacu. Chwilę później usłyszał za sobą szuranie, które przyciągnęło jego uwagę na pochylni. Okręcił się i ujrzał źródło dźwięku, wyłaniające się z drzwi, którymi właśnie wszedł. Okazał się nim kaldan.

– Ghek! – zawołał Gahan. – To ciebie słyszałem tam w mroku? Widziałeś może Tarę?

– Zgadza się, to byłem ja – odparł kaldan. – Ale nie widziałem Tary. Szukam jej. Gdzie ona jest?

– Nie wiem – odpowiedział Gahan. – Musimy znaleźć ją i zabrać z tego miejsca.

– Może uda nam się ją znaleźć – stwierdził Ghek – ale wątpię, czy uda się ją stąd zabrać. Wejść do Manator jest dużo łatwiej niż wyjść. Mogę przemieszczać się starymi tunelami ulsio wedle uznania, ale ty jesteś na to zbyt duży i potrzebujesz do oddychania więcej powietrza niż można znaleźć w co głębszych tunelach.

– Co z U-Thorem?! – zapytał Gahan. – Słyszałeś coś o nim lub o jego zamiarach?

– Całkiem sporo – oznajmił Ghek. – Stoi przy Bramie Nieprzyjaciół. Jego wojsko zajęło pozycje przy samej bramie, ale brak mu ludzi, żeby wejść do miasta i zająć pałac. Godzinę temu zdołałbyś jeszcze dotrzeć tam, ale kiedy O-Tar dowiedział się, że A-Korowi udało się zbiec do niego, rozstawił strażę na wszystkich ulicach.

– A zatem A-Kor uciekł i przyłączył się do U-Thora! – powiedział głośno jed Gathol.

– Niewiele ponad godzinę temu. Byłem w jego celi, kiedy zjawił się jakiś wojownik imieniem Tasor, z wiadomością od ciebie. Uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli Tasor spróbuje dostać się do obozu jeda Manatos wraz z A-Korem, i postara się wyciągnąć od niego zapewnienia, na których ci zależało. Potem miał wrócić i zanieść wam jedzenie. Towarzyszyłem im w drodze. Z łatwością dotarliśmy do obozu U-Thora, który z chęcią obiecał spełnić wszelkie twoje życzenia, ale kiedy Tasor zamierzał wrócić, okazało się, że droga została już odcięta przez żołnierzy O-Tara. Zaoferowałem wtedy, że pójdę do was i zdam relację z naszych poczynań, oraz spróbuję znaleźć dla was prowiant. Następnie miałem udać się do niewolników z Gathol i przygotować ich do roli, jaką mają odegrać w planie U-Thora i Tasora.

– Co to za plan?

– U-Thor posłał po posiłki do Manatos i wszystkich sąsiednich regionów, które należą do niego. Zebranie wojska i sprowadzenie go tu potrwa jakiś miesiąc. Tymczasem niewolnicy w mieście zaczną organizować się, kradnąc broń i chowając ją w oczekiwaniu na dzień, w

którym zjawia się posiłki. Kiedy do tego dojdzie, armia U-Thora wejdzie do miasta Bramą Nieprzyjaciół, a kiedy żołnierze O-Tara spróbują ją odepchnąć, część niewolników zaatakuje ich od tyłu, a reszta ruszy na pałac. Zamierzają odciągnąć w ten sposób od bramy dość wojska, aby U-Thor zdołał utorować sobie drogę do miasta.

– To mogłoby się udać – zauważył Gahan. – Ale O-Tar ma wielu ludzi, a żołnierze walczący w obronie swoich domów i jeddaka zawsze mają przewagę. Gdybyśmy mieli tu statki powietrzne z Gathol lub Helium, mogłyby zasypać ulice miasta bezlitosnym ogniem, podczas gdy U-Thor wszedłby do pałacu po trupach pokonanych... – Urwał, pogrążony w myślach, po czym spojrzał w stronę kaldana. – Słyszałeś coś o ludziach, którym udało się uciec ze mną z amfiteatru? Floranie, Val Dorze i całej reszcie? Co z nimi?

– Dziesięciu przebiło się do U-Thora, który przyjął ich serdecznie. Ośmiu poległo w drodze. Wydaje mi się, że Val Dor i Floran żyją, bo słyszałem na pewno, jak zwrócił się w ten sposób do dwóch wojowników.

– Wspaniale! – zawołał Gahan. – W takim razie pójdziesz zaraz do Bramy Nieprzyjaciół szczyrzymi tunelami i zanieiesz Floranowi wiadomość napisaną w jego ojczystym języku. Poczekaj, zaraz ją przygotuję.

W pokoju obok znaleźli ławę i stół, na którym Gahan zapisał niezwykłym, stenograficznym pismem Marsa wiadomość dla Florana z Gathol.

– Dlaczego szukałeś Tary na tej pochylni, gdzie omal na siebie nie wpadliśmy? – zapytał, skończywszy.

– Tasor powiedział mi, gdzie was znaleźć, a ponieważ wędrując tunelami ulsio i ciemnymi, opuszczonymi korytarzami zbadalem większą część pałacu, wiedziałem dokładnie, gdzie was znaleźć. To ukryte zejście sięga od podziemi do dachu najwyższej z pałacowych wież. Na każdym poziomie są ukryte wejścia, którymi można do niego dotrzeć, ale wydaje mi się, że nikt z mieszkańców miasta nie pamięta o jego istnieniu. W każdym razie nie natknąłem się tu na nikogo, choć korzystałem z tej drogi wiele razy. Zdążyłem już trzy razy być w komnacie O-Maia, choć nie wiedziałem, kim jest ani nie znałem historii o jego śmierci, dopóki nie opowiedział mi jej Tasor.

– A zatem znasz pałac dokładnie? – przerwał mu Gahan.

– Lepiej niż O-Tar czy którykolwiek z jego ludzi.

– Dobrze! Ghek, jeśli chcesz pomóc księżniczce, najlepiej zrobisz, zostając z Floranem i wykonując jego rozkazy. Ściany mają uszy, za to każdy, kto zna pismo Gathol zdoła odcyfrować instrukcje, które zapiszę Floranowi w tej wiadomości. On ci je przekaże. Mogę ci zaufać?

– Nie mogę wrócić do Bantoom – odparł kaldan. – Na całym świecie zostało mi tylko dwoje przyjaciół. Czy mogę zrobić coś lepszego niż wiernie im służyć? Ty i Tara nauczyliście mnie, Gahanie, że istnieją sprawy piękniejsze i wspanialsze niż nie poddający się irracjonalnym poruszeniom serca doskonały umysł. W drogę!

\*

Kiedy O-Tar wskazał niewielkie drzwi, obecni w sali powędrowali wzrokiem w ich stronę. Kiedy wodzowie rozpoznali obie postaci, które pojawiły się w sali, na ich twarzach malowało się niedowierzanie, ujrzeni bowiem I-Gosa, który ciągnął za sobą zakneblowaną niewolnicę, której związał ręce za plecami mocną, jedwabną wstążką. Chrypliwy śmiech starca wznosił się ponad zapadłą w sali ciszę.

– A tak, tak! – zaskrzypiał. – Stary I-Gos dokonał sam tego, co nie udało się młodemu wodzom jeddaka.

– Tylko Korfał potrafi złapać innego Korfała – warknął jeden z wodzów, którzy uciekli z pokojów O-Maia.

I-Gos roześmiał się.

– Strach zmienił krew w twoich żyłach w wodę – odciął się – a wstyd obrócił twoje słowa w potwarz. To nie Korfał, a zwykła kobieta z Helium, a jej towarzysz jest wojownikiem, który mógłby zmierzyć się z najlepszymi z was i wyciąć te struchlałe serca z waszych piersi. Inaczej było za moich czasów, o tak. Wtedy to byli mężczyźni. Pamiętam jeszcze ten dzień, kiedy...

– Spokój, stary głupcze! – rzucił O-Tar. – Gdzie mężczyzna?

– Tam, gdzie znalazłem kobietę: w komnacie śmierci O-Maia. Niech twoi mądrzy, waleczni wodzowie przyprowadzą go stamtąd. Ja jestem już starcem i poradziłem sobie tylko z tą dziewczką.

– Słusznie postąpiłeś, I-Gosie – zapewnił go pospiesznie O-Tar, który usłyszawszy, że Gahan przebywał być może nadal w nawiedzonych komnatach, chciał uśmierzyć gniew starca, znanego w pałacu z ciętego języka i charakteru. – Sądziś więc, że dziewczyna nie jest Korfałem? – zapytał, próbując skierować rozmowę z dala od zbiega, który nadal przebywał na wolności.

– Nie bardziej niż ty sam – odparł starzec.

O-Tar obrzucił Tarę długim, badawczym spojrzeniem. Odniósł wrażenie, że niespodziewanie zaczął dostrzegać jej piękno każdą drobiną swojej świadomości. Nadal miała na sobie zdobiony bogato kostium Czarnej Księżniczki, a patrząc na jej twarz i sylwetkę, jeddak zrozumiał nagle, że nie widział nigdy piękniejszej kobiety.

– To nie Korfał – mruknął pod nosem. – To prawdziwa księżniczka i to bardzo piękna, na złote włosy Świątobliwego Hekkadora! Zdjąć jej ten knebel i rozwiązać ją! – polecił głośno. – Zrobić przy stole miejsce dla księżniczki Tary z Helium u boku jeddaka Manator. Posili się w naszym towarzystwie, jak przystoi księżniczce.

Niewolnicy spełnili rozkaz. Tara stanęła z płonącym wzrokiem za podsuniętym jej krzesłem.

– Usiądź! – polecił O-Tar.

Dziewczyna usiadła.

– Zasiadam za twoim stołem nie jako gość, a więzień – powiedziała głośno.

O-Tar gestem nakazał wszystkim opuścić salę.

– Pragnę rozmówić się z księżniczką w cztery oczy – powiedział. Wojownicy i służba wyszli. O-Tar odwrócił się znowu do dziewczyny. – Chciałbym zostać twoim przyjacielem – powiedział.

Tara siedziała, złożwszy ręce na małych, jędrnych piersiach, rzucając gniewne błyski spod zwężonych powiek. Nie raczyła odpowiedzieć na propozycję. O-Tar nachylił się bliżej. Zauważył jej wrogą postawę i przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Dziewczyna była istnym banthem w ludzkiej skórze, ale była też niezwykle piękna. W życiu nie widział kobiety bardziej godnej pożądania, postanowił więc ją zdobyć. Powiedział jej o tym.

– Mógłbym zrobić cię niewolnicą – oznajmił – ale z przyjemnością uczynię cię żoną. Zostaniesz jeddarą Manator. Dam ci siedem dni, żebyś zdążyła przygotować się na zaszczyt, jakim cię obdarzam, a siódmego dnia o tej porze w sali tronowej zostaniesz władczynią Manator i moją żoną. – Uderzył w stojący obok na stole gong, a kiedy zjawił się niewolnik, kazał mu zaprosić wszystkich z powrotem do sali. Wodzowie wchodzili powoli, zajmując miejsca przy stole. Miny nadal mieli zawzięte i ponure, ponieważ O-Tar nie odpowiedział jeszcze na wyzwanie rzucone jego odwadze, a jeśli miał nadzieję, że jego ludzie zapomną o nim, to słabo ich znał.

O-Tar wstał.

– Za siedem dni – oznajmił – odbędzie się wielka uczta na cześć nowej jeddary Manator.  
– Wskazał dłonią Tarę. – Ceremonia zaślubin odbędzie się o siódmym zodzie<sup>[10]</sup> w sali tronowej. Do tego czasu księżniczka pozostanie w wieży w skrzydle kobiet. Odprowadź ją tam, E-Thasie, w asyście stosownej straży honorowej i dopilnuj, aby dano jej do dyspozycji niewolnice i eunuchów, którzy będą strzec jej czujnie przed wszelkimi niebezpieczeństwami i zajmą się wszystkimi jej potrzebami.

E-Thas wiedział, że te piękne słowa oznaczały naprawdę, iż miał odprowadzić więźnia pod silną strażą do skrzydła kobiet i zamknąć ją na siedem dni w wieży, rozmieszczając wokół zaufanych strażników, którzy nie dopuszczą do ucieczki i udaremnią wszelkie próby ratunku.

Kiedy Tara wychodziła z sali w towarzystwie E-Thasa i straży, O-Tar nachylił się do jej ucha i szepnął:

– Wykorzystaj te siedem dni na przemyślenie tego, jaki zaszczyt cię spotkał, i jaka czeka cię alternatywa. – Dziewczyna opuściła salę biesiadną, jakby w ogóle go nie usłyszała, zadzierając wysoko głowę i patrząc prosto przed siebie.

Kiedy Ghek go opuścił, Gahan snuł się po podziemiach i starych korytarzach opuszczonej części pałacu, szukając wskazówek co do losu lub miejsca pobytu Tary. Wędrował między piętrami, korzystając z ukrytej pochylni, aż poznał każdą piędź tajnej drogi od podziemi do szczytu wysokiej wieży, wiedział, w których komnatach wychodziła na różnych piętrach, oraz poznał działanie zmyślnego mechanizmu, który otwierał ukryte przejścia. Posiłał się jedzeniem wynoszonym z królewskich składów w podziemiach, a odpoczywał w nawiedzanej komnacie na królewskim łożu O-Maia, dzieląc posłanie ze stopą martwego jeddaka.

Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że w pałacu wokół niego kipiało od wzburzenia. Żołnierze i dowódcy pełnili służbę z ponurymi minami, zbierając się tu i tam w małych grupkach, które rozprawiły gniewnie na jakiś temat, który zaprzętał myśli wszystkich. Czwartego dnia od zamknięcia Tary w wieży, E-Thas, zarządca pałacu i jeden z faworytów O-Tara, przyszedł do jeddaka w jakiejś błahej sprawie. Kiedy go zapowiedziano, O-Tar był właśnie sam w jednym ze swych pokojów. Załatwiwszy sprawę, w której przybył E-Thas, gestem nakazał mu zostać.

– Z nieznanego nikomu wojownika podniosłem cię do pozycji wodza, E-Thasie. Twoje słowo ustępuje w pałacu tylko mojemu. Nie kochają cię za to. Jak myślisz, gdyby kto inny zasiadł na tronie Manator, co stałoby się z tobą, którego nieprzyjaciele należą do najbardziej wpływowych ludzi w mieście?

– Nie wspominaj o tym, panie – prosił E-Thas. – Ostatnimi dniami często o tym myślałem i wołałbym zapomnieć, ale próbowałem uśmierzyć gniew najbardziej zawziętych wrogów, okazując im większą uprzejmość i wyrozumiałość.

– A zatem i ty odczytałeś wiszące w powietrzu ciche przesłanie? – zapytał jeddak.

E-Thas, czując się wyraźnie niezręcznie, nie odpowiedział.

– Dlaczego nie przyszedłeś do mnie ze swoimi obawami? – zapytał O-Tar. – Czy na tym polega lojalność?

– Bałem się, potężny jeddaku! – wyrzucił z siebie E-Thas. – Bałem się, że nie zrozumiesz i rozniewasz się na mnie!

– Co wiesz? Mów całą prawdę! – polecił O-Tar.

## Szachiści Marsa

---

– Wśród wodzów i wojowników wrze – odparł E-Thas. – Nawet twoi zwolennicy zaczynają obawiać się wpływów tych, którzy występują przeciw tobie.

– Co takiego mówią? – warknął jeddak.

– Mówią, że boisz się iść na poszukiwania zbiegłego niewolnika do komnat O-Maia... nie gniewaj się na mnie, jeddaku, powtarzam tylko to, co słyszałem. Twój wierny E-Thas nie wierzy w te podle oszczerstwa.

– Ależ czego miałbym się bać? – zapytał O-Tar. – Nie wiemy przecież nawet, czy on tam jest. Czyż moi wodzowie nie poszli tam i nie znaleźli po nim ani śladu?

– Ale twierdzą, że ciebie tam nie było – mówił dalej E-Thas. – I że nie dopuszczą, aby na tronie Manator zasiadał tchórz.

– Zdrajcy! Naprawdę to powiedzieli? – zawołał O-Tar, niemal krzycząc.

– To i nie tylko to, władco – odparł zarządca. – Mówili, że boisz się nie tylko pójść do pokojów O-Maia, ale i samego Turana. Zarzucają ci też sposób, w jaki obszedłeś się z A-Korem, który, jak wierzą, został zamordowany z twojego rozkazu. Wielu darzyło go sympatią i twierdzą teraz otwarcie, że byłby wspaniałym władcą.

– Coś podobnego! – wrzasnął O-Tar. – Ośmielają się wysuwać bękarta niewolnicy jako kandydata do mojego tronu?!

– To twój syn, panie – przypomniał mu E-Thas. – I nikt w Manator nie cieszy się większą miłością twoich poddanych. Informuję cię tylko o faktach, których nie możesz ignorować, a ośmieliłem się na to, ponieważ dopiero kiedy poznasz prawdę, będziesz mógł poszukać sposobu, aby rozwiać czarne chmury, które zebrały się nad twoim tronem.

O-Tar opadł bezwładnie na siedzisko. Nagle wydał się zarządcy podobnym do zapadniętego w sobie, starego i znużonego człowieka.

– Przeklinam dzień, w którym ci trzech intruzi znaleźli się w moim mieście! – zawołał. – Gdybym miał jeszcze U-Dora. Był silny, a moi wrogowie bali się go, ale zginął z ręki tego przekłętą niewolnika, niech go dosięgnie gniew Issus!

– Co zrobimy, jeddaku? – pytał E-Thas. – Rzucanie klątw na niewolnika nie rozwiąże twoich problemów.

– Do ślubu i uczyty zostały tylko trzy dni – upierał się O-Tar. – Uroczystość będzie wielka. Taki jest zwyczaj, wodzowie i wojownicy wiedzą o tym. Przy takich okazjach rozdaje się dary i zaszczyty. Mów, kto jest moim najzacieklejszym wrogiem? Poślę cię do nich, powiesz im, że zamierzam obsypać ich nagrodami za dawne zasługi dla tronu. Wodzów mianuję jedami, wojowników podniosę do rangi wodzów, a wszyscy dostaną ode mnie pałace i niewolników. Co ty na to, E-Thomasie?

Zarządca potrząsnął głową.

– To nie wystarczy, O-Tarze. Nie chcą twoich darów ani zaszczytów, słyszałem, jak to mówili.

– A czego chcą? – zapytał O-Tar.

– Chcą jeddaka odważnego jak najodważniejsi spośród nich – odparł E-Thas, stojąc na trzęsących się kolanach.

– Mają mnie za tchórze? – zawołał jeddak.

– Twierdzą, że boisz się pójść do komnat O-Maia Okrutnego.

O-Tar siedział długo z głową spuszczoną na piersi, wbijając w podłogę puste spojrzenie.

– Powiedz im – powiedział wreszcie głuchym tonem, niepodobnym wcale do głosu wielkiego władcy – powiedz, że udaję się do komnat O-Maia na poszukiwania Turana.

### ROZDZIAŁ 21

## MIŁOŚĆ I ODWAGA

– A tak, tak, to tchórz, który nazwał mnie starym głupcem! – w ten sposób I-Gos zwracał się do grupki wodzów w jednej z komnat pałacu jeddaka Manator. – Gdyby żył jeszcze A-Kor, mielibyśmy prawdziwego jeddaka!

– A kto twierdzi, że on nie żyje? – zapytał jeden z wodzów.

– W takim razie, gdzie się podział? – odpowiedział pytaniem I-Gos. – I czy inni z otoczenia tronu, których O-Tar uznał za nieco zbyt popularnych, nie zniknęli w ten sam sposób?

Wódz potrząsnął głową.

– Gdybym tak sądził, lub był tego pewny, dołączyłbym do U-Thora w Bramie Nieprzyjaciół.

– Pst! – ostrzegł jeden ze zgromadzonych. – Idzie fagas O-Tara. – Oczy wszystkich powędrowały w stronę zbliżającego się E-Thasa.

– Kaor, przyjaciele! – zawołał, zatrzymując się wśród nich, choć tylko kilku odpowiedziało na jego przyjazne pozdrowienie nieuprzejmym skinieniem głowy. – Słyszeliście wieści? – ciągnął, niezrażony traktowaniem, do jakiego zaczynał się przyzwyczajać.

– Co się stało? O-Tar zemdlął na widok szczura? – zapytał I-Gos, nie kryjąc sarkazmu.

– Ludzie ginęli już za mniej obraźliwe słowa, starcze – przypomniał mu E-Thas.

– Nic mi nie grozi – odciął się I-Gos. – Nie jestem przecież tak dzielny i popularny jak syn naszego jeddaka.

To była otwarta zdrada, ale E-Thas puścił ją mimo uszu. Ignorując I-Gosa zwrócił się do pozostałych.

– O-Tar pójdzie dziś w nocy do komnaty O-Maia, żeby szukać tam niewolnika Turana – oświadczył. – Żałuje, że jego wojownikom brak odwagi, by zająć się tym podłym obowiązkiem, i sam jeddak musi łapać zwykłego zbiega. – Cisnął tę drwinę za siebie i wyszedł, żeby rozgłosić wiadomość w pozostałej części pałacu. Ostatnią część wiadomości zmyślił tak naprawdę sam i konsternacja jego wrogów, kiedy im ją przekazał, sprawiła mu ogromną satysfakcję. Kiedy opuszczał niewielkie zgromadzenie, I-Gos zawołał w ślad za nim:

– O której godzinie O-Tar zamierza tam iść?

– Pod koniec ósmego zodu[11] – odparł zarządca i poszedł swoją drogą.

– Przekonamy się – stwierdził I-Gos.

– O czym? – zapytał jeden z wojowników.

– Czy O-Tar pójdzie do komnat O-Maia.

– W jaki sposób?

– Wybiorę się tam osobiście i jeśli go zobaczę, będę wiedział, że nie kłamał. A jeśli go tam nie spotkam, uznam, że nie poszedł tam jednak – wyjaśnił starzec.

– Czy jest tam coś, czego może się bać uczciwy człowiek? – zapytał któryś z wodzów. – Co tam widziałeś?

– Rzecz nie w tym, co widziałem, choć było to dość straszne, a w tym, co słyszałem – oznajmił I-Gos.

– Mów! Co widziałeś i słyszałeś?

## Szachiści Marsa

---

– Widziałem trupa O-Maia – powiedział I-Gos. Reszta grupy zadrżała.  
– I nie postradałeś zmysłów? – zapytali.  
– A wyglądam na obłąkanego? – odparował I-Gos.  
– I pójdziesz tam znowu?  
– Tak.  
– A zatem naprawdę jesteś szalony – zawołał jeden z wojowników.  
– Widziałeś zwłoki O-Maia, ale co takiego mogłeś usłyszeć, że wydało ci się jeszcze gorsze? – szepnął inny.

– Widziałem zwłoki O-Maia spoczywające na podłodze sypialni ze stopą zaplątaną w posłanie. A słyszałem przeraźliwe zawodzenie i wrzaski.

– I nie boisz się znowu tam iść? – zapytało paru.

– Zmarli nie zrobią mi krzywdy – stwierdził I-Gos. – O-Mai leży tak od pięciu tysięcy lat. Odgłosy też mi nic nie robią. Słyszałem je i żyję, mogę usłyszeć je znowu. Słyszałem je niemal tuż obok siebie, obserwując Turana zza zasłony, zanim wykradłem mu kobietę.

– I-Gosie, jesteś bardzo dzielny człowiekiem – stwierdził któryś z wodzów.

– O-Tar nazwał mnie starym głupcem. Stawiłbym czoło gorszym niebezpieczeństwom niż te, które czekają w zakazanej komnacie O-Maia, żeby przekonać się, czy naprawdę ją odwiedzi. Jeśli nie, będzie to oznaczało upadek naszego tchórzliwego jeddaka!

Nadeszła noc. Zody wlokły się, aż nadeszła pora, kiedy O-Tar miał pójść do komnaty O-Maia. Trudno uwierzyć w siłę jego lęku nam, nie wierzącym w istnienie złych duchów; był przecież postawnym mężczyzną, świetnym szermierzem i wojownikiem cieszącym się zasłużoną sławą. Mimo wszystko, fakt pozostawał faktem – idąc korytarzami pałacu w stronę opuszczonego skrzydła, O-Tar czuł strach, a kiedy położył dłoń na drzwiach wiodących ze spowitego kurzem korytarza do pokoiów antycznego jeddaka, nieomal zdrętwiał z przerażenia. Miał co najmniej dwa powody, żeby iść samemu: po pierwsze, dzięki temu nikt nie był świadkiem jego przerażenia lub ucieczki, gdyby w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi; po drugie zaś, gdyby dokonał tego samodzielnie lub przekonał wodzów, że tak właśnie było, zdobyłby o wiele większe uznanie, niż gdyby udał się do nawiedzonego skrzydła w asyście wojowników.

Choć wyruszył sam, zdawał sobie jednak sprawę, że ktoś go śledził, ponieważ jego ludzie nie wierzyli już w jego odwagę lub prawdomówność. Nie sądził, że uda mu się znaleźć Turana. Właściwie niezbyt mu na tym zależało, ponieważ choć sam świetnie władał mieczem i nie brakło mu odwagi w walce, widział, jak Turan bawił się z U-Dorem i nie zależało mu wcale na zmierzeniu się z kimś, kto górował nad nim umiejętnościami, z czego zdawał sobie dobrze sprawę.

O-Tar stał z dłonią opartą na drzwiach, bojąc się wejść za nie i bojąc się zawrócić. W końcu jednak strach przed śledzącymi go wojownikami wziął górę nad lękiem przed nieznaną grozą, czekającą w antycznych komnatach. Pchnął ciężkie drzwi i wszedł do środka.

W komnacie zalegała ciężka cisza, mrok i wiekowa warstwa kurzu. Poznał drogę do przerażającej sypialni O-Maia z ust wojowników, więc przełamując opór przeszedł na niepewnych nogach do pomieszczenia, w którym gracze siedzieli pochyleni na wieki nad planszą jetana, i dalej do przedsionka sypialni starożytnego jeddaka. Obnażony miecz drżał mu w dłoni. Zatrzymywał się po każdym kroku, nasłuchując, a kiedy stanął pod drzwiami nawiedzonej komnaty, serce zamarło mu w piersi, a na lepkim czole wystąpił zimny pot, ponieważ ze środka do jego zdjętych grozą uszu dochodził stłumiony oddech. O-Tar nieomal rzucił się do ucieczki przed niewidzialnym i nienazwanym koszmarem, czekającym na niego za drzwiami sypialni. Zaraz przypomniał sobie jednak o lęku przed gniewem i pogardą wodzów i żołnierzy. Pozbawiliby go tronu i na domiar wszystkiego zabili. Nie miał



wątpliwości co do tego, jaki los go czekał, gdyby uciekł w przerażeniu z pokojów O-Maia. Nadzieję dawało mu tylko zmierzenie się z nieznanym niebezpieczeństwem, które wydawało mu się lepsze niż znane.

Ruszył do przodu. Po paru krokach przeszedł przez drzwi. W pokoju przed nim było ciemniej niż na korytarzu; rozróżniał tylko niewyraźnie niektóre sprzęty. Zauważył łożo na środku i leżącą obok na marmurowej posadzce ciemniejszą plamę. Zanurzył się dalej w mrok, zawadzając ze zgrzytem pochwą o kamienną framugę drzwi. Zdjęty grozą patrzył, jak posłanie poruszyło się. Zauważył jakąś postać, podnoszącą się powoli z łoża śmierci O-Maia Okrutnego. Kolana ugięły się pod nim, ale zebrał całą odwagę i ściskając mocniej miecz w drżących palcach, szykował się, by rzucić się przez sypialnię w stronę straszliwej zjawy. Zawahał się tylko na moment. Poczul na sobie czyjś wzrok, spojrzenie upiornych, niewidzących oczu, które wwiercały się w mroku w jego struchlałe serce. Zbierał się do ataku, kiedy istota na łożu wydała z siebie straszliwy wrzask i O-Tar padł bez zmysłów na podłogę.

Gahan zszedł z uśmiechem z łoża O-Maia, po czym obrócił się nagle, sięgając po miecz, wychwyciwszy czujnym słuchem jakiś odgłos w cieniach za sobą. Rozchyliwszy zasłony, ujrzał zgarbioną, pomarszczoną postać I-Gosa.

– Schowaj miecz, Turanie – powiedział starzec. – Nic ci nie zrobię.

– Co tu robisz? – zapytał Gahan.

– Przyszedłem upewnić się, że ten tchórz nas nie oszuka. O tak, nazwał mnie starym głupcem, a spójrz tylko na niego! Zemdlął ze strachu, ale, no tak, zrozumiałby go każdy, kto słyszał twój wrzask. Sam omal nie rzuciłem się do ucieczki. To ty wystraszyłeś wodzów swoim zawrotem i wrzaskiem tego dnia, kiedy wykradłem ci Tarę?

– To twoja robota, psie? – cisnął Gahan, ruszając z groźną miną w jego stronę.

– Spokojnie, już, już! – oponował starzec. – Tak, ja to zrobiłem, ale wtedy byłem twoim wrogiem. Teraz postąpiłbym inaczej. Sytuacja uległa zmianie.

– W jaki sposób? Dlaczego? – pytał Gahan.

– Wtedy nie rozumiałem jeszcze w pełni, jakim tchórzem jest nasz jeddak, ani jak dzielna jest wasza dwójka. Urodziłem się w innych czasach i cenię odwagę. Początkowo żywiłem do dziewczyny urazę za ten atak na mnie, ale później zrozumiałem, jaką odwagę okazała, i zdobyła sobie tym i innymi czynami mój podziw. Nie bała się O-Tara, nie bała się mnie, nie bała się wszystkich wojowników Manator. A ty! Na krew miliona przodków! Jak ty walczyłeś! Żałuję teraz, że zdemaskowałem cię na Polach Jetana. Żałuję, że zaciągnąłem Tarę z powrotem do O-Tara. Chcę to naprawić i zostać twoim przyjacielem. Oto mój miecz. Kładę go u twych stóp. – Wyciągnąwszy broń, I-Gos rzucił ją przed Gahanem na posadzkę.

Gahan wiedział, że nawet najpodlejszy łajdak nie odrzuciłby tak uroczystej przysięgi, pochylił się więc i podniósłszy miecz starca, oddał mu go, trzymając za ostrze, na znak, że przyjął jego przyjaźń.

– Gdzie jest księżniczka? – zapytał. – Nic jej nie grozi?

– Oczekuje na ceremonię, dzięki której zostanie jeddara Manator, zamknięta w wieży w skrzydle kobiet – odparł I-Gos.

– To bydlę ośmieliło się myśleć, że Tara zechce się z nim połączyć? – warknął Gahan. – Zaraz z nim skończę, o ile nie umarł ze strachu! – Zrobił krok w stronę leżącego na ziemi O-Tara, żeby przebić go mieczem.

– Nie! – zawołał I-Gos. – Nie zabijaj go i módl się, aby żył, jeśli chcesz uratować swoją księżniczkę.

– Jak to? – zapytał Gahan.

– Gdyby do skrzydła kobiet dotarła wiadomość o jego śmierci, księżniczka byłaby zgubiona. Wiedzą, że O-Tar zamierza ją poślubić i uczynić władczynią Manator, możesz więc być pewny, że nienawidzą jej wszystkie tak, jak to tylko zawistne kobiety potrafią. W tej chwili tylko autorytet jeddaka nie pozwala im jej skrzywdzić. Gdyby zginął, oddałyby ją żołnierzom i niewolnikom, ponieważ nie byłoby komu jej pomścić.

Gahan schował miecz.

– Trafne spostrzeżenie, ale co z nim zrobimy?

– Zostaw go tam, gdzie leży – doradził I-Gos. – Żyje. Kiedy się ocknie, wróci do swoich komnat ze wspaniałą opowieścią o swojej odwadze, a nikt nie zdoła zakwestionować jego przechwałek – oprócz mnie. Chodź! W każdej chwili może odzyskać przytomność, a nie może nas tu zobaczyć.

I-Gos poszedł do jeddaka i ukląkł przy nim na chwilę, po czym przeszedł obok łoża i wrócił do Gahana. Wyszli razem z sypialni O-Maia, zmierzając w stronę ukrytej pochylni. Tu I-Gos zaprowadził Gahana na wyższe piętro, a stamtąd na dach pałacu, skąd wskazał mu palcem pobliską wieżę.

– Księżniczka jest tam – powiedział. – Zupełnie bezpieczna aż do ślubu.

– Bezpieczna, ale nie przed sobą – rzekł Gahan. – Nie dopuści, żeby O-Tar uczynił ją jeddarą Manator. Prędej się zabije.

– Naprawdę zrobiłaby to? – zapytał I-Gos.

– Zrobi, chyba że uda ci się jakoś jej przekazać, że żyję i że jest jeszcze nadzieja – odparł Gahan.

– Nie dam rady tego zrobić – stwierdził I-Gos. – O-Tar pilnuje zazdrośnie swojego haremu. Umieszcza tu najbardziej zaufanych żołnierzy i niewolników, a mimo to ma wśród nich tylu szpiegów, że nikt tam nie wie, kto jest kim. Nawet cienie w tej wieży pilnowane są przez setki oczu.

Gahan stał wpatrzony w oświetlone okna wieży, na której najwyższym piętrze trzymano Tarę.

– Znajdę jakiś sposób, I-Gosie – powiedział.

– To niemożliwe – odparł starzec.

Przez jakiś czas stali na dachu pod jasnymi gwiazdami i pędzącymi księżycami Marsa, snując plany na dzień, w którym miano zabrać Tarę z wieży do sali tronowej O-Tara. Wtedy i tylko wtedy, twierdził I-Gos, mogła zaistnieć szansa na uratowanie księżniczki. Gahan nie wiedział, na ile mógł mu zaufać, zachował więc dla siebie plan, którym za pośrednictwem Gheka podzielił się z Val Dorem i Floranem. Za to zapewnił starca, że jeśli jego wielokrotne deklaracje o konieczności zdemaskowania tchórzostwa O-Tara i strącenia go z tronu były szczerze, to tego samego wieczoru, kiedy jeddak spróbuje pojąć za żonę księżniczkę Helium, zapewni mu tę możliwość.

– Dostaniesz swoją okazję, I-Gosie – zapewnił go. – A jeśli znasz grupę myślących podobnie ludzi, przygotuj ich na to, co nastąpi po tym, jak wasz bezczelny jeddak spróbuje pojąć za żonę córkę Wodza. Teraz idę porozmawiać z Tarą. Kiedy i gdzie spotkamy się znowu?

– Podoba mi się twoja odwaga, ale na nic ci się nie przyda – stwierdził I-Gos. – Nie uda ci się porozmawiać z księżniczką, choć bez wątpienia zanim zginiesz, przelejesz krew niejednego żołnierza w skrzydle kobiet.

Gahan uśmiechnął się.

– Nie zginę. Gdzie i kiedy się spotkamy? W nocy można znaleźć mnie w sypialni O-Maia. To chyba najbezpieczniejsza kryjówka w całym Manator dla wroga jego jeddaka. Bywaj!

– Niech duchy przodków będą z tobą – powiedział I-Gos.

Kiedy starzec odszedł, Gahan ruszył przez dach w stronę wieży. Wyglądało na to, że wzniesiono ją z betonu, po czym ozdobiono misternymi rzeźbami, pokrywając całą powierzchnię skomplikowanymi wzorami wyciętymi w twardym budulcu. Choć wyrzeźbione przed wiekami, nosiły niewielkie ślady zniszczenia dzięki suchemu marsjańskiemu powietrzu, rzadkim deszczom i nieczęstym burzom piaskowym. Mimo to, wspinaczka nie należała do łatwych i bezpiecznych, i zniechęciłaby nawet najodważniejszych, a może i samego Gahana, gdyby nie czuł, że od tego karkołomnego wyczynu zależało życie kobiety, którą kochał.

Zdjąwszy sandały i uprząż, oraz odłożywszy na bok całą broń z wyjątkiem zawieszzonego na pasie sztyletu, młodzieniec zaczął niebezpieczną wspinaczkę. Chwytał się rzeźb dłońmi i stopami, posuwając się powoli w górę, omijając w drodze okna i trzymając się zacienionej strony wieży, z dala od blasku księżyców. Pięciopiętrowa wieża o wychodzących na wszystkie strony świata oknach, wznosiła się na jakieś pięćdziesiąt stóp ponad sąsiednie skrzydło pałacu. Przy paru oknach były balkony, których Gahan starał się unikać, jak umiał, choć o tak późnej porze, po upływie dziewiątego zoda, istniało nikłe prawdopodobieństwo, by ktoś w wieży czuwał.

Posuwał się bezgłośnie do góry i wreszcie dotarł niezauważony do okien na najwyższym piętrze. Okazały się solidnie zakratowane, podobnie jak te, które zdążył już minąć, nie było więc sposobu, żeby dostał się do komnaty, w której trzymano Tarę. Pokój za pierwszym oknem, do którego dotarł, spowijał mrok. Za drugim ujrzał oświetlone pomieszczenie, w którym zauważył śpiącego przy drzwiach strażnika. Zauważył też grzbiet pochylni prowadzącej na niższe poziomy. Okrążając wieżę, Gahan zbliżył się do kolejnego okna. Tym razem zawisł przy ścianie o sto stóp nad dziedzińcem, a wkrótce miał ogarnąć go blask Thurii. Wiedział, że musiał się pospieszyć i modlił się, aby wreszcie udało mu się znaleźć Tarę.

Dotarł do otworu, za którym ujrzał słabo oświetlone, niewielkie pomieszczenie. W łóżu pośrodku sali spoczywała na posłaniu z futer i jedwabi ludzka postać. Zauważył cudne, odsłonięte ramię wystające spod przykrycia na tle czarno-zółtej skóry, na którym dostrzegł znajomą obręcz. W części komnaty widocznej z okna nie zauważył nikogo poza tym. Gahan przycisnął twarz do krat i wyszeptał imię najdroższej. Dziewczyna poruszyła się, ale nie obudziła. Zawołał ponownie, nieco głośniejszym głosem. Tara podniosła się i rozejrzała, ale w tej samej chwili z podłogi po drugiej stronie łóża, zasłoniętej przed wzrokiem Gahana, podniósł się rosły eunuch. Równocześnie okno zalał blask Thurii, rysując wyraźnie sylwetkę młodego jeda przed osobami wewnątrz komnaty.

Obie postaci poderwały się w jednej chwili. Eunuch sięgnął po miecz i rzucił się do okna, gdzie z łatwością zabiłby bezbronnego Gahana jednym pchnięciem zabójczego ostrza, gdyby nie Tara, która skoczyła na niego, i ciągnąc go do tyłu wysunęła z kryjówki w uprzęży sztylet o wąskim ostrzu. Kiedy eunuch próbował zrzucić ją z siebie, przebiła mu serce.

Sługa oddał ducha bez dźwięku i padł jak długi. Tara podbiegła do okna.

– Turanie, mój wodzu! – zawołała. – Po co narażasz się w ten koszmarny sposób, szukając mnie tam, gdzie nie pomoże mi nawet twoja odwaga.

– Nie bądź tego taka pewna, ukochana – odpowiedział. – Przynoszę ci tylko słowa, ale mam nadzieję, że okażą się zwiastunem wydarzeń, dzięki którym odzyskam cię na zawsze. Bałem się, że będziesz próbowała zabić się, żeby uniknąć hańby, jaką zamierza okryć cię O-Tar. Przynoszę ci nową nadzieję i proszę, żebyś wytrzymała dla mnie wszystko, co się wydarzy, wiedząc, że istnieje jeszcze droga ucieczki, i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy w końcu wolni. Wieczorem, kiedy O-Tar zamierza cię poślubić, wypatruj

mnie w sali tronowej. A teraz powiedz, jak pozbędziemy się tego truchła? – Wskazał leżące na podłodze zwłoki eunucha.

– Nie martw się o to – powiedziała. – Nikt nie ośmieli się mnie skrzywdzić ze strachu przed gniewem O-Tara; w przeciwnym razie zginęłabym zaraz po wejściu do tej części pałacu, ponieważ kobiety mnie nienawidzą. Tylko O-Tar może mnie ukarać, a co go obchodzi życie jakiegoś eunucha? Nie, o to się nie bój.

Spletli dłonie przez kraty. Gahan przyciągnął ją do siebie.

– Tylko jeden pocałunek, zanim pójde, księżniczko – powiedział. Zaś dumna córka Johna Cartera i Dejah Thoris, księżniczki Helium, szepnęła tylko: „Mój wodzu!” i przycisnęła wargi do ust pospolitego pantana.

### ROZDZIAŁ 22

## ŚLUB

Kiedy O-Tar otworzył oczy, leżał nadal w sypialni O-Maia. Otaczała go ciężka, grobowa cisza. Powróciło do niego wspomnienie przerażającej zjawy, którą ujrzał. Nasłuchiwał, ale na próżno. Nie widział również nic niepokojącego. Podniósł powoli głowę i rozejrzał się. Na podłodze obok łoża leżał kształt, który przyciągnął przedtem jego uwagę. Rozpoznawszy go, zamknął oczy, zdjęty grozą; ale istota nie poruszyła się ani nie odezwała. O-Tar otworzył ponownie oczy i wstał z podłogi. Cały dygotał. Łoże, na którym ujrzał zjawę, było teraz puste.

Wycofywał się powoli z pokoju, aż dotarł do pustego głównego korytarza. Nie wiedział, że opustoszał prędko, kiedy pierwszy wrzask spadł znienacka na uszy posłanych za nim wojowników, łącząc się z jego własnym krzykiem przerażenia. Spojrzał na czasomierz osadzony w masywnej bransolecie na lewym przedramieniu. Dziewiąty zod miał się ku końcowi. Przeleżał nieprzytomny całą godzinę. Spędził godzinę w sypialni O-Maia i przeżył! Spojrzał w oblicze swojego poprzednika i nie postradał zmysłów! Otrząsnął się i uśmiechnął. Opanował szybko roztrzęsione nerwy, zanim więc dotarł do zamieszkałej części pałacu, zdążył odzyskać panowanie nad sobą. Zadzierając wysoko podbródek, szedł dumnym krokiem prosto do sali biesiadnej, gdzie czekali na niego wodzowie. Kiedy wszedł, wstali. Na niejednej twarzy widać było zaskoczenie i niedowierzanie, ponieważ, po tym co usłyszeli od swoich szpiegów o przerażających odgłosach dobiegających z pokoi O-Maia, wodzowie nie spodziewali się ujrzeć go znowu. O-Tar cieszył się teraz rzeczywiście, że udał się do nawiedzanej komnaty sam, ponieważ nikt nie mógł wątpić w prawdziwość jego opowieści.

E-Thas pobiegł mu na spotkanie, ponieważ zdążył już zauważyć ponure spojrzenia kierowane w swoją stronę w miarę jak tale mijały, a jego dobroczyńca nie wracał.

– Mężny i wspaniały jeddaku! – zawołał. – Cieszymy się z twojego powrotu i prosimy o opowieść o twojej przygodzie.

– To nic takiego – rzucił od niechcienia O-Tar. – Przeszukałem dokładnie komnaty i czekałem w ukryciu na powrót zbiega, na wypadek, gdyby okazało się, że oddalił się stamtąd tylko na chwilę. Nie wrócił jednak. Nie ma go tam i wątpię, czy w ogóle się tam zapuszcza. Niewielu chciałoby przebywać dłużej w równie ponurym miejscu.

– Nic cię nie zaatakowało? – zapytał E-Thas. – Nie słyszałeś jęków ani wrzasków?

– Słyszałem przerażające odgłosy i widziałem upiorne postaci, ale czmychnęły przede mną, więc nie udało mi się żadnej złapać. Spojrzałem też w twarz O-Maia i nie wpadłem w obłąd. Leżałem nawet w komnacie obok jego zwłok.

W odległym kącie sali zgarbiony, pomarszczony starzec ukrył uśmiech za złotym pucharem pełnym mocnego napitku.

– Dalej! Pijmy! – zawołał O-Tar, sięgając po sztylet, którego głowicą zwykł uderzać w gong, aby przywołać służbę. Broni nie było na swoim miejscu. O-Tar poczuł zaskoczenie. Wiedział, że była tam na chwilę przed wejściem do sypialni O-Maia, ponieważ starannie upewnił się, że niczego mu nie brakuje. Zamiast tego chwycił łyżkę i uderzył w gong, a kiedy pojawili się niewolnicy, polecił im przynieść najmocniejsze trunki dla siebie i swoich wodzów. Zanim wstał świt z podchmielonych niejedne wargi wykrzyczały głośno swój podziw dla odwagi jeddaka; mimo to, niektórzy nadal spoglądali ponuro w jego stronę.

\*

Nadszedł wreszcie dzień, w którym O-Tar zamierzał pojąć Tarę za żonę. Niewolnice godzinami przygotowywały oporną pannę młodą do ceremonii. Trzy długie godziny trwały powtarzane siedem razy nużące kąpiele w wodzie skropionej wonnościami. Następnie ciało księżniczki natarto olejkami z kwiatu pimalii, po czym wymasował ją zręcznymi palcami niewolnik z dalekiego Dusar. Całkiem nowa uprząż, uszyta specjalnie na tę okazję z białej skóry wielkich marsjańskich małp, iskrzyła się, praktycznie obsypana platyną i diamentami. Gęste, lśniące włosy upięto w odpowiednio dostojną, majestatyczną fryzurę, umocowaną szpilkami o łebkach z diamentów, a całość lśniła jak gwiazdy na niebie w bezksiężycową noc.

Ale oblubienica prowadzona z wieży do sali tronowej była ponura i oporna. Korytarze roiły się od wojowników, niewolników oraz kobiet z miasta i pałacu, którym nakazano wziąć udział w ceremonii. Zeszła się tam cała potęga, chwała, bogactwo i piękno Manator.

Otoczona silnym oddziałem straży honorowej, Tara stawiała powoli kroki po marmurowych posadzkach zatłoczonych korytarzy. Przy wejściu do Sali Wodzów powitał ją zarządca pałacu, E-Thas. Sala okazała się pusta, jeśli nie liczyć szeregów martwych wodzów na nieżywych wierzchowcach. E-Thas przeprowadził ją przez całą długość pomieszczenia do komnaty tronowej, która – w odróżnieniu od zwyczajów ślubnych innych krajów Barsoom – również była pusta. Tu panna młoda miała czekać na oblubieńca u stóp schodów do tronu. Goście weszli za nią do środka i zajmowali miejsca, pozostawiając pośrodku wolne przejście. Zgodnie ze zwyczajem, O-Tar miał przejść nim samotnie do boku panny młodej po krótkiej, samotnej medytacji w towarzystwie martwych bohaterów za zamkniętymi drzwiami Sali Wodzów.

Salę Wodzów opuścili ostatni goście; zamknięto drzwi po obu stronach. Po krótkiej chwili wejście z głównego korytarza otworzyło się znowu i pojawił się w nim O-Tar. Miał na sobie czarną uprząż, zdobioną złotem i rubinami. Twarz zakrywała mu groteskowa złota maska, w której w miejsce oczu osadzono dwa ogromne rubiny, pod którymi umieszczono dwie wąskie szczeliny, umożliwiające noszącemu patrzenie. Na głowie zamiast korony miał opaskę z rzeźbionymi piórami, wykonanymi z tego samego kruszcu. Insygnia władzy w najdrobniejszym szczególe zgadzały się z wymogami tradycji Manator wobec królewskich ślubów. Zgodnie z tą samą tradycją udawał się samotnie do Sali Wodzów, aby przyjąć radę i błogosławieństwo żyjących przed nim wielkich jedów.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, O-Tar został sam na sam z martwymi bohaterami. Odwieczne prawa nie pozwalały, aby ktokolwiek widział to, co działo się w jej świętych murach. Na wzór możnych Manator, my również uszanujmy tradycje tego dumnego i wrażliwego ludu. Czy powinno nas obchodzić, co wydarzyło się w uroczystej ciszy komnaty zmarłych bohaterów?

Minęło pięć minut. Panna młoda stała w ciszy u stóp tronu. Goście zaczęli rozmawiać ściszym szeptem, aż całą salę wypełnił szum licznych głosów. W końcu drzwi do Sali Wodzów otworzyły się szeroko i w potężnym wejściu pojawiła się lśniąca blaskiem klejnotów sylwetka oblubieńca. Goście umilkli. Pan młody zbliżał się do oblubienicy miarowym, mocnym krokiem. Tara poczuła, jak serce ściska się jej od lęku, który ogarniał ją coraz mocniej w miarę, jak zaciskały się wokół niej sploty losu, a Turan nadal nie dawał znaku życia. Gdzie on się podział? I w jaki sposób zamierzał ją uratować? Wyglądało na to, że otoczona potęgą O-Tara i pozbawiona przyjaciół, znalazła się w końcu w całkowicie beznadziejnej sytuacji.

– Jeszcze nie zginęłam! – szepnęła cicho, po raz ostatni próbując odważnie stawić czoło ogarniającej ją z wolna przerażającej rozpacz. Dla otuchy dotknęła palcami wąskiego ostrza, które udało jej się ukryć niepostrzeżenie w nowym stroju. Pan młody stanął u jej boku i ująwszy jej dłoń, powiodł ją schodami przed tron, gdzie zatrzymali się, obróceniu twarzami do zgromadzonych w dole ludzi. Z tyłu sali ruszyła wtedy procesja, na czele której kroczył urzędnik, który miał udzielić im ślubu. Zaraz za nim podążał młodzieniec w bogatym stroju, niosąc jedwabną poduszkę, na której spoczywały złote bransolety połączone krótkim łańcuchem ze złota, które na koniec ceremonii miały zostać zaciśnięte na rękach nowożeńców na znak nierozzerwalnej i świętej więzi małżeńskiej.

Czy obiecana pomoc miała nadejść za późno? Tara słuchała dłużej, monotonnej recytacji orędzia weselnego. Przysłuchiwała się, jak urzędnik wynosił pod niebiosa zalety O-Tara i urodę panny młodej. Zbliżała się chwila ślubu, a Turan nadal nie dawał znaku życia. A nawet gdyby udało mu się dotrzeć do sali tronowej, czy mógł zrobić coś poza oddaniem życia u jej boku? Nie było nadziei na ratunek.

Urzędnik wziął bransolety z poduszki, na której spoczywały. Pobłogosławił je i sięgnął po rękę Tary. Nadszedł czas! Musiała to przerwać, w przeciwnym razie w myśl wszelkich praw Barsoom, martwa czy żywa, z chwilą, gdy połączy się z nim złotym łańcuchem, zostanie żoną O-Tara! Nawet gdyby pomoc nadeszła w tej chwili lub nieco później, nie zdołałaby już rozerwać tych więzów, i utraciła swojego pantana równie nieodwołalnie, jak gdyby rozłączyła ich śmierć.

Powędrowała dłonią do ukrytego ostrza, ale dłoń pana młodego wystrzeliła błyskawicznie w bok, chwytając ją za nadgarstek. Przejrzał jej zamiar. Za szczelinami groteskowej maski zauważyła wbite w nią spojrzenie. Domyślała się ukrytego pod maską sardonicznego uśmiechu. Stali przez chwilę w napięciu. Ludzie w dole wstrzymali oddech, ponieważ scena przed tronem nie umknęła ich uwadze.

Choć chwila była pełna dramatyzmu, stała się jeszcze bardziej napięta, ponieważ zniecka drzwi do Sali Wodków otworzyły się głośno. Zgromadzeni powędrowali spojrzeniem w stronę przyczyny zakłócenia, widząc półnągą postać, która stojąc w wysokich drzwiach dopinała pospiesznie niedopasowaną uprząż – był nią O-Tar, jeddak Manator.

– Stać! – wrzasnęła, rzucając się w stronę tronu. – Zatrzymać tego oszusta!

Oczy wszystkich przeniosły się na sylwetkę stojącego przed tronem pana młodego, który podniósł dłoń i zerwał z twarzy złotą maskę. Otwierając szeroko oczy w niedowierzaniu, Tara spojrziała prosto w twarz Turana.

– To ten zbiegły niewolnik! – wołano. – Zabić go! Zabić!

– Stać! – krzyknął Turan, wyciągając miecz, kiedy pół tuzina wojowników ruszyło w jego stronę.

– Stać! – zawołał inny głos, starczy i chrypliwy, kiedy stary preparator zwłok, I-Gos, poderwał się spośród tłumu gości i dotarł do tronu o kilka kroków przed najszybszym z wojowników.

Na widok starca żołnierze zatrzymali się, ponieważ ludy Barsoom otaczają podeszłych wiekiem wielkim szacunkiem, jak chyba wszystkie narody, których religia oparta jest w pewnej mierze na kulcie przodków.

Ale O-Tar nie zważał na niego, pędząc w stronę tronu.

– Stój, tchórze! – zawołał I-Gos.

Ludzie spojrzeli w zdumieniu na niewysokiego starca.

– Ludu Manator – zachrypiał cieniem, przenikliwym głosem. – Czy chcecie, żeby rządził wami tchórz i kłamca?

– Zabić go! – krzyknął O-Tar.

– Dopiero kiedy skończę – odparł I-Gos. – Takie mam prawo. Wiecie równie dobrze jak ja, że jeśli nie uda mi się was przekonać, stracę życie. Żądam więc, by mnie wysłuchano. Mam do tego prawo!

– To prawda – zawtórowały mu głosy dwudziestu wojowników z różnych stron sali.

– Mogę dowieść, że O-Tar jest tchórzem i kłamcą – ciągnął I-Gos. – Twierdził, że stawiał odważnie czoło grozie czającej się w komnatach O-Maia, nie spotykając tam wcale obecnego tu zbiegłego niewolnika Turana. Stałem tam, ukryty za zasłonami, i widziałem wszystko, co zaszło. Turan ukrywał się w sypialni O-Maia i leżał w jego łóżu, kiedy do pokoju wszedł O-Tar, trzęsąc się ze strachu. Obudzony Turan uniósł się na posłaniu, wydając przerażający wrzask, zaś O-Tar krzyknął ze strachu i zemdłał.

– To kłamstwo! – ryknął O-Tar.

– To żadne kłamstwo i mogę to udowodnić – odciął się I-Gos. – Czy tej nocy, kiedy wrócił z pokojów O-Maia i chełpił się swoim wyczynem, zauważyliście, że zamierzając wezwać służbę sięgnął po sztylet, aby swoim zwyczajem uderzyć głowicą w gong? Zauważyliście? A to, że go przy sobie nie miał? Gdzie jest sztylet, który wzięłeś ze sobą do nawiedzanej komnaty, O-Tarze? Nie wiesz tego, ale ja wiem. Zabrałem go, kiedy leżałeś nieprzytomny ze strachu, i schowałem pod posłaniem na łóżu O-Maia. Ciągłe tam jest, a jeśli ktoś wątpi w moje słowa, może iść go tam poszukać i przekonać się, jakim tchórzem jest nasz jeddak.

– A co z oszustem? – zapytał ktoś. – Czy będziemy toczyć tu spór o naszego władcę, pozwalając mu stać bezkarnie na tronie Manator?

– To dzięki jego odwadze przekonałem się o tchórzostwie O-Tara – odparł I-Gos. – I to dzięki niemu będziecie mieli lepszego jeddaka.

– Sami go sobie wybierzemy! Łapać niewolnika! Zabić go! – Z różnych stron sali podniosły się okrzyki aprobaty. Gahan nasłuchiwał uważnie, jakby czekał z nadzieją na jakiś dźwięk. Widział wojowników zbliżających się do podwyższenia, na którym stał z mieczem w ręku, otoczywszy Tarę ramieniem. Zastanawiał się, czy jego plany nie spaliły mimo wszystko na panewce. W takim razie, oznaczało to dla niego śmierć. Wiedział, że po jego śmierci Tara również odebrałaby sobie życie. Czy koniec końców, wszystkie jego starania miały okazać się daremne?

Kilku wojowników perorowało, aby posłać niezwłocznie ludzi do sypialni O-Maia na poszukiwanie sztyletu, który miał udowodnić tchórzostwo O-Tara. W końcu trzech wodzów, którzy byli w niej poprzednim razem, postanowiło tam wrócić. – Nie bójcie się – dodawał im otuchy I-Gos.

– Nic wam nie grozi. Ostatnio często tam bywałem, a Turan przespał tam wiele nocy. To on próbował wypłoszyć was ze swojej kryjówki, wydając te wrzaski i jęki, które przeraziły was i O-Tara. – Wojownicy opuścili salę z zawstydzonymi minami, udając się na poszukiwanie sztyletu jeddaka.

Uwaga reszty skupiła się znów na Gahanie. Zbliżali się do tronu z obnażonymi mieczami, nie śpiesząc się jednak zbyt, ponieważ widzieli go już w amfiteatrze i poznali jego sprawność we władaniu bronią. Dotarli do podnóża schodów, kiedy wysoko w górze rozległ się donośny huk, po nim zaś kolejny i jeszcze jeden. Turan uśmiechnął się i odetchnął z ulgą. Może jednak nie było za późno. Wojownicy zatrzymali się, nasłuchując, podobnie jak reszta zgromadzonych. Do ich uszu dotarł z góry głośny grzechot broni palnej, zupełnie jakby ktoś walczył na dachach pałacu.

– Co to takiego? – pytali jeden drugiego.

– Nad miastem rozpetęła się wielka burza – stwierdził jeden.



– Mniejsza o burzę! Ukatrupić tego niewolnika, który ośmielił się stanąć na moim tronie!  
– żądał O-Tar. – Brać go!

Ledwie przebrzmiały jego słowa, zasłona za tronem rozdzieliła się i na podwyższeniu pojawił się jakiś wojownik. Z ust ludzi O-Tara wyrwały się okrzyki zdziwienia i przerażenia.

– To U-Thor! – wołali. – Co to za zdrada?

– To nie zdrada – zawołał U-Thor głębokim głosem. – Przyprowadziłem wam nowego jeddaka całego kraju. Nie tchórzliwego kłamcę, a szlachetnego i dzielnego człowieka, którego wszyscy kochacie.

Odsunął się i z korytarza ukrytego za arrasem wyłonił się kolejny wojownik. Był nim A-Kor. Na jego widok rozległy się okrzyki zaskoczenia, gniewu i radości, kiedy poszczególne stronnictwa zrozumiały przeprowadzony tak zmyślnie zamach stanu. Za A-Korem pojawiali się inni żołnierze Manatos, tłocząc się na podwyższeniu.

O-Tar wzywał swoich ludzi do ataku, kiedy do sali wpadł bocznymi drzwiami zakrwawiony i rozchełstany padwar. – Miasto padło! – krzyknął gromkim głosem. – Zastępy armii Manatos wlewają się przez Bramę Nieprzyjaciół. Niewolnicy z Gathol podnieśli bunt i pokonali straż pałacową. Olbrzymie statki wysadzają żołnierzy na dachu pałacu i na Polach Jetana. Ulicami miasta maszerują żołnierze Helium i Gathol! Żądają głośno wydania księżniczki Helium i grożą, że zmienią Manator w płonący stos pogrzebowy, który pochłonie zwłoki naszych ludzi. Niebo pociemniało od statków, nadciągających chmarami z południa i ze wschodu.

Drzwi Sali Wodków ponownie otworzyły się szeroko i wojownicy Manator odwrócili się, spoglądając na kolejną postać, która pojawiła się w progu: potężnej postury człowieka o białej skórze, czarnych włosach i szarych oczach, lśniących jak stalowe ostrza. Za nim widać było wypełniających pomieszczenie wojowników w strojach dalekich krajów. Na ten widok serce Tary podskoczyło w euforii, ponieważ był to sam Wódz Barsoom, John Carter, przybywający na pomoc córce na czele zwycięskiej armii, zaś u jego boku kroczył jej narzeczony, Djour Kantos.

Zanim Wódz przemówił, przez chwilę mierzył zgromadzenie wzrokiem.

– Odłóżcie broń – powiedział. – Widzę, że moja córka jest tu i żyje, a jeśli nie spotkała jej żadna krzywda, wcale nie musi dojść tu do rozlewu krwi. Wasze miasto roi się od wojowników U-Thora, oraz żołnierzy Gathol i Helium. Pałac jest w rękach niewolników z Gathol; poza tym w pokojach wokół tej Sali mam tysiąc ludzi mojej własnej straży. Los waszego jeddaka spoczywa w waszych rękach. Nic mnie nie obchodzi. Przybywam tylko po córkę oraz zwrócić wolność niewolnikom z Gathol. To wszystko! – Nie czekając na odpowiedź, zupełnie jakby sala pełna była nie wrogów, a jego ludzi, ruszył szerokim przejściem w stronę Tary.

Wodzowie Manator osłupieli. Spojrzeli w stronę O-Tara, ale ten rozglądał się tylko bezradnie, kiedy nieprzyjaciele wyszli z Sali Wodków, rozstawiając się kręgiem wokół sali tronowej, aż otoczyli całe zgromadzenie. Wtedy do środka wszedł dwar armii Helium.

– Ujęliśmy trzech wodzów, którzy proszą, aby pozwolić im wejść do sali tronowej i zdać wszystkim relację w jakiejś sprawie, która ma zaważyć na losach Manator – zameldował Carterowi.

– Wprowadzić – polecił Wódz.

Prowadzeni przez silną straż wodzowie podeszli do stopni przed tronem i zatrzymali się. Idący na czele pochodu odwrócił się do wojowników z Manator, podnosząc w prawej dłoni wysadzany klejnotami sztylet. – Znaleźliśmy go tam, gdzie powiedział I-Gos – stwierdził, spoglądając groźnie w stronę O-Tara.

## Szachiści Marsa

---

– A-Kor jeddakiem! – zawołał czyjś głos. Okrzyk podchwyciła zaraz setka ochrypłych gardeł.

– W Manator nie ma miejsca dla dwóch jeddaków – powiedział trzymający sztylet i nie odrywając oczu od nieszczęsnego O-Tara, podszedł do niego i na otwartej dłoni podał ostrze zdyskredytowanemu władcy. – W Manator nie ma miejsca dla dwóch jeddaków – powtórzył znaczącym tonem.

O-Tar przyjął ostrze i wyprostowawszy się na pełną wysokość, zatopił je po rękojeść w swojej piersi, tym jednym czynem odzyskując szacunek swoich ludzi i zdobywając miejsce na wieczność w Sali Wodków.

Kiedy upadł, zapadła cisza, przzerwana zaraz głosem U-Thora.

– O-Tar nie żyje! – zawołał. – Niech A-Kor sprawuje rządy, dopóki nie zbiorą się wszyscy wodzowie kraju, aby wybrać nowego jeddaka. Co wy na to?

– Niech rządzi A-Kor! A-Kor nowym jeddakiem! – Salę wypełniły jednomyślne okrzyki.

A-Kor podniósł miecz, prosząc o ciszę.

– Życzeniem moim, oraz wielkiego jeda Manatos, jak i dowódcy floty Gathol i sławnego Johna Cartera, Wodza Barsoom, jest, aby w Manator zapanował pokój. Nakazuję więc, aby mieszkańcy miasta przywitali ich ludzi jako naszych gości i przyjaciół, oraz pokazali im cuda naszego miasta i dali dowody swojej gościnności. Skończyłem. – U-Thor i John Carter odesłali żołnierzy, polecając im skorzystać z gościnności miasta. Kiedy sala opustoszała, Djor Kantos dotarł do Tary. Widok człowieka, któremu według podszeptów szlachetnego serca wyrządziła krzywdę, mącił radość dziewczyny z ocalenia. Obawiała się stojącej przed nią próby i hańby, którą musiała wyznać, zanim mogła uwolnić się od krępującego obydwój od dawna zobowiązania. Djor Kantos podszedł do niej i uklękawszy, uniosł jej palce do ust.

– Ozdobo Helium – powiedział – jak mam powiedzieć ci o krzywdzie, którą nieświadomie ci wyrządziłem? Mogę tylko zdać się na bezmiar twojej łaski, ale jeśli zechcesz, zachowam się równie honorowo jak O-Tar.

– Co masz na myśli? – zapytała księżniczka. – O czym ty mówisz? Dlaczego mówisz zagadkami do kobiety, której serce nieomal pękło?

Nieomal pękło jej serce! Sytuacja nie zapowiadała się wcale obiecująco, a młody padwar żałował, że nie padł trupem przed wypowiedzeniem słów, które miała właśnie usłyszeć.

– Wszyscy myśleliśmy, że zginęłaś, Taro – kontynuował. – Minął rok, od kiedy zniknęłaś z Helium. Oplakiwałem cię szczerze, po czym niecały miesiąc temu poślubiłem Olwię Marthis. – Urwał i spojrzał na nią oczami mówiącymi: „A teraz mnie zabij!”.

– Och, ty głuptasie! – zawołała Tara. – Nic innego nie sprawiłoby mi większej radości. Mogłabym cię ucałować!

– Nie sędzę, żeby Olwia Marthis miała coś przeciwko temu – powiedział, rozpluwając się w uśmiechach. Kiedy rozmawiali, w sali tronowej pojawiła się grupa ludzi, którzy podeszli do podwyższenia. Wysocy i rośli, mieli na sobie proste, pozbawione ozdób stroje. Kiedy ich przywódca dotarł do podestu, Tara odwróciła się właśnie do Gahana, przywołując go gestem.

– Djor Kantosie – oznajmiła. – Przedstawiam ci pantana Turana, który zdobył moje serce swoim oddaniem i odwagą.

Stojący w pobliżu John Carter i przywódca przybyłej przed chwilą grupy wojowników spojrzeli szybko w ich stronę. Carter uśmiechnął się zagadkowo, podczas gdy wojownik odwrócił się do księżniczki.

– Pantan? – zapytał głośno. – Turan? Piękna córko Helium, nie wiesz, że ten człowiek to Gahan, jed Gathol?

Mina Tary tylko przez chwilę zdradzała jej zaskoczenie. Wzruszyła zaraz kształtnymi ramionami, odwracając głowę, żeby obejrzeć się na Gahana.

## Szachiści Marsa

---

– Pantan czy jed – rzuciła – co za różnica, kim był kiedyś mój niewolnik? – I roześmiała się po łobuzersku prosto w uśmiechniętą twarz ukochanego.

\*

Skończywszy opowieść, John Carter podniósł się z krzesła naprzeciwko, przeciągając potężne ciało jak olbrzymi, dziki lew.

– Naprawdę musisz już iść? – zapytałem, bo nie miałem ochoty żegnać się z nim jeszcze. Wydawało się, że spędziliśmy razem zaledwie chwilę.

– Niebo poczerwieniało już za tymi uroczymi wzgórzami – odparł. – Zaraz wstanie świt.

– Zanim znikniesz, jedno pytanie – prosiłem.

– Tak? – zapytał dobrodusznie.

– W jaki sposób Gahanowi udało się wejść do sali tronowej w stroju O-Tara? – zapytałem.

– Całkiem prosty. To znaczy dla niego – odparł. – Z pomocą I-Gosa zakradł się przed ceremonią do sali tronowej, a stamtąd do Sali Wodzów, kiedy opróżniono je przed nadejściem panny młodej. Wyszedł z podziemi korytarzem do ukrytych za tronem drzwi, po czym wszedł do Sali Wodzów i zajął miejsce na grzbiecie thoata, którego jeździec trafił do naprawy w warsztacie I-Gosa. Kiedy O-Tar wszedł do środka i znalazł się w pobliżu, Gahan uderzył go końcem ciężkiej włóczni. Uznał, że go zabił, i był zaskoczony, kiedy jeddak pojawił się podczas ślubu, aby go zdemaskować.

– A Ghek? Co się stało z Ghekiem? – dopytywałem.

– Doprowadził Val Dora i Florana do uszkodzonego statku Tary. Naprawili go, a potem polecili z kaldanem do Gathol, skąd wysłali wiadomość do mnie, do Helium. Następnie przeprowadził spory oddział, w skład którego wchodził A-Kor i U-Thor, z dachu, gdzie wysadziły ich statki, do pochylni, którą dotarli do pałacu i sali tronowej. Zabraliśmy go ze sobą do Helium. Mieszka tam nadal ze swoim rykorem, którego znaleźliśmy na wpół zagłodzonego w podziemiach. Ale dość już! Starczy tych pytań!

Odprowadziłem go do wschodniego podcienia domu, za którego łukami widać było pierwszy, czerwony blask świtu.

– Bywaj! – rzucił.

– Ledwie wierzę, że to naprawdę ty – powiedziałem głośno. – Jutro uznam na pewno, że to mi się tylko śniło.

Roześmiał się i na jednym z łuków nakreślił czubkiem miecza nierówny krzyż.

– Gdybyś miał wątpliwości – powiedział – przyjdź tu i sprawdź, czy to był sen.

Chwilę później zniknął.

## JETAN – MARSJAŃSKIE SZACHY

Czytelnikom, których interesują podobne sprawy i chcieliby spróbować tej gry, podaję zasady jetana, jak przekazał mi je John Carter. Równie dobrze jak za pomocą ozdobnych figur używanych na Marsie, partię można rozegrać, używając zwykłych figur szachowych opatrzonych karteczkami z zapisem nazw i ruchów figur jetana.

**Plansza:** partię rozgrywa się na kwadratowej planszy złożonej ze stu ułożonych naprzemiennie czarnych i pomarańczowych pól.

**Figury:**

**W pierwszym rzędzie, od lewej do prawej:**

**Wojownik:** 2 pióra, 2 pola prosto w dowolnym kierunku lub ruchem kombinowanym.

**Padwar:** 2 pióra, 2 pola na ukos w dowolnym kierunku lub ruchem kombinowanym.

**Dwar:** 3 pióra, 3 pola prosto w dowolnym kierunku lub ruchem kombinowanym.

**Statek:** śmigło o 3 ostrzach, 3 pola na ukos w dowolnym kierunku lub ruchem kombinowanym, może przeskakiwać stojące na drodze figury.

**Wódz:** diadem z dziesięcioma klejnotami, 3 pola w dowolnym kierunku na wprost, na ukos lub ruchem kombinowanym.

**Księżniczka:** diadem z jednym klejnotem, ruch jak Wódz, może przeskakiwać stojące na drodze figury.

**Statek:** jak wyżej.

**Dwar:** jak wyżej.

**Padwar:** jak wyżej.

**Wojownik:** jak wyżej.

**W drugim rzędzie od lewej do prawej:**

**Thoat:** jeździec o 2 piórach, 2 pola, jedno prosto i jedno na ukos w dowolnym kierunku.

**Pantan (8):** 1 pióro, 1 pole do przodu, w bok lub na ukos, nie do tyłu.

**Thoat:** jak wyżej.

Partia, rozgrywana za pomocą dwudziestu czarnych i dwudziestu pomarańczowych figur, pierwotnie przedstawiała podobno bitwę między czarnymi mieszkańcami południa a żółtymi ludźmi z północy. Na Marsie planszę ustawia się zwykle w ten sposób, że strona czarnych zorientowana jest na południe, a strona pomarańczowych na północ.

Zwycięstwo następuje po zabicu Księżniczki przeciwnika lub kiedy Wódz bije Wodza.

Gra kończy się remisem, kiedy Wódz jednego z graczy zostanie zбитy przez dowolną inną figurę przeciwnika, lub kiedy obu stronom zostaną trzy lub mniej figury o równej wartości, a gra nie zostanie rozstrzygnięta w kolejnych dziesięciu ruchach, po pięć na stronę.

Księżniczka nie może stanąć na zagrożonym polu ani zbić figury przeciwnika. Podczas gry przysługuje jej jeden ruch o dziesięć pól, zwany ucieczką.

Dwie figury nie mogą zajmować tego samego pola, z wyjątkiem ostatniego ruchu partii, w którym zostaje zbita Księżniczka.

## Szachiści Marsa

---

Kiedy figura gracza, wykonując stosowny ruch we właściwej kolejności, zajmie pole zajęte przez figurę przeciwnika, bije ją. Zbita figura zostaje zdjęta z planszy.

**Ruch kombinowany.** Ruch na wprost oznacza przesunięcie figury na północ, południe, wschód lub zachód; ruch po przekątnej oznacza kierunek północno-wschodni, południowo-wschodni, południowo-zachodni lub północno-zachodni. I tak, na przykład, Dwar może przemieścić się o trzy pola prosto na północ, jedno pole na północ i dwa na wschód, lub w jakikolwiek inny sposób, łącząc ruch na wprost. Nie może tylko w tym samym ruchu przejść dwa razy przez to samo pole.

Pierwszeństwo ruchu rozstrzyga się w dowolny odpowiadający obu graczom sposób. Po pierwszej partii zwycięzca może wykonać pierwszy ruch w następnej, lub oddać go przeciwnikowi.

**Hazard:** Podczas gry w jetana mieszkańcy Barsoom uprawiają hazard na różne sposoby. Oczywiście, wynik gry decyduje o tym, komu przypada główna pula. Wyznacza się również stawkę za każdą z figur, zgodną z jej wartością w grze, zaś gracze płacą przeciwnikowi ekwiwalent za każdą utraconą figurę.

# PRZYPISY

- [1] Równik Marsa.
- [2] Odpowiednik ziemskiej doby.
- [3] W przybliżeniu czterdzieści ziemskich stóp.
- [4] Nieco ponad dziewiętnaście i pół ziemskich godzin.
- [5] Około stu jardów.
- [6] Używam tu słowa „król” na określenie władców i wodzów rojów z Bantoom, ponieważ prawdziwa nazwa nie da się wymówić w żadnym ziemskim języku, zaś słowa *jed* czy *jeddak* z języka czerwonych Marsjan nie mają tego samego znaczenia, co termin z języka Bantoom, który stanowi odpowiednik ziemskiego określenia głowy roju pszczoł jako królowej. – J. C.
- [7] Najemnik.
- [8] Około 814 mil ziemskich.
- [9] Czytelnicy, którzy zapoznali się z opisem zielonych Marsjan autorstwa Johna Cartera w „Księżniczce Marsa”, pamiętają z pewnością, że ten dziwny lud potrafi niezwykle długo obchodzić się bez jedzenia i picia. W nieco mniejszym stopniu dotyczy to wszystkich istot Marsa.
- [10] Około 20:30 czasu ziemskiego.
- [11] Około 1:00 w nocy czasu ziemskiego.

## Spis treści

[Galaktyka Gutenberga](#)  
[Strona tytułowa](#)  
[Strona redakcyjna](#)  
[Wstęp: Z wizytą na Ziemi](#)  
[Rozdział 1: Furia Tary](#)  
[Rozdział 2: Na łasce żywołu](#)  
[Rozdział 3: Bezgłowi ludzie](#)  
[Rozdział 4: W niewoli](#)  
[Rozdział 5: Umysł doskonały](#)  
[Rozdział 6: W szponach grozy](#)  
[Rozdział 7: Koszmarny widok](#)  
[Rozdział 8: Ucieczka](#)  
[Rozdział 9: Nad obcą krainą](#)  
[Rozdział 10: W pułapce](#)  
[Rozdział 11: Decyzja Tary](#)  
[Rozdział 12: Psoty Gheka](#)  
[Rozdział 13: Czyn rozpaczy](#)  
[Rozdział 14: Z woli Gheka](#)  
[Rozdział 15: Starzec z podziemi](#)  
[Rozdział 16: Pod nowym imieniem](#)  
[Rozdział 17: Gra o życie](#)  
[Rozdział 18: Próba lojalności](#)  
[Rozdział 19: Upiory zmarłych](#)  
[Rozdział 20: Oskarżenie o tchórzostwo](#)  
[Rozdział 21: Miłość i odwaga](#)  
[Rozdział 22: Ślub](#)  
[Jetan – marsjańskie szachy](#)  
[Przypisy](#)